

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

POGROBEK

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEMYSŁAWOWSKICH

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

TOM PIERWSZY

ROZDZIAŁ I

Ze wszystkich dworów książęcych w Polsce w drugiej połowie XIII wieku, nie było mniej wystawnego, skromniejszego nad kaliski, księcia Bolesława, zwanego Pobożnym. Wojak zawołany a razem mąż bogobojny, za żonę miał, równie jak sam, zacną i świątobliwą niewiastę Jolantę¹, siostrę Kingi, żony Bolesława, krakowskiego księcia. Nieustanne wojny go trapiły, to z napadającymi na granice jego Brandeburczykami, to z książętami śląskimi, to z innymi powinowatymi chciwymi ziemi, a nie mogącymi usiedzieć spokojnie. Nie mógł więc prawie wytchnąć dnia jednego, kręcąc się ciągle po rubieżach u Santoka i Drdzenia², zakładając i zdobywając zameczki, później strzegąc już nie tylko swoich posiadłości, ale i zdanego mu w opiekę młodego Przemysława Pogrobka, który się był poznańskiemu Przemysławowi już po jego zgonie narodził. Losy tego sieroty obchodziły go tym mocniej, że własnego syna nie miał, a trzy córki tylko, którym ziemi po sobie oddać nie mógł, bo męskiej dłoni potrzebowała.

Było więc co robić i sięść pod dachem na wypoczynek nie mógł ani pomyśleć książę Bolesław, ale to była krzepka i zdrowa natura, do pracy i znoju stworzona, nie przykrząca sobie nimi, zawsze wesołej myśli, spokojnego oblicza, czystego serca, prostoty wielkiej. Wśród tych mnogich dworów ówczesnych książęcych w Krakowie, Sieradzu, Poznaniu, Wrocławiu, Lignicy, Opolu, Płocku, kaliski najmniej oczy ścierał i nie starał się błyszczeć.

Ludzi do wojny sposobnych Bolesław musiał mieć ciągle, bo mu odetchnąć nie dawano, ale to byli jakby bracia młodszy, jak prawa³ drużyna i dzieci. Wszyscy z nim żyli na stopie poufałości z poszanowaniem połączonej, którą dobroduszość jego wyzywała i cieszyła się nią. Kochali go bliżsi i dalsi, a choć czasy owe wymagały, aby wódz odznaczał się, budził cześć dla siebie, Bolesław mało dbał o to, by się dumnie postawić. Chodził jak prosty rycerz, nie dbając o piękne zbroje ani o drogie szkarłaty⁴ i bisior⁵; klejnotów nie lubił, a gdy w domu siedział, nosił się w kozuszkach prostym i skórzniach⁶, w czapce starej i wytartej, że go nieraz obcy przybywający poseł wziął za urzędnika dworskiego, z czego on śmiał się tylko.

Wpatrzywszy się w jego niepozorną twarz ogorzałą, z żywymi oczyma czarnymi, mógł jednak każdy domyśleć się w nim szlachetnej krwi i pańskiego ducha. Wejrzenie miał śmiałe a bystre, uśmiech przy łagodności pełen zaufania w siebie, czoło jasne a rozumne. Ale postawą nie nadrabiał wcale, zdał się chrześcijańską pokorą chcieć pokryć swe pochodzenie, a ludzi lubił, gdy mu zamiast bić czołem, zbliżali się doń z zaufaniem jak do ojca. Nie było lito-

¹ Jolanta – córka Beli IV, króla węgierskiego, i siostra Kingi (żony Bolesława Wstydliviego).

² Rubieże u Santoka i Drdzenia – tereny graniczne kraju koło dawnych grodów lubuskich (obecnie Zielonogórskie).

³ prawa – tu: zacna

⁴ Szkarłat – bardzo droga w średniowieczu tkanina jedwabna lub wełniana w kolorze krwistoczerwonym.

⁵ Bisior – bardzo droga materia sprowadzana ze Wschodu.

⁶ Skórznie – wysokie buty skórzane.

ściwszego nadeń człowieka w powszednim życiu, bo dobry chrześcijanin w każdym widział brata swojego w Chrystusie, choć na placu boju czy z pogany, czy z Sasami a Brandeburczykami⁷ (bo ci razem chodzili), żołnierz był zuchwały, niemal szalony.

Szedł do boju przeżegnawszy się, z modlitwą i ową starą pieśnią do Bogarodzicy, niezapomnianą od czasów Chrobrego, ale wpadłszy w zamęt i wrzawę bojową, gdy się w nim krew rycerska ocknęła i zakipiała, stawał się strasznym dla wrogów. Gdy potem, ostygłszy, poszedł na pobojuwisko z księżmi, bo miał ten zwyczaj, że do rannych i konających ich prowadził, łączył się toczyły patrząc na pokaleczonych i dogorywających. Łamał ręce narzekając na te nieuchronne a nieustanne wojny.

– Nie będzie temu końca – mawiał – aż jednego pana dostaną te ziemie, a nas, drobnych, los albo wymorzy, lub wyżenie. Sami się my wypleniamy i niszcym ten kraj, który Bóg opiece naszej poruczył.

Ale daremne to były narzekania, gdyż zamiast jednoczyć się, dzieliły się ziemie polskie na coraz drobniejsze części. Mazowieccy się rozłamywali, śląscy rozradzali jak mrowie, Kraków z Sandomierzem szedł osobno. Poznań z Gniezmem stały same przez się. Im więcej przybywało dzieci, tym rosło więcej chciwych władzy nieprzyjaciół. Brat bratu, synowiec stryjowi wydierał, nierzadko syn powstawał na ojca. Niektórzy, sami ku obronie i napaści nie mając siły, przyzywali Prusaków i Litwę. Siedzieli już na karku Mazowsza i Pomorza niemieccy panowie krzyżowi prawem i bezprawiem zawojowując ziemie.⁸

Czasy były zaprawdę ciężkie. Nikt nikomu nie wierzył. Straszno było pojechać zaproszonemu w gościnę, aby jak to się nieraz trafiało, nie zostać schwyconym, więzionym w klatce i zmuszonym oddawać powiaty za życia. Wyruszyć do odleglejszego kościoła bał się każdy bez silnego orszaku, bo i tam u ołtarza mógł nań czyhać brat, swat albo jaki pokrewny. Nie pomagały na to ani małżeństwa, ani kumania się i krwi związki.

Namiętności były rozhuwane. Pobożność posunięta do szału niemal, rozpusta do bezwstydu, a obok wstrzeźliwość do klasztornego w małżeństwach odosobnienia. Gdy Bolesław Wstydlivy z własną nie żył żoną, Mszczuj pomorski⁹ trzymał sobie mniszkę ze słupeckiego klasztoru wziętą. Działy się rzeczy straszne, dzikie, znamionujące naturę namiętną, ludzi nieokiełznanych, równie gorąco goniących za złem i dobrem. Miary w niczym nie było. Niewiasty ówczesne dawały przykład świętobliwości nadzwyczajnej, a mężczyźni niektórzy szli pociągnięci za nimi.

Na Bolesława Pobożnego wpływała, choć łagodna i dobra, ale jak siostra świętobliwa, Jolanta, żona jego, która wzdychała przy mężu do klasztoru. Bolesław we wszystkim, oprócz wojennego szału, umiarkowańszy, nie dał się jej jednak skłonić do naśladowania szwagra Pudyka.¹⁰ Małżeństwo było przykładne, miłujące się, a Bolesław wymógł na żonie, iż o Bogu nie zapominając, o dzieciach i o nim też pamiętała.

⁷ Z Sasami a Brande(n)burczykami... – od 1147 r. książęta sascy Henryk Lew i Albrecht Niedźwiedz pod hasłem wyprawy krzyżowej na pogan rozpoczęli podboje Słowian osiadłych między Łabą a Odrą. Na zdobytych ziemiach Henryk Lew utworzył na samej północy księstwo meklemburskie, Albrecht Niedźwiedz i jego syn Otto utworzyli Marchię Brandenburską. (Marchiami nazywano w cesarstwie niemieckim w tym okresie okręgi wojskowo-administracyjne powstałe na ziemiach zdobytych: była np. marchia łużycka, austriacka, morawska). Brandenburgia (dawniej: Brandeburgia): nazwa pochodzi od nazwy centralnego grodu Branibor. Marchia Brandenburska, jak pokaże w powieści Kraszewski, stała się rychło najbardziej agresywnym niemieckim księstwem feudalnym.

⁸ ...panowie krzyżowi, prawem i bezprawiem zawojowując ziemie – krzyżacy sprowadzeni przez Konrada Mazowieckiego w 1226 r. dla obrony Mazowsza przed napadami pogańskich Prusów już po 40 latach stali się potęgą grożącą książętom piastowskim.

⁹ Mszczuj pomorski albo Mestwin – syn Świętopełka, księcia Pomorza Zachodniego; umarł w 1295 r.

¹⁰ Pudyk, Pudicus (łac.) – Wstydlivy; przydomek Bolesława, księcia krakowskiego (umarł w 1279 r.).

Siostra Kinga napominała ją ciągle do surowszego życia, do przygotowania się, aby owdowiawszy, razem z nią poszła resztę życia w klasztorze poświęcić Bogu. Jolanta godziła pobożność swą z obowiązkami. Trzy córki wyrosły u boku troskliwej matki wychowane skromnie i pobożnie.

Książę Bolesław, gdy mu dawały spocząć Brandeburczyki, a mógł posiedzieć trochę na kaliskim zamku, prawdziwie był szczęśliwy. Wojak nie stracił prostoty prawie dziecięcej. Siedział z żoną i dziećmi u komina, bawił się rozmową z nimi i służbą, śmiał się i rozkoszował życiem jakby prostego ziemianina.

Niejeden zamożny panek może więcej nad niego sadził się na przepych, na stół i suknie. Książę kaliski drugim pozwalał się tym bawić, sam nie potrzebując żadnego zbytku. Skarbiec był dostatni, ale też z niego córki trzeba było wyposażyć i rycerstwo opłacić; dla siebie zaś oboje księstwo tak mało potrzebowali, iż go wcale nie trwonili. Każda zaś wyprawa łupem zdobytym go pomnażała.

Księżna Jolanta, wyjąwszy dni świąteczne i gdy goście na dwór zjechali, nosiła szaty wełniane, szare, klejnotów nigdy, zasłonę białą na głowie. Dziewczęta chadzały w bieliznie¹¹ albo zimą w prostych sukniach wełnianych. Książę w swoim kożuszku, podpasany rzemieńcem, jedwabiu nie wkładał, chyba na wielkie święto do kościoła dla Boga, nie dla siebie i ludzi. Rozumie się, że przy takim panu i dwór bardzo się stroić nie mógł, choć mu z tym czasem bywało markotno, gdy który z powinowatych książąt nawykły do zbytków niemieckich na dwór zajechał.

W Kaliszu rzadko dobywano sreber i złocistych naczyń lub opon ze Wschodu przywiezionych, chyba na uczczenie jakiego dostojnika Kościoła lub na uroczystość domową. Gdy książę Bolesław zmuszony był przybrać się i nawieszać łańcuchy na siebie, chodził w nich jak w kajdanach, zrywając te więzy co najrychlej.

Oboje księstwo pobożni byli bardzo, co nie przeszkadzało im powszednie życie mieć w pamięci. Kapelan, który razem kancelarskie pełnił obowiązki, ciągle był u jego boku. Niekiedy drugi pobożny starszek kapłan go wyręczał. Miał wojewodów, podkomorzich, urzędników dworu ale ci jak przyjaciele domowi stali przy nim. Padać przed sobą nie dawał Bolesław nikomu, poufalszych najwięcej kochał, kłamstwem, choć dla poczczenia¹², się brzydził.

Miał przy tym książę różne zamiłowania ziemianina. Konie i stada swe lubił, o urodzaje u ludzi pilno się dowiadywał, z prostymi zagrodnikami rozmawiał i żartował, jakby mu równi byli. Nieraz ubogiego dziada na drodze spotkawszy, wiódł go z sobą, śmiejąc mu się i wyzywając na gawędę. Miał to szczęśliwe usposobienie, że wesołym rad był być, czoła dla powagi nie chmurzy. Posepnych też ludzi podejrzewał, iż chyba złego coś na myśli mieć musieli.

W ostatnich latach, Bolesław mało zażył spoczynku, bo go szczególnie Brandeburczyki napastowali. Zmarła była matka Przemysława Pogrobka, nad którego spadkiem czuwać musiał jak nad własną ziemią. Ledwie Santok spalili umyślnie, aby się nie dać w nim Niemcom zagnieździć, ledwie Pobożny trzy zameczki na granicy założył dla obrony, już Brandeburczycy odbudowali twierdzę nadgraniczną i Suliniec jeszcze wznieśli, aby w nim zasiadłszy się, czatować.

Suliniec tedy odbierać im trzeba było, a że go rozpaczliwie broniono, szli Polacy jak mostem tarczami okryci pod świeże jego ściany, toporami odbili glinę z nich i podpaliwszy, dopiero opanowali. Dostał się Sas Sabel w niewolę, ale Santoka odebrać nie udało się. Następnego roku znowu Santockie trzeba było niszczyć, aby Brandeburczykom i Sasom pokoju nie dać, a do Soldyna po drabinach się dobijać. Z obu stron napadano się nieustannie, a o ten Santok niemało się krwi przelało.

¹¹ Bielizna – tu zgodnie ze staropolskim znaczeniem: odzież lniana.

¹² Poczczenie – uznanie czci, złożenie hołdu.

Wychowaniec księcia Bolesława, Przemysław Pogrobek, którego doma poufale Przemkiem Sierotką zwano, dochodził lat szesnastu. Chłopię było na podziw piękne, silne, postawne, żywe i rwało się już spod stryjowskiej opieki, nie dla władzy, bo dziecko było powolne, ale dla rycerskich popisów. Książę Bolesław zaś nie puszczał go za wcześnie na wojnę, bo obawiał się i kochał go, a jedyny u niego był. Wiedział, że młodego puścić na swobodę najniebezpieczniejsza rzecz. Wstrzymywał go, jak mógł, ale w szesnastu leciech młodzieniaszka naówczas od wojny powściągnąć, gdy ta była każdego księcia powołaniem, nie mogła największa powaga.

Tymczasem wiosną 1272 roku, znowu ten Santok, aby się Niemcy w nim nie zagnieździli i nie zagospodarowali, trzeba było albo im wyrwać z rąk koniecznie, lub przynajmniej nie dać im w nim chwili pokoju. Książę Bolesław sam się już na nich wybierał, gdy majowe powietrze wilgotne, na które się rankiem naraził, sprowadziło zimnicę. Zwołano zaraz baby, aby na to radziły; dały mu pić ziele gorzkie okrutnie, zażegnowały, odprawił ksiądz nabożeństwo, a zimnica nie chciała precz. Zawsze łatwiej jej dostać, niż się pozbyć.

Książę na wszystkie cierpienia wytrzymały, że mu to choróbko było nie na rękę, smucił się i niecierpliwił. Najpiękniejsza pora roku do wyprawy mijała, rozścielały się bujnie zielone trawy, pasza dla koni była wyborna, powietrze dla żołnierzy ni skwarne, ni nadto zimne. Wyprawić zaś ludzi bez siebie nie mógł książę, bo go nikt przy nich zastąpić nie umiał. Gdy on – wesoly – swój gruby, rubaszny podniósł głos, leciało rycerstwo razem z nim, nie bacząc na nic.

Bądź co bądź tedy, a było to w drugiej maja połowie, książę już nawet z zimnicą wybierać się był gotów. Mówił, iż miał to doświadczenie raz w życiu, że na koniu się dobrze wytrząsłszy i spotniawszy, choroby pozbył pośród wojny. Księżna Jolanta, która mu nigdy w niczym na zawadzie nie stawała, opierać się nie śmiała, ale niespokojną była.

Pięknego wieczora majowego siedzieli w podsieniu zamku kaliskiego Bolesław, Jolanta i córka jej najmłodsza. Gród ten, choć na owe czasy dosyć warowny, wspaniałym wcale nie był. Dworce w większej części stały z drzewa budowane i niskie.

Książę właśnie, w kożusku za stołem siedząc, winem ciepłym korzennym na zimnicę sobie radził, księżna, mając córkę u boku, z dala cicho z nią rozmawiała, gdy pacholę dworskie wbiegło z radosną twarzą, oznajmując, że z Poznania jechali goście. A że Przemka Sierotkę kochali wszyscy, radość wybuchła wielka.

– Mów, gość a nie goście! – zawołał książę do chłopca, który stał z oczyma wesolymi, pewien, że mu za nowinę będą wdzięczni.

I kubek na stole postawił.

– Ależ goście, proszę Miłości Waszej – dodało chłopię – bo nie sam książę Przemko, ale z nim dużo jakichś panów.

Księżna Jolanta wstała trochę niespokojna, spoglądając na męża.

– Przemko bo lubi – odezwał się książę – aby koło niego było świetnie, ludno, błyszcząco. Musiał już sobie dwór pański przystroić, a temu się zda, że nie sam jedzie.

I wyszedł książę na spotkanie pod drugie drzwi ku podwórcom, gdy goście właśnie z koni zsiadali. W istocie orszak był ludny i świetny. Na czele jego jechał młodziuchny, szesnastoletni, już bujno wyrosły, z długimi włosy złotawymi, z niebieskimi oczyma, zręczny, gibki, silny, dziwnie pańsko patrzący z góry Przemko.

Można mu było lat dać więcej, niż ich miał w istocie. Bródka i wąsy już mu się wysypywały, a nie tknięte jeszcze, okrywały jakby puszką złocistą ładną jego twarzyczkę, wesoło się uśmiechającą. Chociaż w podróży, książę miał zbroję stalową, bogato wysadzaną i złoconą, ubranie obcisłe, pas błyszczący, nożyk u pasa jak cacko, ostrogi złocone, a na jednym ramieniu płaszcz lekki, ciemnoczerwony ze złotem. Widać było, że się przystroić lubił, że dbał o to, co miał na sobie. Hełm też, w pasy złocone, skrzydłami błyskał w kamienie sa-

dzonymi. W stroju tym Przemko tak był w istocie piękny, tak wyglądał pańsko, iż spojrzawszy nań, stryj ręce podniósł dobrodusznie wołając: – Toś mi pan! Toś mi piękny!

I po otaczających powiódłszy wzrokiem, przekonał się, że chłopię słuszność miało, bo nie sam przybywał Przemko, ale z paradą i dostojnymi gośćmi, jakby w uroczystym jakimś poselstwie.

Na koniu okrytym obok jechał poważny mąż, także odziany i zbrojny jak na gody, Przedpełk, wojewoda poznański, za nim Mścibór, kasztelan i trzech ziemian starszych, dalej Nałęcz Pawełek i Zaręba, Michnem zwany, co się razem z księciem wychowywali. Wszyscy oni na wzór pana byli poprzyodziejwani świętecznie, bo Przemko lubił i wymagał, aby koło niego wszystko pięknie wyglądało.

Tej prostoty obyczaju, jaką miał stryj, nie nauczył się od niego – a i po ojcu zamiłowania tego w blasku odziedziczyć nie mógł, bo Przemysł stary, pan pobożny, co noce spędzał na modlitwach, także się w przepychu nie kochał, ani matka nieboszczka, Elżbieta, wagi do niego nie przywiązywała. Jak się to często zdarza, wziął może po pradziadach skłonność tę Przemko lub mu ją dała krew gorąca i fantazja młodzieńcza.

U niego wszystko, co go otaczało, aż do najprostszej czeladzi, strojne być musiało. Konie też pobrzękiwały i połyskiwały, a na głowach ich kity sterczały i na piersiach chwośców było pełno i blaszek. Cały orszak wielkopolskiego księcia połyskiwał i błyszczał. On sam, żywo z konia skoczywszy, hełm zdjął i do stryja podszedł unizienie, pokornie się kłaniając a po rękach go całując.

Ten oburącz go chwycił za szyję i ścisnął jak własne dziecko, a gdy Przemko głowę podniósł, z rozkoszą mu się przypatrywać począł.

– Szesnaście lat! Młokos! – zaśmiał się. – A takie to już wybujale, zmężniałe, jak gdyby miał dwadzieścia! Co ci tak pilno!

– Pewno, pewno, pilno mi, stryju kochany, pilno! – odparł Przemko wesoło. – Już bym w pole rad! Czas! Moi wszyscy w tych latach co ja, już się ucierali, a ja muszę z kapelanem czytać i w dziedzincu do tarczy oszczepem ciskać, gdy mnie świerzbi dłoń użyć go na tych Sasów lub...

– O, będziesz tej zabawki dosyć jeszcze miał! – westchnął Bolesław. – Niemców się nie przebierze tak prędko! Zaczekaj!

Przerwał mowę wojewoda Przedpełk, przystępując dla powitania. Spojrzał nań Bolesław i uprzejmie go pozdrowił, a potem innych przybyłych z synowcem witał poufale, uśmiechając się do nich, całą tę starszyznę pociągając za sobą do dworu.

Że w izbach duszno było, zasiedli znowu w podsieniach, gdzie już księżnej Jolanty nie było. Staruszek tylko ksiądz Malcher stał na uboczu. Był to ulubiony obojgu księstwu, pobożny a jak oni łagodny człowiek, spokojnego ducha, pokory wielkiej, która przy świątobliwości zdała się ubłogosławieniem. Przemko postąpił ku niemu, aby go, jak należało, w rękę pocałować, a staruszek pobłogosławił go z rozrzewnieniem.

Ksiązę Bolesław, wnet biedę swą przypomniawszy, począł na zimnicę narzekać.

– Gdyby to licho później choć przyszło! – zawołał. – Mnie tu potrzeba iść na tych przekłetych zbójów, na Santok, na Strzelce... a jam się do niczego nie zdał. Jeszcze dopóki trzęsie, nie dbałbym o nią; gdy zacznie palić, łeb trzaska i człowiek sobą nie władnie.

Przemko popatrzył na swego wojewodę, przemówili do siebie oczyma.

– Stryju kochany – rzekł – gdyby to nie był grzech i niepoczciwość wielka, powiedziałbym, że się z tej choroby cieszę. Zimnica przejdzie, a teraz ona tego dokazać może, iż mnie pozwolicie iść na Santok za siebie.

Ksiązę Bolesław ręce podniósł żywo do góry.

– Nie pozwolę! – zawołał. – Nie pozwolę! Z tymi zbójami nie twoja rzecz się mierzyć; na pierwszą wyprawę ja cię sam będę prowadził.

Przemko się zasepił i obrócił ku swemu wojewodzie.

– Mówcież wy za mną! – zawołał. – Mówcie wy!
Wojewoda podszedł krok ku księciu Bolesławowi.
– Miłościwy Panie! – odezwał się. – Naszemu młodemu księciu czas by siły spróbować i trudno nam go utrzymać, rwie się strasznie!
– Ale nie pora dlań jeszcze! Nie pora! – rzekł książę Bolesław spokojnie. – Kiedy czas ma być, mnie do sądu zostawcie! Jednego jego mamy! – I poszedł Przemka uściskać.
– Stryju miłościwy! Puść! Puść mnie! Wrócimy cali. Przedpełk mi za kuma do tego chrztu krwi służyć będzie. Mąż jest doświadczony.
– Nie przeczę – zawołał książę – ale i ja w kumy nie gorszym od niego!
Wojewoda cofnął się schylając głowę.
– Ja bo sam chciałem cię w pole prowadzić, gdyby nie ta nieszczęsna zimnica – mówił stary. – A! W poręż ona mnie złapała! W poręż! Tymczasem Sasy i Branderburgi okopują się, pale biją, zamki klecą, a coraz mocniejsi się stają. Dać się im tu osiedzieć, później trudno będzie wykurzyć! Ze spoczynku korzystają, a tu pasza, a tu ludek wypoczęty!
– Skińcież tylko! Pozwólcie, na miłego Boga! My z wojewodą ruszemy jutro!
Na to właśnie wszedł Jan, zwany Janko¹³, kasztelan kaliski, poufny księcia, przyboczny sługa i przyjaciel, mąż jak on niemłody, ale zawiędły, krzepki, twarz spalona, aż brunatna, w marszczkach cała, włos przerzedzony, ramiona szerokie, pierś duża, nogi krótkie i jakby przegięte od konia. Odzież miał domową, prostą, jak książę, dlatego może kwaśno się ogładał po strojnym dworze młodego pana.
– W poręż mi przychodzisz – zwrócił się do niego Bolesław – ty, stary mój! Pomożesz mi! Ten młokos, patrzaj go, wyrywa mi się. Słyszysz? Chce mu się Santoka!
Janko zadumany spojrział na Przemka i na wojewodę, ale co miał wziąć stronę swego pana, ramionami ruszył.
– Ano – zamruczał – książę pan zostałbyś z zimnicą doma, a my, z księciem młodym i wojewodą ruszylibyśmy Sasów nastraszyć. Czemu nie?
– To i ty, niegodziwy zdrajco, przeciwko mnie?! – rozśmiał się zafrasowany książę.
Skłonił się kasztelan.
– Wasza Miłość przebaczy, staremu słudze wydaje się, że to by było niezgorzej.
– Beze mnie się obchodzić! – dodał książę.
– Z Waszą Miłością byłoby nam lepiej – odezwał się prawdomówny przyjaciel – toć pewna. Ale jak nam książę pojedziesz słaby, a będziemy go musieli w drodze strzec, to nas Niemcy strzępią.
Książę Bolesław obejrzał się dokoła, a wojewoda poznański dodał:
– Naszemu panu, daj Boże zdrowie, jużci też pora skosztować pola. A od czegoż my we dwu z kasztelanem? Strzec go będziemy lepiej niżli oka w głowie, bo każdy z nas by zań oboje oczów oddał.
– Stryju – odezwał się Przemko, podchodząc ku niemu i śmiejąc się wesoło – byłeś mi zawsze ojcem, bądźże dobrym i łaskawym! Mnie już wnętrzości goreją, aby raz w pole wyciągnąć!
– Na te pierwociny jam właśnie sam chciał być z tobą – rzekł stryj smutnie – a ty mi się wyrywasz! Należy mi się do twojego rycerskiego pasa podać ci samemu rękę, kiedym się chował i chuchał nad tobą. Ty, niewdzięczny, dla pośpiechu i mnie się wyrzekasz!
Przemko aż pokląkł przed nim i ręce złożył. Stary skłopotany przysunął się, ściskając go, milczący. Nie odpowiedział nic. Sprawa młodego zdawała się wygraną, ale słowo stanowcze wyrzeczone jeszcze nie było. Wojewoda i kasztelan stali milczący, spoglądając na księcia, który zadumał się i coś jak łzę otarł z oka.
– Ale boś ty mi jedyny! – rzekł powoli i łagodnie. – Strach mi o ciebie. Przy moim boku bezpieczniejszym byś był.

¹³ W pierwodruku Jan Janko; wprowadzona poprawka zgodna jest z informacją Długosza.

– My go też nie spuścimy z oka! – zawołał Janko czule. – Waszej Miłości potrzebny spoczynek. Choróbsko to na wyprawę, gdzie trzeba w polu na rosie spać nie mając się gdzie ogrzać, a uznoić, a znużyć... to najgorsze utrapienie! Z zimnicą w pole iść nie można, a w pole ciągnąć musimy. Niechaj młody pan poprobuje!

– Niech probuje! – wstawił się wojewoda poznański.

Drudzy z dala stojący poczęli też mruzczyć, prosząc za nim. Bolesław stał w niepewności, wahając się i raz jeszcze uściśnął chłopca.

– A, a – mówił – ja bo na tej twojej głowie wszystkie przyszłości złożyłem nadzieje! Śmieje mi się na niej więcej niż książęca czapka. Kto wie? Odrodzona korona, może!

Przemko się zarumienił, oczy mu się zaiskrzyły, wtem Bolesław nagle umilkł, spuścił wzrok ku ziemi, posmutniał.

– Wola boża, wola boża – szepnął cicho. – Niech będzie, jako pragnie i jak wy żądacie, ale strzeżcie go! Strzeżcie!

Przemko upadł na kolana i natychmiast porwał się, rękę podnosząc do góry, zwrócony ku swoim.

– Wojewodo! Kasztelanie! – krzyknął podniesionym głosem, który brzmiał radością i zwycięstwem. – Na Santok! Na Santok! Choćby dziś jeszcze!

ROZDZIAŁ II

W kilka dni potem, księżę Bolesław sam znowu ze swą zimnicą i starym księdzem Malcherem, siedział na kaliskim zamku, szerzej niż zwykle wiosenną wodą Prośny oblanym. Przemko z wojewodą i kasztelanem dodanymi mu za opiekunów pociągnął na Santok. Stryj miał się czym niepokoić. Chłopię to było jego marzeniem, nadzieją, przyszłością. Bolesław w myśli swej budował na nim przyszłe odrodzenie kraju. Chciał go mieć rozumnym, pobożnym, wstrzemięźliwym, miłości i poszanowanie u ludzi umiejącym sobie pozyskać.

Obok wychowania sieroty, wedle ówczesnych pojęć o nim, księżę chodził bardzo troskliwie, najlepszych, najzdolniejszych ludzi przydając mu do boku. Tylon kanclerzem był razem i nauczycielem młodzieńca, wojewoda Przedpełk uczył go rycerskiej sprawy i obyczaju księżęcego. Oba mężowie stateczni nie spuszczały go z oka, kształcili tak, aby nadziejom stryja odpowiedział. Często też Bolesław brał go do siebie i nauczał sam, ale za miękkiem się czuł dla niego i długo nie trzymał. Kochał go nadto, więc mu pobłażał.

Rosnąc tak Pogrobek na prześlicznego wybujał młodziana, któremu nic zarzucić nie było można, oprócz że w nim za wcześnie gorąca krew Piastowska grać zaczynała, którą w innych ledwie najpobożniejsze ówczesne niewiasty pohamować mogły i poskromić. Ciągnęły go już nad miarę wdzięczne liczka, a choć mistrzowie do zbytku surowymi nie byli, choć Tylon patrzył na to przez szpary, niepokoił się trochę tą za wczesną dojrzałością.

Księża, nie bacząc na to, że miał zaledwie lat szesnaście, już go żenić chcieli. Wojewoda nie był też od tego. Pociągało to za sobą usamowolnienie, a choć księżę Bolesław nie był zadowolonym władcy synowca i puściłby mu chętnie, co trzymał pod opieką, lękał się, aby gorącością młodzieńczą nie popsuł, co on z wielkim trudem mu zabezpieczał.

Teraz, gdy go już puszczono w pole, na wojnę, szły za tym następstwa konieczne, trzeba go było żenić i wypuścić na wolę. Księżę Bolko więcej myślał o tym niż o swojej zimnicy, którą pora wiosenna i błotniste zamku okolice sprowadziły.

– Księżu Malcherze – mówił do staruszka – mężu dobrej rady, powiedz mi, poradź mi, co poczynać z tym kochanym Przemkiem! Poszedł już w pole! Niech go tam Bóg uchowa całym! Wojewoda i kasztelan ręczyli mi głowy swoimi, że go nie odstąpią. Młodość zawsze zbyt gorącą bywa. Da Bóg powróci, trzeba go będzie wypuścić na swobodę.

Ksiądz Malcher począł z cicha:

– Tak należy. Wasza Miłość za żywota swojego właśnie cugli mu popuść. Zobaczysz, jak wolności zażywać będzie. Sposób to najlepszy. Zapędzi się za daleko, to go swą powagą powstrzymacie. Gdyby później nagle całą wolę oddzierzał, nie wypróbowałszy siebie, mógłby się nadto rozbrykać.

– I to prawda! – rzekł Bolesław. – Rad bym go wodził i z oka nie spuszczał. Wojewoda donosił mi, że na niewiasty już rzuca nadto pożądlivymi oczyma, więc go i żenić trzeba.

Ksiądz potwierdził wniosek.

– Młodyc jest bardzo – dodał – ale wedle rady św. Pawła lepiej, by się ożenił, niżby gorzeć miał.

– Z wyborem żony troska nie mała – westchnął stary ksiądz. – Niemieckich dziewczek na se-ciny jest, które by nam chętnie dano dla niego, ale patrząc na Śląsko i na innych naszych, którym za żonami Niemcy dwory poobsiadali, Niemki nie chcę. Rusinka mi też nie do smaku, bo dumne są i samowolne. Dalej szukać trudno.

Wzdychał biedny opiekun ciężko.

– Byle pobożna, świętobliwa niewiasta była – zamknął ks. Malcher.

– Takich jak moja w świecie mało – odezwał się Bolesław – zaś świętych jak Jadwiga, Salomea i Kinga¹⁴ dla Przemka nie chcę, bo mu potomstwa trzeba. Prostemu człowiekowi łatwa rzecz ożenić się, byle niewiasta do serca przypadła, a dziedzicowi ziem znacznych na wszystko zważać trzeba.

Ksiądz Malcher słuchał z uwagą lecz nie odzywał się już, w politykę mieszać nie chcąc.

– Jedną z moich dziewcząt byłbym mu swatał – mówił Bolesław – choć powinowactwo bliskie, ale wiek nie przystał i rachuba była niedobra. Po mnie on i tak Kalisz zabierze, a trzeba mu innej, co by albo ziemię, albo nadzieję dziedzictwa przyniosła.

Wzdychał starszek gorzkie ziele popijając, które przed nim stało, krzywił się i spluwał.

– Niemało, księżo mój, troski z tym synem przybranym, więcej niż z dziećmi własnymi. Żony mu teraz potrzeba rychło, aby dziewczki nad nim nie przewodziły, co zła rzecz i grzeszna. Rok jeszcze jaki przebrykać może swobodnie, dalej go do domu przywiązać trzeba, aby i ziemianom ich niewiast nie bałamucił lub jak Mestwin mniszek po klasztorach nie szukał i gorszej jeszcze obrazy bożej się nie dopuszczał.

Nawzdychawszy się, książe wstał i począł przechadzać. Zaledwie wyprawa na Santok poszła, coraz się nią mocniej niepokoił. Pilno mu było dostać języka.

– Sasy te – mrucał do księdza się zbliżając – biją się wściekle. W pierwsze pole na nich iść, guza można napytać. Żłem zrobił, że na nich Przemka puściłem, na Litwę bezpieczniej było, ale wstrzymać takiego w ukropie kapanego sposobu nie było.

– Bóg łaskaw – rzekł starowina uspokajając.

Dzień tak minął jeden, drugi i trzeci, rósł niepokój straszny. Bolesław gniewać się już chciał, że mu ani Janko jego, ni Przedpełk nic znać nie dawali; kazał im przecież mieć gońców pogotowiu. Milczenie uparte złe myśli nastęrczało.

– Któż wie – mówił książe dnia trzeciego – te łotry Sasy, przebiegli ludzie, mogli się zawczasu dowiedzieć o wyprawie i uczynić na nich zasadzkę.

Ksiądz starszek i księżna Jolanta próżno się go uspokajając starali. Słowa ich pomagały mało. Zbierał się już ślać za wojskami, tak go gryzło, iż nic o Przemku nie wiedział. Rozważniejszy ksiądz Malcher bardzo dokładnie obrachowywał panu, iż, przy największym pośpiechu, wiadomość żadna przyjść tak prędko nie mogła. Nic i to nie pomagało. Wyrzucał sobie stryj, iż nierozważnie młokosa puścił.

– Gotów wojewodę swego i kasztelana opętać, a do jakiego szalonego namówić kroku – gderał. – Santok ten dla nas zawsze był nieszczęśliwym. Brałiśmy go, brali i wziąć nie mogli, a co krwi kosztował!

Dopiero dnia czwartego nadbiegł goniec od poznańskiego wojewody z pozdrowieniem i wiadomością, że nigdzie nieprzyjaciela spotkać nie mogli, bo się wszystek po zamkach i grodkach pozamykał. Wtargnęli w Santockie pustosząc je, ale bić się z kim nie było i młody wojak narzekał. Sasi, zawczasu pomiarkowawszy, iż siłom połączonym Bolesława kaliskiego, Ziomomysła kujawskiego, który też im wysłał posiłki, i poznańskiego Przemka nie podolają, skryli się do miejsc obronnych, dopóki by nawała nie przeszła.

Młody książe z męstwem swym na popis wyjść nie mogąc rozpaczał. Bolko, wieść o tym odebrawszy, gońca nazad odprawił z krótkim słowem: „Nie chce się Brandeburczyk bić, kraj mu obrócić w perzynę, wykurzycie go z jamy!”

Wieść tę odebrawszy, stary odetchnął, mniej się już lękając o ukochanego synowca. Łowy to już były i plądrowanie a nie wojna. Niebezpieczeństwo młodemu nie groziło. W ciągu całej

¹⁴ Jadwiga, Salomea, Kinga... – Jadwiga, żona Henryka Brodatego; Salomea, siostra Bolesława Wstydlwego, królowa Halicza i Węgier; Kinga (Kunegunda), żona Bolesława Wstydlwego – wszystkie one opuściły mężów i osiadły w klasztorze.

tej wiosennej wyprawy, co dni kilka przychodziły wieści, zawsze jedno, że Santockie niszczone i łupy brano ogromne. Odwet to był konieczny, ale nie bój, którego się lękał stary. Nim się skończyło uganie, zimnica księcia Bolesława przeszła z cieplejszymi dniami, stary ozdrowiał, a że się o synowca nie lękał, i dobra myśl mu wróciła.

Nie upłynęło niedziel kilku, gdy przodownicy pędzący trzody i niewolnika, zjawili się w Kaliszu. Wojska wracały zwycięskie. Wojewoda poznański ze swą częścią łupu wprost poszedł do domu, kujawscy też. Przemko z Jankiem, kasztelanem kaliskim, jednego wieczora przybył na zamek. Stał już u wrót księżę Bolesław, czekając na umiłowanego, który skoczył z konia, witając go równie serdecznie.

– Chwała Panu! Powracasz cały! Zwycięsko! – odezwał się stary rozjaśniony i wesół. – Chwała Panu!

– A mnie zwycięstwa tego wstyd! – odpowiedział Przemko. – Mieliśmy do walczenia ze starcami i babami. Trzeba było tylko palić i niszczyć! Łupu jest dość, pociechy żadnej. Gdybym nie uprosił wojewody, abyśmy Soldyna dobywali koniecznie, żołnierza bym nie widział.

Twarz się Przemkowi zapalała, gdy mówił.

– O, około Soldyna mieliśmy co robić – ciągnął dalej. – Zameczek, prawda, niezbyt warowny, ale załodze przyznać trzeba, iż się tego bronić umiała. Naszych też widzieć trzeba było, gdy się na ściany drapali, bo inaczej jak po drabinach nie bylibyśmy ich dostali. Naspadało dużo, nazabijali wielu, ażeśmy ich przemogli, wdarliśmy się na gród i zburzyli do szczętu.

To mówiąc, obrócił się za siebie, chcąc wskazać stryjowi niewolników niemieckich, których mu wiódł wraz z dowódcą. Bolesław zaś nie chciwy tego widoku, a młodego wychowanka pragnąc mieć co rychlej, pociągnął go za sobą do izby. Tu posadziwszy przy sobie, sam wojak namiętny, badać go dopiero począł, ażeby zobaczyć, co się w duszy młodego działo.

Pierwsze łowy, pierwsza wojna, pierwsza miłość – pierwociny życia, zawsze upajają młodych. Przemko też zdał mu się pijany tą wyprawą. Wszystko w niej wydawało mu się osobliwe, szczególne, piękne; słowa z ust lały się potokiem. Uśmiechał się stryj słuchając.

Zimniejszy daleko kasztelan kaliski stał, potakiwał, choć zapału tego nie dzielił. Dla niego przejście kraju nieprzyjacielskiego ogniem i mieczem było rzeczą tak zwyczajną, iż o niej mówić nie było warto. On razy tyle przeszedł już ze swymi Santockie, i całe pogranicze Marchii Brandeburskiej.

Z dumą ukazywał Przemko na zbroi ślad pchnięcia i razów, które przy zdobywaniu Soldyna otrzymał. Wolałby był ranę cięższą, krwawą, lecz nie poszczyściło mu się. Za stołem u wieczerzy nie było o niczym mowy, tylko o zwycięskiej wyprawie, udziale w niej Kujawiaków i Poznańczyków, i o tym, jaki łup się dostał komu. Nawet najmniej chciwy wódz, jakim był księżę Bolesław, pragnąc musiał zdobyć, bo ona zubożała i trwożyła nieprzyjaciela.

Dla spoczynku chciał Bolesław zatrzymać u siebie synowca, lecz ten mu się, jak nigdy, z niecierpliwością wyrwał wielką. Nad dzień jeden nie mógł się nim pocieszyć. Nigdy jeszcze takim rozgorzałym nie widział młodego, tak razem szczęśliwym i niespokojnym. Przypisywał to urokowi pierwszej rycerskiej wycieczki.

Trzeciego dnia przed świtem, unikając gorąca, wymknął mu się Przemko, a stary zajął się podziałem i rozdaniem spędzonych trzód i zabranego niewolnika. Łup był znaczny, nie tak ze zdobytego zamczyska, jak ze wsi i zagród splądrowanych niemiłosiernie obyczajem wieku. Gnano ogromne stada bydła, owiec, koni, szły wozy pełne odzieży, sukna i płócien, a za nimi szli powiązani łykami i sznurami jeńcy, których w oddalonych od granicy miejscach osadzano pod dozorem lub na zamkowe oddawano posługi.

Na samej rubieży od Marchii Brandeburskiej, w jednym z zameczków pobudowanych przez księcia, zwanym Niesłusz, siedział naówczas na straży jego osiwały w wojnach Krzywosąd, jeden z Bolesławowych ulubieńców. Wielkiej tam pilności było potrzeba, nieustanne-

go czuwania; zdziwił się więc mocno księżę, gdy go ujrzał przybywającego do Kalisza w kilkanaście koni. Uląkł się, czy Sasi gródka mu nie wzięli, mszcząc się za spustoszenia, ale Krzywosąd przybywał nie potłuczony, w całej zbroi, z jasną twarzą.

– A cóż ty mi, stary, przynosisz?! – zawołał Bolesław, pokłon przyjmując. – Tameś ty w Niesłuszu potrzebniejszy niż tu. Ściany z chrustu gliną lepione, licha warte, a ty tam murem i ścianą.

Krzywosąd śmiał się, ocierając uznojone czoło.

– Nie ma niebezpieczeństwa – rzekł. – Po tej wyprawie Brandeburczyk posiedzi cicho. Ja za sprawą pewną do Miłości Waszej.

– Co za sprawa?

– A to, o tę dziewczkę dowódcy ze Soldyna – odezwał się Krzywosąd – co ją razem z innymi w niewolę zabrono. Stryj i matka ofiarują okup znaczny. Do mnie się z zakłęciami wielkimi udali, abym ją odzyskał.

– A gdzie ta branka jest? – spytał księżę.

– Musielić ją tu przywieść, bo ze wszystkich jeńców najcenniejszą była – rzekł kasztelan.

– Dziewczyna lat piętnaście i piękna bardzo; ojciec pokumany był z margrafem.

– Spletli ci baśń – odparł stary księżę – bo ja tu o żadnej takiej dziewczce nie wiem.

– Przecież jej by nie zabili ani by się mogła ukryć!

Kazał księżę zawołać kasztelana Janka, który się wkrótce zjawił. Spytany o branke, Soldynowego dowódcy córkę, ramionami poruszył.

– Ja o niej nie wiem – rzekł.

Mówił jednak tak jakoś, że mu uwierzyć było trudno. Bolesław, popatrzawszy nań, podumawszy, Krzywosądowi kazał iść spoczywać i jeść, a sam na bok szedł ze swym kasztelanem.

– Co się z tą Niemką stało? – napał go. – Ty wiesz?

Janko pomilczał trochę.

– Pono Przemko ją swoim kazał wziąć i jak oka w głowie strzegąc, aby palcem jej nikt nie śmiał tknąć, do Poznania prowadzić. A zagroził, gdyby jej się co stało, że na gardle ukarze.

Bolesław namarszczył się zakłopotał.

– A widziałeś ty ją? – spytał.

– Jakże nie! – rzekł Janko. – Ojciec jej bronił tak zajadle, że gdyby z tyłu pochwyciwszy, go nie rozbroili, dałby się był pewnie za nią rozsiekać. Dziewka młodziuśka, piękności osobliwej, śmiała jak ojciec, bo też z nożem się uwijała, aż jej go z rąk wrywać musiano, i kilku pokaleczyła. Co za dziw, że młodemu w oko wpadła!

– Młodość, głupstwo! – odparł księżę.

– Żeby ją tak zaraz miał za okup dać, nie myślę – rozśmiał się Janko – prędzej by sam jeszcze zapłacił. Niemiecka dziewczyna, biała jak kołacz pszenny, włosy złote a oczy czarne. Urodziwa!

Księżę stary posmutniał słuchając. Wieczorem Krzywosąda wziął do komory swej.

– Jeżeli się o Niesłusz nie boisz – rzekł – jedź wprost do Poznania, a dziewczkę odbierz. Sam bym za nią zapłacił, aby mi Przemka nie opanowała. Młody jest – co się tam stało – na to nie ma rady, ale jak do niej nawyknie a przylgnie, popsuje mi się. Odbierz mu ją gwałtem! Wracaj do mnie z tym, bom frasobliwy, co się stanie.

Nazajutrz Krzywosąd jechał już do Poznania, a w kilka dni był z powrotem. Zobaczywszy go, księżę podszedł żywo z pytaniem:

– Masz branke?

– Nie dostałem jej. Nikt o niej nie wie. Mówią, że nie ma żadnej.

– Cóż się z nią stało?

– Różnie mnie uwodzili, że zbiegła nocą, drudzy, że po drodze głodem się morząc, zmarła.

Mówił to Krzywosąd, a z twarzy mu patrzyło, że sam temu nie dawał wiary.

A ksiądz Tylon, a Przedpełk? Ci wiedzieć muszą, co się z jeńcami stało!

– Ni jeden, ni drugi nie chcą wiedzieć o niczym. Ramionami zzymają, rękami rozkładają i milczą. Dziewkę może gdzie schowali, a wydać jej za największy okup nie myślą.

– Przemka pytałeś?

– Wiedział, z czym przybyłem, i sam to zagaił. Odsyłał mnie do drugich i tylem widział, że pozbyć mnie się chciał co rychlej.

Tu Krzywosąd, pomilczawszy, dokończył:

– Nie taka to wielka rzecz jedna niemiecka dziewczyna, aby za nią czynić pogonie. Jestli gdzie, pewnie na wierzch wypłynie. W wojnie jeńców się nie doliczyć, a po drodze zawsze ich nie stanie tylu, co było w łykach.

Krzywosądowi pono ta jazda i tropienie już się naprzykrzyło, rad był do Niesłusza wracać i księciu radził, aby go nie strzymywał dłużej, bo choć czuł grodek bezpiecznym, wszelako diabeł i Brandeburczyk nigdy nie śpią.

I o brance potem słyhać już nie było. Baczny opiekun miał jednak swych donosicieli na dworze w Poznaniu. Nic tam baczności jego nie uchodziło. W miesiąc potem wiedział na pewno, iż niemiecka branka na zamku siedziała ukryta, a Przemko w niej rozmiłowany był strasznie, o wszystkim dla niej zapominając. Wojewodzie poznańskiemu, który go o to upominał, surowo odpowiedział młody książę, aby mu się do tego nie mieszał i księdzu Tylonowi wyrzutów sobie czynić nie dał.

Bolesław, niewiele myśląc, sam wybrał się do synowca. Ilekroć do Poznania przybywał znany z pobożności i łaskawości dla duchownych książę kaliski, biskup, kanonicy, zakony i co było dostojniejszych, przyjmowali go uroczyście. Sam Przemko też szanował go i kochał, więc wybiegł na spotkanie i gościł go jak ojca. Tym razem przyjazd nastąpił tak niespodziewanie, iż nikt nawet przeciw niemu wyjechać nie miał czasu. Książę wysiadał już w podwórku, a nikogo, oprócz dworu, do przyjęcia go nie było. Wybiegł synowiec nierychło w ubraniu nie rycerskim, ale dworskim, strojny i uśmiechnięty, a po raz może pierwszy widokiem opiekuna zmieszany, jakby przełękły, do izb go wprowadził.

Bolesław bacznie wszystko zważał, lecz miłość mu pomiarkowanie dawała i nie dawał poznać po sobie, co w myśli miał. Wiedział, że się tu źle działo, lecz przebojem iść przeciwko temu lękał się, aby gorzej jeszcze nie było i – żał mu może było chłopaka.

Na wieczerzę już się mieli czas zebrać wszyscy na zamek; ludzi było dosyć. Siedzieli za stołem oprócz Przedpełka wojewody, Mikołaj łowczy poznański, Blizbór sędzieja, Petrek z Prędocina, Gniewomir podsędek, Tylon kanclerz i innych wielu.

Kaliski książę zdał się być dobrej myśli i ozwał się do synowca żartobliwie:

– Nie wiesz pono ani się spodziewasz, z czym ja przybyłem do ciebie. Oprócz miłości mej, dla której zawsze cię rad widzę, sprawa niemałej wagi.

Wszyscy oczy obrócili na księcia. Ten wesołą twarz okazywał, co świadczyło, że sprawa groźną nie była. Pomilczał trochę, aby słuchający zgadując, co to było, głów sobie trochę namalali. Przemko patrzył niespokojny, nie bez pewnej obawy, która w licu drgała.

– Gdy z was nikt nie odgaduje – ciągnął dalej Bolesław – muszę sam odkryć, z czym przybywam. Sądzę, że gniewu nie ściągnę. Ot, swatem przybyłem!

Zarumienił się Przemko, inni po sobie patrzali.

– Nie byłbym odgadł tego – ozwał się młody książę – bom od Waszej Miłości słyszał niedawno, że mi do małżeństwa było za wcześnie. Jeszczem też wojny nie dosyć skosztował, aby odpoczynku pragnąć.

– Prawda to – rzekł Bolesław – aleś ty u nas jedyny, rodu trzeba, a dlań macierzy. Więc żenić się musisz nie dla siebie, a dla nas. Poświadczy ksiądz Tylon, że ci, których Bóg postawił na świeczniku, nie sobie żyją i nie dla siebie się żenią.

Przemko milczał, dolewał do kubka stryjowi i ręka mu drżała.

– Niewiastkę dla was napatrzoną mam – mówił Bolko – właśnie taką, jak potrzeba. Musimy na Pomorze się oglądać, aby je odzyskać. Konieczna to rzecz, choćby dla Krzyżaków i Brandeburgów, aby oni go nie wzięli. W Szczecinie u starego Barwina wnuczka się chowa, córka Kaszuba. Dziewczyna młoda, przez nią się z Pomorzany zwiążemy. Wiem ja, że mi jej dla was nie odmówią.

Gdy to mówił, Przemko słuchał go z oczyma na stół zwróconymi, lice mu się wcale nie rozjaśniało.

– Wziąłem o niej wiadomość dobrą – ciągnął dalej stryj – dziewczeczka piękna, młoda, jak potrzeba dla ciebie. Wiano też będzie niczego, a Pomorze nam potrzebne. Stary Barwin zniemczał, ale wnuczkę baby wychowały inaczej.

Wojewoda poznański pierwszy głos zabrał, chwając wybór księcia.

– Nie ma co na to rzec, tylko dziękować – rzekł – jechać a swaty ślać.

Przemko zmilczał. Było to zagajenie dopiero. Drugiego dnia już stryj mówił o podróży do Szczecina, jako o pilnej sprawie, do której się zaraz sposobić należało. Nie mógł się synowiec sprzeciwić, tylko zwlekał. Stryj w żarty obracał powolność jego.

– Gdy zobaczysz pomorskie dziewczę, jako mi o niej sprawę zdano – będziesz rad dziękował. Najpiękniejszą jest między pięknymi, a lat nie ma jak kilkanaście. Dziad już zawiadomiony czeka. Jechać potrzeba i brać tylko!

Nie mając się czym tłumaczyć, młody książę składał się tym, iż bez pięknego orszaku ruszyć nie mógł i podarki ślubne przygotować musiał. Ludzie i konie czasu potrzebowali, nimby ich podobierano.

Na wszystko to Bolesław odpowiedź miał gotową, iż z Kalisza dostarczy, czego zabraknie. Naglił i nastawał tak, że zwlec było niepodobna. A że na zamku poznańskim jak u siebie w domu był, co dzień go cały obchodził, wciskając się we wszystkie kąty, opatrując szopy, stajnie i komory nawet, dla czeladzi przeznaczone. Miał może nadzieję, iż klatkę odkryje, w której ptaszka niemieckiego chowano. Nie znalazł go nigdzie.

Błądząc tak dnia jednego i do okien zaglądną, zaszedł do księdza Tylona, który przy księciu jako pisarz i duchowny nauczyciel był ciągle i co się na zamku działo, o tym wiedzieć musiał. Mieszkał on nie opodal pana swego, w dwu izbach pełnych ksiąg, skór przygotowanych do pisania i wszelkiego kancelaryjnego przyboru. Człowiek był ze swej notarialnej nauki¹⁵ i wprawy bardzo dumny, próżny i pokłony lubiący. Nie gardził też i groszem. Mówiono o nim, iż dla dzieci brata zbierał go chciwie, nim się jednak miał im dostać, skrzętnie uciulany zamykając.

Nie bardzo starym był jeszcze, ale pergaminy, z którymi miał do czynienia, odbiły się w barwie twarzy jego żółtej, długiej, pociągłej, zasznurowanej dla powagi, jaką sobie nadać usiłował. Sam tu na dworze uosabiając powołanie władcy pióra i stylisty, nosił się ze swą uczonością wielce. Dla tych, co mu piękny podarek obiecywali, gotów był świeży wstęp aktu utworzyć, innym dawał jeden z tych kilku, które do wszystkich służyły. Na jego twarzy nikt nigdy nie widział uśmiechu, a kto mu w poszanowaniu uchybił, nigdy tego nie darował.

Szanował on wielce księcia Bolesława już dlatego, że często dlań szczodrym bywał, już że miał siłę i znaczenie. Ujrzawszy go wchodzącego, zerwał się do pulpitu, przy którym zawsze coś miał do czynienia. Trzcinkę położył i z uroczystym wystąpił pokłonem, ręce na piersiach składając.

– Ojczy mój – odezwał się wesoło i dobrodusznie Bolesław – ja do was przychodzę z wyrzutem i na zwiady. Przemko mi coś posmutniał, ludzie plotą, że się do jakiejś dziewczki, branki niemieckiej, uwiązał. Czyż byście o tym nie wiedzieli?

Książdz Tylon rękami uczynił ruch, wstręt i obrzydliwość oznaczający.

¹⁵ Notarialna nauka – tu: umiejętność wystawiania dokumentów państwowych i prowadzenia urzędowej korespondencji.

– Nic nie wiem! – rzekł. – Nic wiedzieć nie chcę. Na oczy moje nie przyszło nic. Uszy moje na gwar pospolitego tłumu są głuche. Nic nie wiem.

Ksiązę się uśmiechał.

– A mnie mówiono, że on ją gdzieś na zamku chowa.

– Nic nie wiem – dobitnie powtórzył Tylon i podniósł głowę – a prawda li to jest, nie moja wina! Wojewoda, kasztelan winni, świeckie ramie, nie duchowne. Moim obowiązkiem wystawiać mu szkaradę grzechu, obrzydliwość zwierzęcej rozpusty, to czynię nie omieszkając, to czynię; dalej, nie moja rzecz! Sprawa ludzi świeckich!

I rękami potrząsał.

– Wojewoda mówi, że o niczym nie wie – rzekł ksiązę.

Notarius oburzył się.

– Zatem winien niedbalstwa, opieszałości, gnuśności, ślepoty! Winien jest, gdy, postawiony na straży, nie strzeże, gdy opiekunem będąc, nie opiekuje się.

Ksiązę Bolesław zapalającemu się przerwał, dając znak, aby zamilkł. Z poszanowaniem popatrzył na pergaminy i pergaminowego człowieka, który stał jeszcze nachmurzony.

Odetchnąwszy, Tylon rzekł już łagodniej:

– Pozwolicie mi dodać, że tego, co być nie powinno, czasem najlepiej nie wiedzieć, lecząc chorobę, jak to Wasza Miłość czynicie, innymi środkami. Dać mu żonę, to najlepiej, krwi młodzieńczej inaczej nie powstrzymać, nie pohamować! Wasza Miłość najlepiej wiecie, co pomoże, w czas, jak Bóg przykazał, dać mu małżonkę. Ustanie zgorzenie pokątne.

Ksiązę, nie odpowiadając na to, wyraził życzenie, aby ksiądz Tylon towarzyszył Przemkowi do Szczecina i bacznie miał oko na wszystko. *Notarius* skłonił się pokornie, znaczącym odpowiadając tylko spojrzeniem. Szczodry stryj za podobne usługi zawsze się czymś wypłacał.

– Sposóbcież się do podróży rychło – rzekł Bolesław, zabierając się do wyjścia. – Ja nie ruszę się stąd, dopóki go nie wyprawię do Szczecina, gdzie nań już czekają. Przywiezie ze sobą żonę – wszystko umówione, da Bóg, Niemki zapomni.

Z wielką ufnością, że małżeństwo wszystkiemu zaradzi i lekceważeniem całej sprawy, ksiądz Tylon ręką zamachnął.

– Słomiane to ognie! – zamruczał. – W młodości łatwo się one zapalają, ale i gasną prędko. *Caro infirma*¹⁶ – cielsko słabe!

Pokłonił się.

– Sposóbcież siebie i jego do podróży – zakończył ksiązę, wychodząc.

¹⁶ *Caro infirma* (łac.) – ciało słabe.

ROZDZIAŁ III

W czasie pobytu w Poznaniu, stryj na chwilę od siebie nie odpuszczał Przemka, w nocy jednak spać musiał, a choć w komorze sąsiedniej kładł się na spoczynek, tak że ich ściana tylko dzieliła, śpiący snem twardym książę kaliski nie wiedział o tym, jak mu się nocami wymykał. W domku na podzamczu, pod dozorem starej Krywichey, mieszcanki, której mąż niegdy służył u dworu, otoczona czeladzią wierną, ukryta siedziała owa Niemeczka, która młodego księcia całkiem przykuła do siebie, z niewolnicy stając się panią.

Mina miała zaledwie rok szesnasty, ale była córką żołnierza, wykołysaną we zbroi. Za wczesnie wyrwała się z rąk matki na kolana ojca. Śliczne dziecko, do którego on był przywiązany bardzo, zastępowała mu syna. Umiłowana, pieszczona, swawolna i zuchwała Saksonka, była na wpół dzieckiem, półmężczyzną. Najulubieńszą jej zabawką było strzelanie z łuku, ciskanie oszczepkami do celu. Krew przelana nie czyniła jej wcale wstrętu, na śmierć patrzyła nieraz z bliska obojętnie lub ciekawie. Konia dosiąść umiała jak chłopiec i wszystkie zabawy męskie lepiej jej smakowały niż dziewczęce.

Mimo tego obyczaju germańskiego wyrosła delikatną, piękną, jak żadna z rówieśnic, a na zamku w Soldynie kochali ją wszyscy bałwochwalczo. Średniego wzrostu, silna, gibka, z Włosem jasnym, czarnymi oczyma, biała i rumiana, miała twarzyczkę dumną dziecka rycerskiego, nie lękała się nikogo i niczego. W czasie oblężenia walczyła zajadłe obok ojca, a gdy ją biorący w niewolę zmagli, kąsała ręce tym, co ją wiązali. Piękności i młodość ocaliły ją od śmierci.

Przemko, który nadbiegł gdy ją wiazano, zobaczywszy dziewczę, cały rozplomieniał dla niej i ze wszystkich zdobyczy jedną ją sobie zachował. Usłudni dworacy ukryli ją przed oczyma wojewody i kasztelana. Płaczącą i buntującą się zawieziono do Poznania, a Przemko rychło jakoś potrafił dziewczę uspokoić i pozyskać sobie. Znała ona prawa wojenne, wiedziała, że się musiała poddać losowi swemu, ale pochlebiało jej, że nie prostemu żołdakowi dostała się, tylko księciu. Przemko młody był, piękny i rozmiłowany w niej namiętnie. Klóćąc się z sobą rozpoczęli tę miłość osobliwą, która miała się skończyć przywiązaniem gwałtownym i brankę uczynić panią.

Mina przerażała niedoświadczonego zuchwalstwem swym, gniewliwością, ale właśnie może takiego charakteru było potrzeba, aby łagodniejszego, choć dumnego, pana podbić. Widywał tylko niewiasty bojaźliwe, drżące, uległe i bezmówne. Ta miała dlań urok nowy. Rozmiłowawszy się w niej, oszalał młokos. Mina, poczuwszy to, korzystała ze swej władzy i już mu się wyrywać na swobodę nie myślała, ale i jemu wyrywać się nie pozwalała. Podobało się jej to życie półksiężnej z nadzieją, iż kiedyś może całą księżną zostanie. Niemka to sobie obiecywała, z pewną pogardą patrząc na pokorne i strwożone niewiasty, które ją otaczały. Była tu panią, rozkazywała, czyniły, co zechciała. Czeladź padała na twarz przed ulubienicą księcia, on sam nie umiał jej nic odmówić.

Gwałtowna miłość młoda, namiętna, rozwijała się wśród kłótni, sporów, dąsań, w których zawsze zwyciężała Mina. Stosunek, zrazu drapieżny stał się później szalem. Niemka była zazdrosną, Przemko szczęśliwy z tego nawet, gdy go za włosy targała. Pod różnymi pozory raz w raz dobiegał do niej a przesiadywał, póki go niemal gwałtem nie wyciągnięto. Mina, choć jej potajemnie dawano środki do ucieczki, nie myślała z tego korzystać.

Wśród tego szczęśliwego upojenia obojga, gdy nic nie zdawało się im zagrażać, księżę Bolesław przybył ze swatami – z rozkazem, któremu opierać się nie było podobna. Opiekun miał władzę i powagę ojcowską. Dworacy natychmiast o wszystkim Minie donieśli. Przemko we dnie przychodzić do niej nie mógł, bo stryj miał nań oko; nocami wykradał się tylko. Gdy trzeciego dnia po przyjeździe Bolesława przybiegł do niej, przywitała go dzikim, złośliwym śmiechem.

– Cóż to? Żenić chce was ten poganin kaliski! Ten stary! – zawołała. – Ja tu drugiej nie zniosę, a biada tej, co mi się poważy...

Zacisnęła ręce. Przemko objął ją i ucałował, usta zamykając pocałunkami.

– Ty zawsze u mnie będziesz jedyna.

– Coś to ty, niewolnik stryja? Nie pan sobie? Co on ci tu ma do rozkazywania?

– Był mi ojcem.

– Na co ci żona? Ja nie dam ci z inną żyć i drugiej kochać! Ja tego nie chcę!

A gdy Przemko milczał, dodała ze złością dziecięcą:

– Przyrowadź sobie żonę, przyrowadź! Ja ją zabiję lub struję!

Przemko kłamał dla uspokojenia jej, że małżeństwo to może jeszcze nie przyjść do skutku, a gdyby go nawet zmuszono wziąć żonę, ona mu niczym nie będzie, zostanie obcą. Siedzieć będzie zamknięta w osobnych komnatach, a on z Miną żyć jak przedtem.

– Niech mi tu spróbuje przyjechać, choćby królowna! – wołała, pięści podnosząc, zła dziewczyna. – Będzie jej tu ciepło! Niech przyjedzie! Wproszę się na dwór na służę, a usłużę jej dobrze! Prędko jej tu nie stanie!

Księżę dawał jej wywoływać tak, niewiele do słów tych przywiązując wagi, uspokajał ją, jak mógł. Wykradał się potem cicho i wracał na swe łożo, ciesząc się, gdy słyszał w sąsiedniej komnacie chrapiącego stryja.

Któregoś wieczora, gdy wychodził, drzwi skrzypnęły głośniejsz, Bolesław się obudził. Tknęło go coś, podkraść się zobaczyć, czy w miejscu swym śpi Przemko, i puste namacał łożo! Nazajutrz nie powiedział mu nic, ale coraz mocniej zaczął nalegać o wyjazd do Szczecina. Księżę zwlekał niezręcznie, wynajdywał różne powody, aby się to przeciągnęło, w końcu, naciśnięty, ulec musiał. Księżę Bolesław zaczynał przemawiać surowo.

Dwór dla pana młodego sam stryj wybrał z ludzi poważnych, mężów dostojnych i dziarskiej a statecznej młodzieży, uboższych wyposażając w najlepsze konie, zbroje, płaszcze, pasy, ażeby mu synowiec wystąpił świetnie. We skarbcu też po Przemysławie starym, pobożnym, nie zbywało na niczym. Było z czego podarki zawieźć i wystąpić.

Jechali z młodym panem: Przedpełk, wojewoda poznański, ksiądz pisarz Tylon, kilku duchownych, podczaszy, podkomorzy, ochmistrz, łowczy i młodzieży rycerskiej kilkudziesięciu najśliczniejszej, a we wszystkich sprawach wojennych wyćwiczonej. Odznaczeni się między nią Zaręba i Nałęcz, którzy prawie od dzieciństwa się z nim wychowywali i nie opuszczali go nigdy. Należeli oni do dwu rodzin zamożnych, rozrodzonych, które, jak to było w obyczaju, dzieci na dwór pański dawały chętnie, bo tym sposobem można się było nauczyć wiele, dośłużyć i dorosnąć do wyższych godności, a i nadanie ziemi pozyskać.

Zaręba i Nałęcz, słowiańskim prastarym obyczajem, byli sobie na pobratymstwo poprzyjęgli, bo i w Polsce naówczas jeszcze pobratymców znano. Rówieśnicy prawie Pawełek Nałęcz i Michno Zaręba oba byli urodziwi, razem się do rycerskiego sposobu zawodu, ale się charakterami różnili bardzo od siebie. Właśnie to może ich ze sobą związało. Zaręba był jak huba¹⁷ zapalny łatwo, ognisty, pyłki¹⁸, do zwady skłonny, wielomówny, gorączka, prędki i niepomiarkowy. Nałęcz mężny, wytrwały, uparty, ale w sobie zamknięty i na oko powolny.

¹⁷ Huba – aluzja do huby żagwiowej, która przez całe pokolenia służyła do rozniecania wykrzesanego ognia.

¹⁸ Pyłki (z ros.) – krewki, popędliwy.

Zaręba Nałęczowi dodawał ognia, tamten hamował druha i do opamiętania go przyprowadzał. Jeden bez drugiego nie stąpił, a gdy na dłuższy czas musieli się rozłączyć, tęsknili do siebie, ciągle i każdy z nich to mocno odczuwał. U obu jeden był worek¹⁹, jedno mienie, wszystko wspólne. Za nieprzytomnego²⁰ Zarębę ujmował się Nałęcz, Pawłek też słowem nie dał dotknąć przyjaciela. Znano ich z tego na dworze i przezywano żartobliwie bliźniakami, że się tak bardzo kochali. Oba mieli siostry w domu i dla bliższego połączenia się, obiecywali sobie na niewidziane pobrać je za żony. W bitwach jeden drugiego bronił i zasłaniał, choćby życie dać przyszło.

Przemko obu ich dosyć lubił, oni też doń przywiązani byli, ale za pochlebców i zauszników mu nie służyli, bo Zaręba śmiało i rzeško w oczy panu mówił prawdę. Traf chciał, że ich obu książe Bolesław dla dobrego rodu i dla rycerskiej powierchowności do orszaku synowca naznaczył. Wybierali się wesoło, dość radzi, że zobaczą nowy dwór i trochę świata.

Wiedzieli oni oba o Niemce, ale do tych pokątnych miłostek księciu nie posługiwali. Zaręba z nich złego coś wróżył księciu, za co ten gniewny milczeć mu kazał. Nie sądzili, aby się to przedłużać mogło, i jak się to najczęściej działo, myśleli, że Niemkę za mąż wydadzą wyposażoną za którego dworaka, a książe o niej przy żonie zapomni.

Książe Bolesław w Poznaniu doszedł aż do wyjazdu synowca. Nie dowierzał mu, nie ruszył się więc, aż go nie zobaczył wyciągającego z całym dworem. Goniec wyprawiony poprzedzał go do Szczecina. Nazajutrz dopiero, mszy świętej wysłuchawszy w zamkowym kościele, książe kaliski do domu zawrócił, a wielki ciężar spadł mu z serca.

Przemko wyjechał smutny i gniewany, myśląc ciągle o Minie, którą rozpaczając porzucił, a gdy mu się przy pożegnaniu uwiesiła na szyi, ledwie się zdołał wyrwać od niej. Padła potem, rycząc z płaczu, na posłanie, przeklinając stryja, synowca i przyszłą księżnę, przeciw której się odgrażała. Przez całą drogę Przemko myślał tylko i z poufałymi, którzy go pocieszali, ciągle mówił o niej. Zaręba jeden, gdy o nią zagadnął, lekce sobie ważąc radził, aby lepiej dziewczkę prostą zapomniał, która niczym nie była, tylko branką i niewolnicą.

Na dworze w Szczecinie, wcześniej do tego przygotowani, przyjęli młodego pana ze czcią wielką. Stary Barwin siwobrody, całe jego życie, a szczególnie niewieście otoczenie i domowy obyczaj nie były podobne do tych, jakie się naówczas po innych dworach książąt słowiańskich spotykało. Wprawdzie i tu zakradło się już niemczyzny dużo, ale szanowane były podania i zwyczaje, prastare, z których tu więcej, niż gdzie indziej, niewiasty przechowały. Zamożność była wielka, ale i prostota dawna, umyślnie pielęgnowana, jakiej indziej widać nie było. Dwór się pewną wieśniaczą rubasnością odznaczał.

Zmuszony do stosunków z Niemcami, stary Barwin, choć się im kłaniał i sam czasem Niemca udawać chciał, w duszy ich nienawidził. Bolało go tyle ziem utraconych, zagrabionych, oderwanych i owa przymusowa uległość sile, która dumie jego była nieznośna. Rad był, że wnuczkę jedyną wyda za polskiego księcia.

Na zamek na wyspie położony, a po dawnemu jeszcze wyglądający, wiódł stary Przemka, już jak syna go przyjmując. Mąż był poważny, milczący, nie narzekający nigdy, zboleły a smutny, lecz radość wielką, jaką miał z przybycia księcia, na pogodnym obliczu się malowała.

Wszystko, co otaczało Barwina, miało staroświecką jakąś cechę. Zachowywano tu nawet dawny obyczaj, oddzielający zupełnie niewiasty od mężczyzn, a chociaż już naówczas w Niemczech i u nas bywały one do uczt przypuszczane, u Barwina pospolitych dni przy stole się nie ukazywały. Pierwszego też dnia, gdy wieczczano w izbie dolnej przy pochodniach i gędźbie a śpiewach, nie było ani jednej niewiasty. Może tylko przez rozwarte gdzie drzwiczki z dała mogły panu młodemu się przypatrzeć. Barwin obok siebie na wysokim siedzeniu

¹⁹ Worek – tu: sakiewka z pieniędzmi.

²⁰ Nieprzytomny – tu: nieobecny.

Przemka posadziwszy, wieczora tego nic o swadźbie²¹ nie dopuścił mówić, bo ta wedle starych zwyczajów dopiero nazajutrz uroczyście się odbyć miała. Narzeczoną swą miał Przemko zobaczyć naówczas, gdy dziad zezwoliwszy na małżeństwo, rozkaże ją przywieść.

Przy wieczerzy szła rozmowa leniwo i niewesoło, Przedpełk wojewoda młodego pana zastępował. Jadła i napoju w bród było dla gości, lecz mimo ochoty, do której zagrzewano, coś zawisło nad głowami biesiadujących jakby trwoga czy przeczucia. Usta się nie rozwiązywały, spozierano na się nieufnie. Dwór Przemka po części niemiecki, po trosze zniemczały, nie mógł się dobrze porozumieć z Pomorzanami.²²

Młody ksiązę, który szczęśliwym się powinien był okazywać, nie mógł się przemóc, aby się staremu uśmiechnął. W Starym Barwinie coś było poszanowanie obudzającego, ale razem i trwogę. Siwa do pasa broda, krzaczaste brwi, spod których para bladych, ostyglych oczów patrzyła, usta zaciśnięte i pokryte, czyniły go tajemniczym i groźnym. Głos miał stłumiony i grobowy. Do jego usposobienia wszystko się tu nastrajało, smętnie i trwożno.

Gdy Przemka odprowadzano do komór mu przeznaczonych, a sam pozostał ze swoimi dworakami, bo wojewoda u księcia starego miał posłuchanie, narzeczonemu zrobiło się smutno i tęskno tak, że gotów był nazad nocką do Poznania uciekać. Widząc go tak przybitym, młodzież siliła się, aby czymś rozerwać.

Zaręba, gdy wjeżdżali na zamek, spostrzegł był ponad wrotami, w górnych oknach, kilka pięknych twarzy niewieścich, ciekawie się im przyglądających. Pomiędzy nimi uderzyła go była szczególnie jedna, dziewczeczka z długo na ramiona rozpuszczającymi włosami jasnozłotymi, w wianuszkach zielonym ze złotymi jagody, cała w bieli ubrana. Dokoła jej cisnęło się innych wiele. Domyślił się w niej łatwo księżniczki Lukierdy. Była cudownie piękną, ale nie tak, jak wówczas pięknymi dziewczęta mieć chciano. Wątła, bieluchna, ze swymi niebieskimi oczyma jasnymi, zdawało się niby cieniem onej jakiejś zwodnicy, co się zwykła nad brzegami stawów lub w powietrzu ukazywać, by człeka zawieść na zgubę. Piękną była jak jaka Murawa.²³ Patrząc na nią strach brał, aby lada powiew wiatru nie rozdmuchnął ją we mgłę.

Z trwogi może, gdy jej się Zaręba przypatrywał, blebszą stała się jeszcze. Wydała mu się piękna jak anioł, ale wątła jak dziecina. Była też niewielkiego wzrostu, szczupła i drobna. Inne koło niej urodziwsze i kraśniejsze niewiasty i dziewczęta choć oczy ciągnęły ku sobie, ta między nimi królowała. Znać w niej było panią. Rączki bielutkie, które przyciskała do piersi, małe były jak u dzieciny. Zarębie się zdało, że łązy w oczkach miała.

Później, się u ludzi rozpytując, przekonał się, iż nie kto inny była, tylko Lukierda, dla Przemka przeznaczona. A że oprócz niego nikt nie dopatrywał księżniczki, Zaręba pospieszył z tym do pana, aby go urodą jej pocieszyć, opisując, jak wielkiej piękności i młodziutką mieli dostać panią, nad którą jak żyw śliczniejszej nie widział. Przemko słuchał, ale mało go to zdawało się obchodzić, choć drudzy wszyscy ciekawi cisnęli się dopytując i ciesząc.

– Bóg mnie skarż – mówił Michno – jeżeli ja kiedy drugą taką albo do niej podobną widział niewiastę. W kościele na obrazie, który ksiądz Teodoryk przywiózł z włoskiej ziemi, jeden anioł grający podobny trochę do niej, aleć żywa piękniejsza od niego. Młodo tylko i bardzo dziecinnie wygląda, ano i nasz pan nie stary, więc para będzie dobrana. Włos długi złocisty, jak płaszcz ją okrywał, puszczone po ramionach, twarzyczka biała jak kość słonio-wa, oczy niebieskie jak bławatki, a oblicze jakby do śpiewu i modlitwy stworzone.

Drudzy dworzanie prychnęli, śmiejąc się z Zaręby, iż w niej prawie rozmiłowany był, na co on odpowiedział broniąc się, że juści świętych i błogosławionych miłują ludzie, a grzechu w

²¹ Swadźba – tu: gody weselne.

²² nie mógł się dobrze porozumieć z Pomorzanami... – chodzi tu jednak nie o sprawy językowe, ale zwyczajowe.

²³ ... Murawa – prace historyczne o wierzeniach Słowian nie notują bóstwa tego imienia. Prawdopodobnie jest to przekręcone imię Mareny (polski odpowiednik Marzanna) – bogini śmierci. Tu może aluzja do bladego wyglądu Ludgardy i nadmiernej szczupłości, chociaż z tekstu wynika, że autor chciał określić jej wielką urodę.

tym ani wstydu nie ma. Nałęcz nieodstępny od Zareby, choć się zrazu nie chwalił tym, potwierdzał, że i on widział księżniczkę, która mu się też bardzo piękna wydała.

Inni, sądząc, księcia tym rozerwą, znosili, o czym się dowiedzieli u dworu, iż nie tylko była piękna, ale dobrą, łagodną, miłosierną, wiele robót niewieścich osobliwych umiała i pieśni przy gęśli²⁴ śpiewała tak cudnie, jak żadna. Na tych powieściach zesza reszta wieczora. Przemko słuchał ich roztargniony, potem zaraz legł, a gdy Przedpełk oznajmić przyszedł, że nazajutrz swadźba się uroczyście odbyć miała, do której wielkie czyniono przygotowania, ani słowem nie odpowiedział. Czeladź szeptała między sobą, iż Niemkini swej zapomnieć nie mógł i markotno mu było po czarnookiej.

Drugiego dnia z rana do siedzącego w otoczeniu swych wojewodów i urzędników Barwina szedł młody książę z Przedpełkiem, ze dworem, przywdziawszy szaty bogate, łańcuchy, klejnoty i co kto miał najpiękniejszego. Mieli na co patrzeć szczecińscy, bo Przemko choć nie wesół był i serca nie miał do tego wesela, ale występować lubił i na ten dzień przystroił się bogato i okazańie. Chwalili go, że pięknym się wydawał. Wojewoda z pociechą i dumą widział, że tu się nikt z nim równać nie mógł.

Nastąpiły przemówienia, na które ze strony Barwina odpowiadano starodawnymi mowy obrzędowymi, jakie przy swadźbach od wieków były w użyciu. Gdy się ta wymiana pytań i odpowiedzi skończyła, dopiero na dany przez starca znak, rodzona ciotka panny młodej z wielkim orszakiem postrojonych niewiast wyprowadziła do izby księżniczkę. Taką się ona teraz wydała wszystkim, jaką ją opisywał Zareba. Strwożoną wielce i zaledwie iść mogącą ciotka musiała i družki podtrzymywać. Szła bielusienka jak lilia, drżąca, chwiejąc się i, gdy do nóg dziada przypadła, prawie omdlała podnosić z ziemi musiano. Godzili się wszyscy, iż cudnie była piękna, ale jakąś urodą, której człek tknąć się nie czuł godzin. Czy ją trwoga tej godziny życia, co o życiu całym wyrokowała, ogarnęła, czy żal po dziadowskim domu, ale siły całkiem postradała, aż ją otrzeźwić musiano i wieść, bo nie wiedziała, co się z nią działo.

Przemko też niewiele przytomniejszym był. Gdy ich potem oboje jako narzeczonych u stołu posadzono obok siebie, słowa do niej przemówić nie śmiał ani nawet spojrzeć na nią. Ona też nie jadła nic, oczki trzymała spuszczone, drżała. Wianuszek ją zdradzał. Kiedy niekiedy, gdyby perła duża, padła łza spod powiek, co oczy osłaniały, na białą, złotem szytą sukienkę, znikając gdzieś w jej fałdach. Kazał im tedy rozweselony stary pić z jednego kubka na znak, że odtąd wszystko między nimi wspólnym być miało. I padła łez para z oczów do napoju, który Przemko wychylić musiał, a gdy mu kubek podawała, a dotknął jej ręki przy padkiem, zimną była jak złote naczynie, które trzymała.

Dziewiczego wieczora obrzędy, choć po innych dworach już zapomniane były, tu się starym zwyczajem odbywały, jak u pospolitego na wsiach ludu. Przy czym osobliwe nucono pieśni pomorskie i kaszubskie, które tylko po chatach jeszcze posłyszec było można. Stary Barwin chciał mieć i gęslarzy, i śpiewy, i wszystkie zapomniane obrzędy, może więcej dla własnej pociechy, niż dla wnuczki, którą męczono sadzając, splatając i rozplatając jej kosy, wodząc po izbach i kątach. Starsze niewiasty, którym miód ochoty dodawał, raz począwszy nie darowały już pieśni żadnej ani najmniejszego słowa.

Narzeczony też musiał wedle wskazówek druhów kłaniać się, na pytania odpowiadać, to przy dziewczęciu siadać, to za drzwi precz iść i powracać. Zniemczałemu dworowi wielkopolskiego księcia wszystko się to może śmiesznym wydawało, ale ciotka i baby, gdy się rozgospodarowały i rządzić zaczęły, na śmieszki nie zważały wcale.

W ciągu tych śpiewów i chodów, Przemko razy kilka stawać musiał przy Lukierdzie, coś do niej przemówić, rękę jej ująć. Ta była jak lód zimna, a gdy księżniczka odpowiadać musiała, głos jej tak był cichy i łzawy, iż go prawie nie mógł dosłyszeć. Późno się to w noc skończyło. Kilka razy Przemko spojrział w te niebieskie oczy łzawe i ona trwożliwie spotkała

²⁴ Gęśla albo gęśl – słowiański instrument muzyczny w rodzaju cytry.

się z jego wzrokiem. Oboje jakby przestraszeni drżeli. Książę, który zawczasu do lada dziewczęcia taką miał pokusę, że wszystkie przed nim uciekały, dla tej ślicznej swej narzeczonej prawie wstręt okazywał. Zdawało mu się, że go mrozem wzrok jej oblewał, ona płakała mimowolnie, gdy patrzył na nią.

Po tym wieczorem mężczyźni sami zostali jeszcze za stołem z pieśniami i żarty, których i Przemko słuchać musiał. Wojewoda Przedpełk namawiał do tego, aby weselszą myśl obudzić. Ozwały się piosnki po troszę swawolne, rubaszne żarciki, jakich sobie tylko przy weselach pozwalano, ale książę zdawał się ani słuchać, ni zważać na nie. Krzywił się raczej, niż uśmiechał, gdy je wprost do niego zwracano. Wojewoda szeptać musiał do ucha, że na weselu przecież pan młody szczęśliwego choćby udawać był powinien.

Domownicy Barwina ściągnęli do izby gęślarzy, których powołaniem było zabawiać gości i starego wesółka książęcego, zwanego Kluską, mającego dar opowiadania baśni śmiesznych. Szczeciński pan lubił bardzo swego dworaka, bo, sam zawsze prawie będąc markotnym, czasem się choć z błazeństw jego mimowolnie mógł rozśmiać. Garbaty, malutki, łysy, z długimi do kolan rękami, ubrany dziwacznie w kusy kubraczek w pasy czarne i czerwone, w takimże kapturku, z mieczykiem drewnianym, Kluska siadłszy u nóg Przemka dokazywał udając napitego. Wolno mu było prawić, co ślina do gęby przyniosła, bezkarnie.

– Hej, paneczku polski – wołał zwracając się do niego – powinniście sobie u Barwina wyprosić, aby dał mnie wam w posagu za wnuczką! Nie dałbym ja długo tak ponurym być, jak oto dziś! Za młodu trzeba się wyśmiać, bo potem nie będzie czasu. Albo to wasza bohdarka nie piękna? Na królowę by się zdała! Na rękach ją nosić a klękać przed nią! A żebyście głos jej posłyszeli, kiedy śpiewa... Chyba aniołowie w niebie Panu Bogu tak pieją!

Przemko milczał sparty na ręku. Im bardziej mu ją chwalono, tym się wydawała wstrętliwszą, nie wiedzieć dlaczego.

– Panku mój – ciągnął Kluska dalej – napij bo się wina! Dziś trzeba ci koniecznie śmiać się i wesółym być. Księżniczka za dwoje płacze, bo jej tak prawo każe. Jej by nie przystało się radować kiedy dziadusia opuścić musi a wianuszek utracić! E, wianuszek ów złoty!

Chcąc się zbyć natręta, Przemko rzucił garbusowi garstkę pieniędzy, które on wsypał do torby dużej na plecach zawieszanej, ale nie ustępował.

– Zabierzecie nam z zamku, zabierzecie, co najlepszego było – mówił smutnie. – Patrzcież, gdy wieść będziecie gołąbkę, aby słońce nie przypiekło, bo się roztopić może, aby wiatr nie zawiął, bo się we mgłę rozplynie. My tu na nią chuchali, my tu ją tak kochali!

– Nie bójcie się – odezwał się wojewoda ze strony – znajdzie ona i u nas miłość i chuchanie. Strzec będziemy kwiatuszka, a posadzimy go na pięknym, wysokim zamku.

– Ale, ale – odparł Kluska – choćbyście ją w złoto i diamenty oprawili, tak jej, jak u nas nie będzie, jeśli jak my jej nie umiujecie!

Spuścił głowę.

– Nam tu bez niej zostać jak bez słonka, bez powietrza i bez wody.

Nie jeden stary garbus tak biadał. Wszyscy w zamku po księżniczce płakali. Szczególniej bo dobrą była i miłosierną dla biednych, prostemu ludowi zbliżyć się dawała do siebie, pychy nie miała żadnej, a gdy wieśniaczki przychodziły do niej, najweselszą, najszczęśliwszą bywała z nimi. Napierała się często dziadkowi, aby ją na wieś puścił, to na wesele jakie, to na Kupalę²⁵, na święto stare do lasu. Ciągnęła swój dwór z sobą, a powracała w wianuszku z kwiatków leśnych, z fartuchem pełnym ziół wonnych, lepiej się tym zabawiwszy niż na dworze z Niemcami.

Taką jakąś miała naturę prostaczą, co jej niektórzy za złe mieli, a drudzy ją sławili z tego. Szedł do niej lud z wiosek, dziewczęta i baby z prośbami różnymi śmiało, o każdej godzinie,

²⁵ Kupala – święto o tradycjach słowiańskich, obchodzone 23 czerwca; utrzymane w tradycjach jako noc świętojańska.

jakby księżniczką nie była, ale rodzoną mu i równą. Nie poznać też w niej było pani, gdy się po wiejsku przyodziła i z piosnką na ustach szła w pole. Dziad i ciotka chcieli ją od tego odzwyczaić i nie mogli. Pocieszał się tylko stary tym, że gdy w obce strony pójdzie, obyczaju tego zabyć²⁶ musi.

Całą noc śpiewami i okrzykami brzmiał dworzec w Szczecinie. Stały beczki smolone nad rzeką dokoła, noc była pogodna i jasna. Jedni zabawiali się w izbach, drudzy w podwórcach ochoczo. Barwin nie skąpił w tym dniu ni napoju, ni jadła, puszczano, kto chciał, aby ludzie pamiętali zaślubiny Lukierdy.

Kluska, przekonawszy się, że Przemka nie rozchmurzy, poszedł do izby starego pana, który choć nie spał, spoczywał już. Siadł mu w nogach na ziemi i patrzył na Barwina długo.

– Cóż, ty stary? Radujesz się? – zapytał.

– Czemu bym nie miał być rad?

– Bo twój polski narzeczony jakby się kwasu napił, a trzeba przecie, aby na weselu komuś wesoło było. Ja za wszystkich nie starczę.

– I narzeczony potem wesół będzie – rzekł Barwin.

Kluska głową kręcił.

– Księżniczka płacze też.

– A ty? – przerwał stary książę.

– Jam zły, choć się śmieję – rzekł błazen. – Pilno bo ci było owoc niedojrzały na ostre zęby dawać! Co ty teraz sam poczniesz na tym pustym zamku, jak ci się jej piosenka nie odzwie, jej śmieszek cię nie rozweseli. Nuż jeszcze z dała jęk przyleci.

Barwin się pogniewał.

– A! Ty k roku przekłety, co nawet na swadźbę krakasz? – krzyknął. – Stulże ty mi dziub zaraz!

Oburącz chwycił się za twarz Kluska spełniając rozkaz, a oczy takie wlepił w starego, że on od niego wzrok odwrócić musiał.

Wesołek po chwili mruczał znowu:

– Nie było jej przed czasem swatać! Nie było! Niechby, pączek rozkwitnął, niechby my się nim pocieszyli!

Barwin stary ręką powiódł po czole, milczał nie chcąc nawet odpowiadać błaznowi, co się na kaznodzieję przerobił.

– Piękny panek! Młody, a pyszny! Kapie z niego złoto, znać, że ziemi dużo będzie miał, ale czy tyle szczęścia? Pogrobek on jest, a pogrobkom różno bywa.

Książę stary kopnął go nogą. Kluska zamilkł. Z cicha potem zaczął jakąś piosenkę zawodzić. Żal mu się już zrobiło starego, któremu dokuczył, i przypomniawszy sobie śpiewkę z dawnych czasów – której Barwin słuchając zawsze się rozplakał, a po łzach mu potem łzej było – ją zaśpiewał.

Stary, posłuchawszy, łagodniej spojrział na błazna, czoła mu się wypogadzać zaczęło. Cichym głosem, drżącym a łzawym nucił niewyraźnie Kluska. Ale oni we dwu i tę nutę ledwie pochwyconą, i słowa jej nie dosłyszane rozumieli, a łzy się im obu toczyły.

Długo, długo odzywała się pieśń ta, którą czasem z podwórców dolatujące przerywały okrzyki, aż stary pan i sługa stary usnęli jeden na wezglowiu, drugi u nóg jego na podłodze. I przespali tak dziewiczy wieczór, a gdy nad ranem przebudzili się, w zamku po nocnej biesiadzie wszystko twardym snem ujęte leżało.

²⁶ Zabyć (z ros.) – zapomnieć.

ROZDZIAŁ IV

Skwarny dzień był lipcowy, niebo wypogodzone miało barwę dni letnich, płową od gorąca i jakby oparami przyćmioną. Słońce, zniżając się ku zachodowi, pozbawione promieni, toczyło się jak krwawa kula, wkrótce mając w pościeli mglistej zatonać. Straszne swą rubinową czerwonością, płynęło powoli, stało, patrzyło na ziemię zakrwawioną żrenicą, a ludzie trwożyli się tym obliczem rozgorzałym, które według nich gniew jakiś zwiastowało. Słonko gniewało się na ziemię.

Stare niewiasty, brody popodpierawszy na wyschłych rękach, potrzęsały siwymi głowami; wiedziały one, że takie w posoce umyte słońce prorokowało zawsze: mord, krew, pożogi, wojnę. A dlaczegóż właśnie tego siódmego lipca pokazało się z takim rozplomienionym obliczem, gdy w Poznaniu oczekiwano na młodą księżną, którą Przemko ze Szczecina przywoził. Nawet duchowni skłonni byli widzieć w tym jakąś przestrogę, palec boży i stali posepni, poszeptując modlitewki.

Stara Krywicha, stojąc przed dworkiem swoim z babą Wojtkową, nie mówiła nic, bały się, aby nie były podsłuchane, lecz coraz to spozierały ku słońcu, to na siebie, a zaciskały usta, a głowy się im kołysały znacząco.

Skwar nie zmniejszał się mimo wieczora; owszem, teraz coraz ciężiej jakoś oddychać było, a tu całe miasto wysypało się w ciasne, kręte uliczki, na podwórka, na wały, na rynki, nad rzekę, na gościniec wiodący od Szczecina, bo każdy chciał młodą panią zobaczyć. Na wieży zamkowego kościoła stał strażnik postawiony tam po południu zaraz, który miał dać znać chorągwią, jakby tylko orszak z dala zobaczył. I miano wnet we wszystkie uderzyć dzwony. Na wałach zamkowych, gotując się wyjechać na przyjęcie z orszakiem wspaniałym, siedział, pot ocierając z czoła, Bolesław kaliski, rad, że to małżeństwo doprowadził do skutku.

Przy kościele stało duchowieństwo w komżach i kapach, sam na czele sędziwy biskup Mikołaj, kler, kanonicy i zakony, które w Poznaniu i sąsiedztwie miały klasztory. Ludzie w pogotowiu trzymali chorągwie, baldakim²⁷ dla pasterza, kadzielnice, w które chłopcy dmuchali, aby nie zagasły, naczynie z wodą święconą, cały przybór do uroczystego przyjęcia.

Przy księciu Bolesławie kasztelanów kilku, mnóstwo ziemian stało poubieranych jaskrawo i świątecznie. Z dala wydawali się jak pole zakwitło makiem, bławatkami i wszelkimi dziećmi lata. Konie rżały i kopały nogami, pachółkowie zdjętymi czapkami powiewali rozpędzając skwar wielki, bo niejedyn jak w wodzie stał od znoju. Coraz to ktoś głowę ku górze podniósł, spoglądając na wieżę, czy z niej jakiego znaku nie dadzą. A słońce coraz czerwieńsze, bezpromienne, straszne, zdało się wciąż okiem krwawym i zażawionym spoglądać na te ludu tłumy.

Po domach i dworkach nie było żywej duszy, wszystko wyległo w ulice; młódź i chłopcy, którzy się docisnąć nie mogli, aby coś zobaczyć zza szerokich pleców starszyny, okrywali płoty, zasiadali dachy trzymając się dymników, ustawiali się na całych drabinach do domostw poprzystawianych.

Na podzamczu we dworku Krywichy, która stała z Wojtkową w ulicy, obie paradnie strojne, z ogromnymi chustami powiązanymi na głowach, w jedwabnych kaftanach, w mnóstwie

²⁷ Baldakim – starsza forma rzeczownika: baldachim.

sznurów koralu na szyjach – z otwartego okienka widać było twarz jakby w ramy oprawną, śliczną twarz dziewczęcia jasnowłosego, z oczyma czarnymi, ognistymi, zagniewaną, groźną, namarszczoną, zarumienioną, dyszącą. Obie ręce białe trzymała na ramach okna, sama wychylając się z niego z ciekawością gorączkową. Nie widziała nic, na nią patrzali wszyscy, a niektórzy poszeptując coś pokazywali ją sobie palcami. Wśród tego ludu przybranego świętecznie, strojnego, wesołego, radującego się, czarnooka stała jedna wcale nie odziana, włosy miała w nieładzie, białą tylko koszulkę na sobie. Ale stroju jej nie było potrzeba, aby być piękną. Młodość miała, która najlepiej ubiera, i wdzięk taki, że nawet z gniewem było jej do twarzy. Młode parobczaki, zerkając ku niej, cmokali i lubowali się tej śliczności.

Choć tłum mrucał i szmer głuchy przelatywał w powietrzu, wyrównywał on prawie milczeniu, gdy się spojrzano na tych ludzi tysiące. Wszyscy, wstrzymując oddech, słuch wyteżali w oczekiwaniu, a oczy zwracali ciekawe, gdzie człek na wieży na straży stał wychylony z okna, nie rozpuszczając czerwonej chorągwi. Słońce krwawe jakby mrok jakiś zaczął okrywać jak mgła. Dołem pod nim liliowe wyziewy z ziemi wstawały, nad lasem w dali majaczało²⁸ sino.

Wtem nagle na wieżycy powiała szeroko puszczonej purpurowej chorągwi i pierwszy dzwon się odezwał niby krzykiem bolesnym. Cały tłum ów ruszył i jakby jednym głosem zahuczał. Oczy wszystkich pobiegły na gościniec. Na zamku słychać było tętent koni, pokrzykiwania ludzi; za dzwonem jednym poczęły co prędzej wyrwać się wszystkie inne, wielkie i małe, i złało się ich brzmienie w jeden ton uroczysty, żywy, spieszny. Szum tłumu zmienił się w gwar, a gwar we wrzawę, wśród której śmiechy tylko można było rozróżnić. Z zamku wyciągali wszyscy. Duchowni pochod rozpoczęli, chorągwie powiewały nad ich głowami, z kadzielnic dym siny obłoczkiem podniósł się ku górze.

– Jada! Jada! – krzyczano zewsząd, niewiasty plaskały w dłonie, dzieci krzyczały.

Tłum, nie mogąc się poruszyć, tak był ściśnięty, w miejscu szeptał, kołysał się, falował.

– Jada! Jada!

A na gościńcu w dali widać było duży tuman płowy i kurzawę wzbiją do góry. Niewielu ucho pochwycić mogło z tamtej strony jakby odgłos trąb, którym z wieży dzwony i trąby też odpowiadały.

Orszak księcia Przemka był wspaniały. Poprzedzali go w kapach czerwonych z sztytami na piersiach orłami trębaczami i bijący w kotły tarabaniarze. Dalej jechał wojewoda poznański orszakiem dowodzący, w złota też i purpury odziany, w hełmie złotym. Na siwym koniu pokrytym kapą aż do ziemi spadającą, z głową przystrojoną w czub i brzękadła jechał sam książę Przemko we zbroi złotej z orłem na piersi, w hełmie lśniącym, piękny, młody, lecz poważny i smutny. Obok niego na takimże koniu, w czapce książęcej na główce, w płaszczu jedwabnym szkarłatnym, jechała piękna Lukierda, lecz gdyby Zaręba pieszo idący konia jej za uzdę nie trzymał, a dwu dworzan nie stało po bokach, rękami wyciągnionymi ją podpierając, może by nie dosiedziała na wierzchowcu, tak była blada, przelekniona, osłabła. Jechała nie jak na gody, lecz jak skazany na męki, oczu nie śmiejąc podnieść, rączkami drżącymi chwytając za siedzenie, chyląc się jak kwiat na lodydze, gdy nim wiatier śłania.

Radością brzmiało wszystko dokoła, a w niej strach i trwogę widać było. Kilka razy, żywo, ukradkiem przeżegnała się krzyżem świętym, oczy jej strzeliły ku miastu i grodowi i zamknęły się. Zaręba konia jej prowadzący coraz to spoglądał na nią i żal mu jej było. Im bardziej zbliżali się ku zamkowi, tym jej bojaźń wyraźniejszą się stawała.

W chwili, gdy mijali dworek Krywichy, błędne oczy Lukierdy padły na okienko, z którego wyglądała czarnooka, i ujrzały dwie zaciśnięte pięści, które jej, nie komu innemu, podniósłszy się groziły. W otwartych ustach dziewczyny zobaczyła zaciśnięte zęby białe. Zdawało się jej, że posłyszała przekleństwo i groźbę. Z przestachu krzyknęła, ale wrzawa pospólstwa

²⁸ W dali majaczało... – tzn. coś migalo, rysowało się niewyraźnie.

zagłuszyła głos jej cichy, który w łkaniu utonął. Pierwsza w progu stała, czekając na nią, jakaś groźba i prorocstwo niedoli. W tejże chwili prawie nadciągnęło duchowieństwo, biskup, książe Bolesław. Kościelny śpiew zabrzmiał hymnem wesołym i wszystko znikło z jej oczów.

Nie opodał na zamku widać tylko było szeroko rozwarte drzwi kościoła, w którego głębi pozapalane światła zdały się jakby katafalk otaczać. Z nowym przestrachem Lukierda oczy wlepiła w ten obraz wieszczcy. I zdało się jej, że widzi trumnę całunem okrytą, otoczoną świecami, a w trumnie czuła siebie. Dreszcz ją przeszedł i łzy się z oczów polały.

Dokoła brzmiały okrzyki: „Witajcie! Żyście!” Trąby coraz głośniejsze huczały dzikim triumfem, niby urągając się łzom biednej.

Biskup, który ich wiódł, przyjął parę u drzwi kościelnych. Na cichej modlitwie u ołtarza jak liść drżała Lukierda. Potem widać było wszystkich znowu ciągnących na zamek. Stary książe wesół prowadził parę swoją. Tego dnia on tu pewnie był najszczęśliwszym. Spełniło się, czego pragnął. Usłwał gniazdo, Przemko miał żonę. Wątpła była i blada, lecz zmęczona i wylekła. Szczęście ją ożywić musiało.

Krywicha mówiła do Wojtkowej:

– Widzieliście wy ją? Toż to jak powisemko²⁹ lnu wątle, oczy zapłakane i blade. Nam nie takiej na księżnę było potrzeba. Pamiętajcie nieboszczkę Elżbietę! Ta była zażywna, silna a krzepka! Słyszcie, ma piętnaście lat, a wydają się, jakby trzynastu nie miała.

Wojtkowa potwierdziła wszystko.

– Z twarzy niczego, ino blada, blada! Czym oni ją tam karmili?

– Słabowite to będzie, a do takiej, co piszczy, mąż się nie przywiąże, bo to tego ani tknąć.

I głowami wahały. Krywicha się pospiesznie do okna zbliżyła, w którym Niemka czarnooka gniewem dyszała. Śmiejąc się szepnęła do niej:

– A co? a co?

– A co? Trupa mu do łoża przywieźli! – zawrzała Mina z pogardą. – Krwi w niej nie ma! Jechała jak płótno blada. A ja obie do niej wyciągnęłam pięści – widziałam, i krzyknęłam: „Przekłeta!” Słyszalam. Zachwiała się na koniu, o mało nie padła. Cha! cha!

Roześmiała się Mina. Krywicha przerażona załamała ręce. Niemki już w oknie nie było.

Na zamku sadzano Lukierdę przy księciu mężu i Bolesław stary gospodarzył rad i wesół, jak rzadko go kto widział, ściskając synowca co chwila. Nie w smak mu szło, iż nowożeniec wyglądał, jakby mu źle było na świecie. Słowa z niego dobyć nie mógł, patrzył w oczy, gniewał się. Młoda żona przecie na podziw piękną była, czegoż mógł pragnąć więcej?

Siedzieli u stołu długo, potem obyczajem niemieckim płasy się rozpoczęły, ale Lukierda, opierając się, ledwie raz do nich wyciągnąć dała. Przeszła jak cień, chwiejąc się. Skarżyła się na znużenie podróżą i wymknęła do komnat swoich, w których progu czekała na nią niespokojna stara piastunka Orcha. Tej od wyjazdu ze Szczecina oczy od łez nie osychały.

Orcha kochała swą panią jak dziecko, wykołysała ją na rękach wszystkich pieśni uczyła. Ujrzawszy bladą, słaniającą się, upadającą pod ciężarem sukien swych, łańcuchów i złotych brzemion, pochwyciła ją silnymi rękami i gwałtownie zatrzasnęła drzwi, aby dziecko jej mogło odpocząć same... z nią tylko. Lukierda obejrzała się po izbach. Wszystko tu obce jej było. Wspaniałe stały i strojne, ale to, w co je przybrano, spuścizna po Przemka matce, wiało zbudowaniem i stęchlizną. Powietrze jakieś trupie czuć było w komnatach, które długo stały puste i zamknięte.

Nie były to jej wesołe izdebki na zamku w Szczecinie, z których na rozlane szeroko dokoła wody patrzyła i na łąki zielone. Z okien widać było wały wysokie, mury szare, jakby ściany więzienne. Zakryła oczy Lukierda i rozplakała się. Orcha ją objęła rękami i przytuliła do się

²⁹ powisemko (z ukr.) – pęk, pasemko

bie. W niemym uścisku pozostały tak chwilę, a stara piastunka, czując omdlewającą panią, poczęła z niej żywo zdejmować, zrywać, zrzucać łańcuchy, kolce³⁰, pas i suknie, co ją swym ciężarem przygniatały.

– Uspokój się, gołąbko moja! Uspokój! Zamknęłam ja drzwi, nie wpuszczymy nikogo!

– A! Jaki to zamek straszny! Jak grób! – wyjąknęła Lukierda.

Orcha pewnie myślała też samo, ale się słowem nie odezwała, nie chciała dodawać jej bólu. Spiesznie, posadziwszy na łożu, rozdziawiała swą księżnę, gdy do drugich drzwi gwałtownie dobijając się zaczęto.

Lukierda strwożyła się i drzeć mocniej zaczęła, ale Orcha, podbiegłszy, za drzwiami usłyszała głosy niewieście. Był to nowy dwór księżnej, który się dobijał do swej pani. Na czele jego szła ochmistrzyni, zamaszysta i otyła, cała we wstęgach i galonach³¹, znana we dworze Niemka Berta, która za czasów księżnej³² Elżbiety dziewczką przy niej była. Wyszczekana, zła, zazdrosna, chciwa, zalotna jeszcze, choć jej lat czterdzieści przeszło, pewna siebie, bo miała u Przemka łaski, parła się dumna, dopominając praw swoich. Mówiono o niej, że księciu się zasługiwała, mimo duchownych i wojewody, pomagając do pokątnych miłostek.

Berta już się знаła z Miną. Szła do swej nowej pani uprzedzona przeciw niej, na piastunkę gniewna, że się jej tu wdzierała, wiodąc za sobą sześć dziewcząt służebnych dobranych tak krasą i zdrowiem, aby panią zaćmiły. Wszystkie one patrzyły dziko, zuchwale, śmiało. Orcha chciała im wzbronąć wstępu, gdy samowolna Bertocha poparła drzwi z całej siły i gwałtem wtargnęła do sypialni, poczynając od głośnej kłótni.

– Cóż to? Nie wiecie, że ja tu za rozkazaniem książęcym starszą jestem?! – krzyknęła biorąc się w boki. – Tu nie ma prawa nikt około pani mej chodzić, krom mnie i sług!

– Ja jestem jej piastunką!

– Nie dzieckoż ona! Piastunki jej nie trzeba! – roześmiała się Bertocha.

Spór wszczął się u drzwi, którego Lukierda płacząc słuchała. W obawie, ażeby jej piastunki nie odebrano, półrozebrana do drzwi pobiegła. Widząc ją nadchodzącą, dziewczęta ciekawie wyciągnęły szyje, wytrzeszczały oczy, śmiejąc się i mrugając. Bertocha stała wcale nieulekniona.

– Ja tu, nie kto, jestem starszą do usług waszych! – zawołała.

– Na Boga, zostawcież mi piastunkę moją! – odpowiedziała, płacząc, Lukierda. – Ja niktogo oprócz niej nie potrzebuję, słaba, odpocząć muszę.

– Możesz Wasza Miłość spoczywać – poczęła zuchwale Bertocha – my na obcych się zdać nie chcemy, nam tu usługa należy!

– Ona mi nie obca! Wyście obce! – z płaczem odparła Lukierda. – Idźcie! Ja rozkazuję!

Głosu jej brakło, a Bertocha przerwała:

– Pierwszy u mnie rozkaz mego pana!

Gdy się tak spierano u progu, dziewczęta wszystkie wcisnęły się już do izby, Bertocha wpadła do środka i zaczęła gospodarzyć. Nie zważając na księżnę, porwała suknie zdjęte, dawała rozkazy służebnym. Orcha, uspokajając, odprowadziła Lukierdę ku łożu. Niepotrzebnej usługi zbyć się nie było można. Księżna płakała, a dziewczęta prychały, śmiały się kręcąc i popychając po sypialni. Ażeby coś robić i niby służyć do czegoś, nalewały wodę do misy, przenosiły dzbany, targały opony³³, zasuwwały i odsuwwały okna, nie mogąc szyderskich utulić śmiechów.

Nie wdając się już w spory z nimi, Orcha dawała im czynić, co chcieli, sama zasiadła przy dziecku swym, postanowiwszy nie opuszczać go, choćby się bronić przyszło siłą. Ręką kon-

³⁰ Kolce – rodzaj bransoletki.

³¹ Galony – tu: obszywka sukni taśmą złotą lub srebrną.

³² w pierwodruku omyłkowo: królowej

³³ Opony – oznaczają zarówno kotary, jak zasłony przy łożach i makaty przybite do ścian.

wulsyjnie zaciśniętą trzymała ją za szatę Lukierda. Bertocha snuła się dokoła, zachodziła ze wszystkich stron, zagadywała na próżno, w końcu gniewna a uparta siadła na ławie dziewczętom rozkazawszy, aby do drugiej izby odeszły.

Ze znużenia i płaczu usnęłaby była może Lukierda, bo już i noc nadeszła, ale krzyki na zamku i groźna, nasepiona twarz Bertochy, której oczy ciągle spotykała wymierzone ku sobie, zasnąć jej nie dozwalały. Orcha, objawszy rękami, kołysała ją jak dziecko, półgłosem nucąc pieśń od kolebki znaną, tę, którą ją usypiała maleńką. Zamknawszy oczy, biedne dziecko mogło się jeszcze sądzić na zamku dziadowskim, swobodną. Sprzykrzyło się w końcu siedzieć tak niemej Bertosze, zżymnęła ramionami, zamruczała jakby przekleństwem i wyszła.

Lukierda otworzyła oczy. A! Znowu były same. Siadła na łożu, włosy jej rozpuszczone okrywały ramiona, musiała ręką odgarnąć je z oczu, aby oczyma rzucić po swym więzieniu. W izbie było ciemno, jedna lampka u obrazu Najświętszej Panny, zapalona przez Bertochę, płonęła małym światełkiem pomrugując. Na ścianach i stołach wielkiej komnaty, tu i ówdzie we złocie i kamieniach, światełko to odbijało się, jakby oczki stworzeń jakichś szpiegujących młodą panią. Po kątach grube zalegały ciemności pełne widm strasznych. Poruszające się zasłony, migające światło – ludziły niby życiem tam, gdzie go nie było.

Dreszcz przechodził nieszczęśliwą wyganankę, chwyciła za szyję Orchę i płacząc szeptać poczęła:

– Moja ty, moja! A! Jak tu obco i straszno! Jak ja tu żyć potrafię! Nie opuszczaj mnie choć ty jedna! Nie mam nikogo! Te straszne sługi napadły mnie jak zbóje. Słyszałaś ich śmiechy? Ta starsza, jakie ona ma oczy! Ukąsiła mnie wzrokiem.

– Gołąbko moja! – tuląc ją i oglądając się, aby z ciemności ktoś nie podsłuchiwał, szeptała Orcha. – Uspokój się! Takie przeznaczenie nasze. Pamiętasz pieśni dziewczęce? One to prorokowały: na obce pójść ręce i słuchać pana obcego! Los to każdej dziewczyny i biednej, i możnej. Przywyknijemy do tego! Pan twój dobrym będzie i kochać cię musi. Uśmiechniesz mu się i zrobisz z nim, co zechcesz. Zawsze straszne pierwsze doby.

– Uspokój się, gołąbko moja! Zaśnij, zaśnij!

– Nie mogę! Serce mi bije. Ty nie wiesz – mówiła księżna po cichu – ja się go bardzo boję! Młody i piękny jest, ale ja jego, on mnie nigdy miłować nie będzie. Czuję, jakby ściana z kamienia stoi między nim a mną. Gdy spojrzy na mnie, jakby się odgrażał, gdy się uśmiechnie, zębami zgrzyta. A! Orcho, ja się go boję!

– A a! – wciąż ją przyciskając i głaszcząc szeptała piastunka. – Tak zawsze pierwszych dni bywa! Mężczyzna się wydaje wrogiem, ale potem niewolnikiem się stanie. Tylko mu bądź wesołą, dobrą, łaskawą, pokłoni się, posłusznym będzie. A nie pomoże nic, damy mu ziele pieć i węzełek od sukni oderwać mu trzeba a nosić przy sobie u piersi, na sercu.

– Nie, nie! – opierała się Lukierda. – Nie pomoże nic! Ja to czuję! Boję się go! Gdy ręki jego dotknę, dreszcz mnie przechodzi, serce bić ustaje.

Piastunka mówić jej dłużej nie dała.

Szepty może by się przeciągnęły jeszcze, ale Bertocha drzwi otworzyła, wniosła drugi kaganek, postawiła na ławie, a sama dla siebie ślać poczęła u drzwi.

Chciała pozostać na straży, dopóki by pan nie przybył. Ale kury piałły, zamek się rozlegał pieśniami, książę Bolesław z wojewodą gospodarzyli ziemian goszcząc, a o Przemku nie wiadzianno, gdzie się podział. Myślano, że był u żony.

Przekradał się właśnie, nie postrzeżony chcąc wymknąć się z podwórca, gdy na drodze spotkał Zarębę. Ten mu od wrót zaszedł i z poufnością dawną zapytał:

– Dokąd Miłość Wasza?

Przemkowi oczy się zaiskrzyły i popchnął go. Zaręba nie ustępował.

– Na miłego Boga – wołał – miejsce wasze gdzie indziej, nie za wrotami! Zobaczą ludzie! Co pomyślą! Co powiedzą? Żonie i sobie wstyd uczynicie!

Książę, coraz gniewniej unosząc się, rękę podniósł na niego.

– Tyś tu panem czy ja?! – krzyknął. – Idź mi z drogi zaraz precz!

Zaręba do nóg mu się schylił.

– Co robicie? – wołał poruszony. – Co robicie?! Godziź się to? Ludzie zobaczą!

– Puszczaj! – powtórzył, miecza dobywając, Przemko. – Puszczaj albo ubiję!

Zaręba namarszczony musiał się cofnąć, ale twarz mu się zaczerwieniła gniewem, brwi ściągnęły. Książę, odepchnąwszy go, poszedł do wrót i – zniknął.

Noc była ciemna, z dala tylko błyskało gdzieś na niebie bez chmury. W zamku i na podwalach lud się snuł około beczek, pił i śpiewał piosnki o chmielu i weselu. Księciu łatwo było nie postrzeżonemu przecisnąć się przez ciżbę opila. Rozpychając, potrącając, nie patrząc nawet przed siebie, jak szalony biegł wprost do dworku Krywichy, którego okiennica stała otworem dla skwaru, a we wnętrzu się świeciło. Do drzwi mu było za daleko, tak niecierpliwie biegł, dopadł niskiego okna i skoczył przez nie do izby.

Krzyk się dał w niej słyszeć. Z posłania, na którym leżała, Niemka zerwała się nóż pochwycawszy zawsze pod ręką leżący, ale poznawszy księcia, rzuciła go na ziemię i zawisła mu na szyi.

Nagle, jakby opamiętawszy się, popchnęła go od siebie.

– Precz, ty przeniewierco! – krzyknęła.

Przemko ręce ku niej wyciągnął.

– O, widziałam cię – mówiła głosem namiętym – widziałam jak jechaliście bok w bok z piękną panią bladą. Masz żonę! Masz żonę! Precz stąd!

Książę cisnął się ku niej, Mina, łajac, już go nie odpychała, siedzieli razem na łożu.

– Widzisz – rzekł Przemko – porzuciłem ją samą, a przyszedłem do ciebie. Czy ci tego jeszcze mało? Wyrwałem się, choć tam za mną śledzą. To żona narzucona, ja nigdy jej kochać nie będę, nie mogę! Nie dla mnie ona! Niech w pustej izbie wędnieje!

Mina patrzyła mu w oczy, na pół gniewna, pół rada, odpychała go i chwytowała za szyję, cisnęła ku sobie i odwracała się. Łzy, co błysnęły na jej oczach, od ich żaru osychały. Z drugiej izby Krywicha ukradkiem przypatrywała się przez szpary tej scenie, z jakąś zabobonną obawą żegnając się, szeptała.

Książę, jakby zapomniał o zamku, o żonie, o świecie całym, pozostał przy Minie. Szeptali z sobą, śmiał się, poruszał żywo, odzyskał młodzieńczą rzeźwość. Niemka też przebłagać się dała, choć wracały jej jeszcze dąsy i groźby.

Krótką noc lipcowa już się ku końcowi miała, świtać poczynało, gdy Krywicha, w obawie jakiejś otwartej drzwi, poczęła dniem straszyć. Nie chciała, aby go tu wyszpiewowano.

– Wracaj, Miłość Wasza, dopóki nie zadnieje, potem ludzie poznają!

Mina puszczać go nie chciała, ciągnąc prawie gwałtem. Zły musiał się jej wyrwać, korzystając z ранego mroku, aby na zamek powrócić. We wrotach zastał jeszcze Zarębę siedzącego na kamieniu, który, głowę w ręce ująwszy, na straży tu przetrwał oczekując jego powrotu. Zobaczywszy Przemka, nie odezwał się do niego, nie wstał i dopiero, gdy ten go szybkim pominął krokiem, powłókł się za nim.

Wszedłszy do izb, w których mało już biesiadowało, a więcej na ławach lub pod nimi leгло, albo z głowami i rękami na stole zasypiało, Przemko się zawahał. Myślał, dokąd pójść, i zamiast do żony, wrócił do swojej sypialni. Tu czeladź także spała pode drzwiami odpoczywając snem potrójnym: znużenia, młodości i napoju. Nie obudził się z nich żaden nawet, choć książę drzwi swe otworzył z hałasem i jeden tylko Zaręba wsunął się za nim do izby.

Pan i sługa a dawny towarzysz spojrzeli na siebie jak wrogowie. Przemko się nie odezwał do niego. Zrzucił z siebie odzież niecierpliwie na ziemię. Widok człowieka, co śmiał wstrzymać go, sprzeciwić mu się, burzył go i gniewał.

Zaręba niezłękniomy, chłodny stał i patrzył. Zdawał się czekać na rozkazy. Niegdyś wyrostkami uganił się z sobą, nieraz szli siłą próbować, znali się, jak zrosli w jednym gnieździe, bo Zaręba mu chłopięciem do zabaw i posługi był dany.

Przemko rzucił się na posłanie.

– Hej! – zawołał, rękę ściśniętą wyciągając ku niemu. – Jeśli ty mi raz jeszcze się ośmieszysz...

– Żal mi i wstyd za was! – mruknął Zaręba. – Niewarta tego Niemka, aby dla niej księżęca córka łzy wylewała, a na was pluły ludzkie języki. Dajcie ją komu, niech precz idzie stąd. Nieszczęście urośnie z tego.

Przemko obojętnie głowę sobie zakrywał.

– Milczże – odezwał się w końcu – milcz! Robię, co chcę, i czynić będę, co mi się podoba. Tobie do tego nic! Nic nikomu!

Zaręba popatrzał nań, zawrócił się milczący i poszedł precz. W Przemku zuchwalstwo służki wrzało gniewem, uspokoić się nie mógł i zasnąć. Obawiał się, aby go stryj nie poszlakował³⁴, ludzie mu nie donosili, gniewał na siebie i na wszystkich.

– Narzucili mi żonę! – mruczał, przewracając się na łożu. – Będzie miała izby księżęce i imię księżęce, ale mnie nie będzie miała. Kto mnie zmusić może, abym tego trupa miłował?

U drzwi zaszeleściło coś, zerwał się książe. Z kagankiem w ręku wchodziła, czy spoziewając się, czy nie wiedząc, że go tu znajdzie, Bertocha. Spozregłszy go, zaśmiała się szydersko. Przemko marszczył się już.

– Nie potrzebuję nic – zawarczał – precz idź!

Bertocha głową potrząsała, wskazując ku izbom Lukierdy, że tam jego miejsce było. Książe usta dumnie podniósł.

– Ty idź tam! – rzekł. – Idź! Pilnuj! Spoczne.

Baba miała coś jeszcze do powiedzenia, uśmiech dwuznaczny przebiegł po jej wargach, obejrzała się dokoła po izbie, kagnek podnosząc i z wolna próg jej przestąpiła.

– Niedawno wrócił – zamruczała – a gdzie był, to ja wiem! I musiało tak być! Ta go nie puści!

³⁴ Poszlakować – tu: odkryć tajemnicę.

ROZDZIAŁ V

Gody w Poznaniu trwały całą niedzielę. Ziemiań przyjmowano, którzy nie tylko z okolic, od Kalisza i Gniezna, z Kaszub i dalszych stron przybywali z podarkami i winszowaniem. Książę kaliski więcej tu gospodarzył niż sam pan, który okazywał się tylko, gdy go wyciągnięto razem z młodą panią, zawsze bladą i złęknioną. Znikał potem on i ona, a stryjowi zdalo się, że przy żonie być musiał.

Tam on w istocie mało kiedy i krótko gościł. Przychodził czasem, jak z musu, milczący i chłodny, siadał z dala, pytał sługi czy wszystko było, jak potrzeba, dla księżnej. Czasem coś przykazał Bertosze, przemówił słowo do Lukierdy, która mu nieśmiało i cicho odpowiadała, i co prędzej wychodził. Widząc trwającą tę obojętność, Orcha zalewała się łzami, ale składała ją na to, że i Lukierda nadto była nieśmiałą, a mało mu serca okazywała.

Bertocha, pilne na wszystko mając oko, urządziła zawsze tak, aby Przemkowi dogodzić, uwolnić go co rychlej, a Lukierdzie dać uczuć, że bez jej pomocy męża sobie nie pozyska. Rachuba jednak na skutek tej groźby chybiła. Powzięła więc ochmistrzyni nienawiść wielką i do pani, i do Orchy, której pozbyć się postanowiła. „Dopóki to babsko tu siedzieć będzie, ja nic nie zrobię – mówiła sobie – pozbyć się trzeba czarownicy. Po co nam tu obca? Albo nas sług mało? Czy to nam wiary nie dają?”

Na zamku był zjazd jeszcze i książę Bolesław do Kalisza nie powrócił, gdy zabiegliwa Bertocha weszła do niego jednego rana. Nie lubił tej starej podejrzewając o pomoc w miłostkach, ale baba pochlebiać się umiała. Wsunęła się do izby pokornie, z twarzą posępną.

– A! Co tam powie Bertocha? – ozwał się książę. – Możem wam nie piękną dał młodą panią? A co?

– O, Miłościwy Książę – przemówiła sługa – nie ma co przeciw niej powiedzieć! Piękna pani i młoda, bardzo śliczna, a co po tym, kiedy ona z mężem przystać jakoś do siebie nie mogą!

Pokręciła głową.

– Jak to? – pochwycił Bolesław. – Czemu?

– Albo ja wiem! Niech Miłość Wasza kogo chce pyta! W tym jest jakieś lichy, czar jakiś, zadanie³⁵. No, bodajbym ja nie zgadła, skąd ono pochodzi – ciągnęła, głos zniżając tajemniczo, Bertocha. – Ja, proszę Miłości Waszej, nie darmo lat tyle żyję na świecie; znam dużo i przeczuję.

Zbliżała się coraz do księcia, przybierając smętną a wielce zakłopotaną minę.

– Po co księżna tu z sobą przywiozła piastunkę starą? To jest czarownica! Z oczów jej to patrzy! Do kościoła nie chodzi, ziołami jakimiś panią poi!

Książę słuchał z obawą razem i niedowierzaniem.

– Tej baby się potrzeba zbyć koniecznie – szeptała Bertocha. – Ma swoją mądrość! Dziecka żałuje, dlatego od niej męża odpycha. Prawda, księżna słabowita, wątła, ale takim małżeństwo służy, a póki ona tu, nic nie będzie. Jam tego doszła, że ona ich z dala trzyma od siebie. Zazdrosna, zwyczajnie jak piastunka. Odstrecza ją od męża. Trzeba starą przepędzić, zaraz będzie inaczej.

³⁵ Zadanie – tu: uroki.

Bolesław słuchał niedobrze rozumiejąc. Bertocha, widząc, że go przekonać było trudno, tym mocniej zmagala się na dowody przeciw piastunce, że z niej wszystko zło było.

– Na co jej baba ta? Dosyć nas jest, obcych nie potrzebujemy!

Ostrożny książę, nic jej nie odpowiadając, dał się wygadać i odprawił. Stary Lukierdę miłował bardzo, choć ona do niego śmiałości nie miała, obawiając się jak wszystkich. Rozmyśliwszy się Bolesław sam poszedł do niej.

Rano było, księżna tylko co z Orchą wróciła z zamkowego kościoła. Dwoje dziewcząt stało u progu. Książę wszedł, ciekawie przypatrując się piastunce, którą widział już wprzód, nie bardzo zważając na nią. Teraz pomarszczona, stara, smutna twarz jej mocno w nim ciekawość budziła. Bładość Lukierdy, która na widok wchodzącego drzeć zaczęła, uderzyła Bolesława.

– Dziecko moje – rzekł przystępując ku niej łagodnie – cóż wam tu u nas źle, że tak biało wyglądacie? Prawda i z tym wam pięknie, ale ja bym rad widzieć u was na licu rumieniec i wesele.

Wahała się z odpowiedzią Lukierda, gdy Orcha, nisko się pokłoniwszy, odważyła panią zastąpić.

– A! Proszę Miłości Waszej, niełatwo to choćby do szczęścia a do nowego przystać! Starego się zawsze żałuje. Tak i mojemu kwiatkowi, a takie to młode!

Książę słuchał, patrząc wciąż na Lukierdę, która oczy spuściwszy, odpowiadać mu nie śmiała.

– Teraz jeszcze na zamku tłumno i gwarno – odezwał się – Przemko gości swych zabawiać musi. Rychło się to rozjedzie, boć już czas; zostanieie sami. Dzięki Bogu wyprawy pilnej nie ma. Poznacie się lepiej, weselej się stanie.

I na to nie umiała nic odpowiedzieć młoda pani, a Orcha, patrząc w oczy staremu, poruszała ustami.

– Dajcie czas! Dajcie czas, Miłościwy Panie – szepnęła. – Wszystko się dobrze złoży! Droga niebożatko zmęczyła, bo to słabe, bo to młode. Tu wszyscy obcy, niech się rozpatrzy a ośmieli.

Przemko, któremu oznajmiono, że stryj był u jego żony, wszedł niespokojny, jakby się rozmowy tej sam na sam obawiał. Groźno od proga spojrzął na Orchę, oczyma jej nakazując ustąpić. Dla stryja przybrał oblicze wesołe i do żony się zbliżył.

– Pilnuj mi ty jej i strzeż, a miłuj – odezwał się stary – żeby prędzej ośmieliła się a panią tu poczuła i rozkwitła znowu.

Z lekka popchnął go ku żonie, którą Przemko ujął za rękę drżącą i zimną. Patrzył na nią z wymówką i jakby pogrózką, ale Lukierda spojrzenia tego nie spotkała, bo oczów od ziemi nie podnosiła i przemówić nie śmiała.

Litując się jej a sądząc, że się go wstyda, Bolesław zabrał się do wyjścia, samych ich chcąc zostawić. Przemko z przymuszonym śmiechem pożegnawszy żonę, pośpieszył za stryjem.

– E, twoja wina czy nie – rzekł Bolesław, za drzwi wyszedłszy – ale smutna ona jest, zabawiać ją potrzeba!

– Tęskni za dziadem i za swymi – odparł Przemko. – Płasów nie lubi. Dziś turniej będzie, to mu się przypatrzy i rozerwie. Sług też ma dosyć, jest komu i pieśni śpiewać, i baśni prawić.

Mówił żywo, roztargniony, niespokojny, więcej dla uludzenia stryja, niżby go to wiele obchodzić miało.

– Piastunkę tę starą – dodał – wypadnie precz stąd wysłać do Szczecina, bo ona jej dziada przypomina i głowę smutkami nabija.

Nic na to nie odpowiedział stary książę i poszli do ziemian. Po stole³⁶, do którego księżnę przyciągnięto, zabierało się na turnieje w podwórzu zamkowym. Nie pierwsze to już były

³⁶ Po stole – tu: po obiedzie.

czasu wesela, ale te najuroczystsze i najświetniejsze być miały. Księżna sama miała nagrody rozdawać, a po nich, jak zwykle, następowały płasy i do późna biesiada a śpiewy. Bawiło to niewiasty, gdy się przypatrywały zapasom zręcznej młodzieży, rzadko się kończącym tragicznie. Padali z koni niektórzy, czasami z ranami od włóczni lub nabitymi guzami, zabitych mało bywało i to chyba z przypadku. Sam książę Przemko miał wystąpić dnia tego w szranki³⁷; było i Niemców kilku, a Zaręba i Nałęcz sposobili się także do boju, bo do najzręczniejszych należeli.

Zabawie tej księżna odmówiła przytomności swej, opowiadając się chorą. Księżciu na gniew się zebrało, chciał ją tu mieć koniecznie. Poszedł sam. Orcha przy łóżku jej siedziała. Zapytał, zaburczał, wszedłszy, Przemko, okazał gniew, usłyszał płacz i wyszedł nie nalegając. Bertocha czatowała nań w progu.

– Nie chce księżna iść! – zawołała. – O tak! Jej tu i tej starej wiedźmie wszystko złe, nie nie w smak! Naumyślnie, na przekor położyła się do łóżka. Z rana zdrowa była, gdy do kościoła chodziła. Póki przy niej ta czarownica jest, wszystko tak iść będzie. Precz potrzeba wygnać tę starą! Niech no ja przy niej zostanę, będzie wszystko inaczej.

Ale Przemko nadąsany słuchać jej nie chciał. Turniej odbył się bez księżnej. Księżciu na nim nie bardzo się poszczęściło. Sam on przeciw sobie kazał wystąpić Zarębie. Starli się w szrankach tak nieszczęśliwie, iż książę został z siodła podniesiony, zachwiał się i o mało nie spadł. Przeciwno prawom szrankowym Niemiec podbiegłszy podparł go i zsunąć się nie dał. Przemko w tej chwili Zarębę, nie spodziewającego się już ciosu, pchnął tak silnie pod pachę, że z koniem razem go obalił. Zwyciężył wprawdzie, ale widzieli wszyscy, iż Przemko nie praw był³⁸, a gdyby się to innemu trafiło, sędzia by go potępił. Uszło to panu; ale sam on czuł się pokonanym i gniew przeciwko Zarębie wzmógł się jeszcze.

Stłuczonego mocno wyniesiono ze szranków dworzanina, który słowa nie rzekł ani się poskarżył. Nadbiegł zaraz przyjaciel Nałęcz i powlekli się, gdy do siebie przyszedł, razem do izby, którą na zamku zajmowali. Kulał Zaręba nie mówiąc nic i nie narzekając na to, że go pokrzywdzono. Trzeba było zaraz rozdziać go ze zbroi i zawołać babę, ażeby radziła na silne potłuczenie. Rany wprawdzie nie było, ale krew nabiegła i zsiniała w miejscu, na które padł ze zbroją ciężką. Bolało ciało całe. Nie stękał, usta ściąwszy, bo mu więcej co innego dolegało. Z tym się odzywać nie śmiał.

Kochał dawniej księcia, a teraz doń tracił serce z powodu płochości, a gniewne uderzenie przeciw prawu oburzało go. Nałęczowi o tym mówić nie potrzebował, bo ten go zgadywał.

W milczeniu druh krzątał się około pobitego, chłopca posłano po babę, gdy drzwi otwały się z trzaskiem i Przemko do izby wpadł sam, jeszcze jak stał, we zbroi. Na głowie tylko hełmu nie miał i twarz, na którą spojrział Zaręba, wydała mu się zmienioną dziwnie.

Przemko zawsze dumnie i pańsko się stawił, nigdy go jednak takim nie widzieli. Szedł, gdyby majestatem jakimś odziany piękną twarz namarszczywszy. Stanął nad leżącym, w bok się ujął i począł mówić z wolna:

– Słuchaj, Zaręba, a nie szkodzi żebyś i ty – tu na Nałęcza wskazał – także ucha nadstawił. Co było między nami za młodu gdyśmy wyrostkami biegali po podwórcach, to było i skończyło się. O tym pamiętajcie! Jam tu dziś panem i przede wszystkim chcę, by mnie szanowano! Nikt mi nie ma prawa nauk dawać za to, co czynię, okrom księdza na spowiedzi. Kto mi się w najmniejszym sprzeciwi, tego tu cierpieć nie będę. Nie zapominajcie, że starego Mieszka krew we mnie płynie.

Panem chcę być, a jako pan wszędzie górę mieć muszę – i na turnieju! Dla pospolitego człowieka, goniąc z koniem paść, niesławy nie ma, książęciu na urągawisko ludzi być zwy-

³⁷ Wystąpić w szranki – tu: wystąpić do walki rycerskiej na podwórzu zamkowym wobec licznie zebranego dworu.

³⁸ Nie praw był – nie postąpił rzetelnie.

ciężonym – nie godzi się. Powiesz, że prawa turniejowe zachowane nie były – dla mnie praw nie ma. Ja prawa daję! Wynagrodzę cię, Zaręba!

– Rycerzowi za niesławę się nie płaci! – odparł leżący.

– Ja mówię, że niesławy nie ma! – odparł książę. – Nagrodę turniejową odstąpiłem dla ciebie – ale mnie paść nie przystało!

– Dobrze to ze mną – rzekł – com Waszej Miłości sługą, ale w innym turnieju, a w wojnie, losy niepewne. Daj Boże, aby tam was Niemiec jaki podtrzymał!

– Ty sam – odezwał się książę – gdy ci żal ten odejdzie, trzymać mnie będziesz. Dziś sierzdzisz się i gniew ci rozum odejmuje. Potem ci serce do mnie powróci.

To powiedziawszy, wyszedł książę, a dwaj przyjaciele zostali sami i długo siedzieli milczący.

– Dawniej lepszym był – rzekł w końcu Zaręba – teraz mu się na wielkie państwo i dumę zebrało. Kto wie, przyjdzie może ze dworu iść precz, gdy wyżyć z nim będzie trudno.

– Precz? – zapytał powolny Nałęcz. – A toż, gdybyś ty stąd musiał i ja bym za tobą się powlókł. A dokąd że?

– Albo to ich mało? – odparł Zaręba. – Młodym, rycerskiego rzemiosła a dobrego rodu ludziom wszędzie radzi. Leszek³⁹ przyjmie, w Krakowie też powinowatych mamy, a i na Śląsku się znajdują, choćby i na Mazurach. W ostatku i u Mszczuja na Pomorzu.

– Śmieję się, kiedy chcesz, albo i łaj – mówił Zaręba. – O tym nie ma co i mówić. Ale mnie tego zamku, a bodaj i księcia, żal będzie. Zawsze człowiek tu jak w swoim gnieździe się czuje.

– Prędko to gniazdo niewygodnym się nam stanie! – zawołał Zaręba. – Od czasu jak tę Niemkę wziął, a potem mu żonę dali, stał się Przemko innym człowiekiem. Widziałeś go przed chwilą, jak tu stał; rzekłbyś inny, a nie ten, com go nieraz, za kark chwyciwszy, dusił.

Rozśmiał się.

– Pójdę stąd – dodał bez namysłu – ciężko mi, nie strzymam. Wiesz czemu?

– Któż ci zgadnie – szepnął Nałęcz. – U ciebie po głowie zawsze ptaszki latają.

– Śmieję się, kiedy chcesz, albo i łaj – mówił Zaręba. – Nie będę mógł długo patrzeć na tę młodą panią, cośmy ją tu przyprowadzili. Żal mi jej okrutnie! Oni ją tu zamęczą. Żywej duszy litościwej dla siebie nie znajdzie. Przemka Niemka, która mu coś zadała, nie puści tak łatwo, a tę niewinną panią złe babska zadręczą. Słyszałem już, gdy się niepoczciwa Bertocha odgrażała, że jedyną jej piastunkę, którą przywiozła ze Szczecina, wypędzi precz. Zostanie sama. Gorzej tu jej będzie niż niewolnicy. Ja na to patrzeć nie chcę!

– A cóż pomoże, gdy stąd pójdziesz? – odezwał się Nałęcz. – Kiedy ci już tak na sercu los tej pani, lepiej żebyś jej tu pilnował i pomagał. Ano – tu się zaciął poczciwy Nałęcz – dałbyś temu pokój! Ludzie z tej litości co innego zrobią i jej z tym będzie źle, i tobie gorzej być może.

Zamyślił się Zaręba długo.

– Kto wie? Służność masz może. Zostanę do czasu, zdam się na coś, posłużę. Żal mi tej pani nieszczęśliwej.

– Mnie też jej żal, bo ona tu nie na gody przybyła – dodał Nałęcz – ale co nam się mieszać w sprawę książęce i palce kłaść między drzwi.

Ustała rozmowa. Ostatni dzień jeszcze turniejów pozostawał, którego Zaręba świadkiem być nie mógł i nie chciał. Ale że go ciekawość brała, jak też wypadnie, Nałęczą posłał, który gonić sam nie miał i jako świadek tylko stanął przy sznurach szrankowych. Przemko, doświadczywszy, iż łącznie w turnieju sromu napytać, przez dumę nie chciał już iść z nikim w zawody.

³⁹ Leszek – chodzi o Leszka Czarnego, który otrzymał Krakowskie po bezdzietnym Bolesławie Wstydlwym.

Tego dnia jeden wszystkich prawie zwyciężał i najwięcej nabrał nagród i wianków. Był nim młody, bogatego ziemianina syn, Jakub Świnka. Powracał on ze dworu cesarskiego, na którym czas jakiś przebywał; zamierzając teraz wkrótce się udać na dwór króla Francji i do Włoch, aby więcej zobaczyć świata. Jedynek u ojca, piękny, młody, silny, odznaczał się też, naówczas co rzadkim było, wychowaniem takim, iż równie na kleryka zdać się mógł, jak na rycerza.

Mówiono o nim, że oprócz rycerstwa, mądrość wielce miłował i księgi rad czytywał. Śmiano się nawet z tego upodobania, bo w Niemczech zwłaszcza, choć który z rycerzy czytać się nauczył przypadkiem i podpisać umiał – sromać się do tego przyznawać. Nie rycerska to rzecz była, a klesza. Klechę nazwać młodego wojaka obelgą było. Przecież Jakub Świnka wcale się tego nie wstydził, co umiał. Księża, śmiejąc się, wróżyli mu, że chyba sukienkę ich oblecze. On się z tego śmiał też, bo młodym będąc, wcale o tym nie myślał.

Z dowcipu i rozumu, choć jeszcze pono lat trzydziestu nie miał, czcili go nawet starzy. Bystrość miał myśli wielką i nie mniejszą śmiałość w słowie. Jedno mu tylko zarzucić było można, że do polskiego zamaszystego, gardłującego ziemianina pospolitego wcale nie był podobnym. Wziąć go było można za Włocha lub Francuza, chociaż językiem swym doskonale mówił i wolał nim rozmawiać niż innymi. Na dworze cesarskim gładkich nabrawszy obyczajów, choć czasem swojskiej rubasznosci zażył, umiał ją tak okrasić, że pewny osobliwy wdzięk miała. Lubował się nim wielce książę kaliski, stary biskup i inni panowie.

W turniejach okazywał zręczność, nadzwyczajną i siłę, ale oboje sobie lekceważył. Gdy go potem, jako zwycięzcę blisko książąt posadzono, bawił⁴⁰ opowiadaniem o dworach i obyczajach, które widział. Bolesław, słuchając, jak o wspaniałościach obcych monarchów prawił, westchnął i dodał:

– Byłoby i u nas inaczej, gdyby się ten kraj wielki nie porozpadał na części tyle i nie narodziło nas, małych książąt, jak mrowia. Dawniej było lepiej, za starych Mieszków i Chrobrych, bodaj za Szczodrego. Od niego poszło nieszczęście pierwsze, gdyśmy koronę utracili, a od Krzywousty, co państwo na małe działły pokrajał. Da Bóg, trzeba do pierwszego powrócić!

– Tak ci jest pewnie, Miłościwy Książę – odezwał się rzeško Świnka – święte słowa wasze. Niech tylko jeden kilka dzielnic zagarnie, reszta się do niego przyłączy. Królem go zaraz ukoronujemy.

Przemko uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Dobra to rzecz pomyśleć – rzekł – ale dokonać inaczej jak przez krew nie można, a krew i koronie błogosławieństwa nie przynosi.

– Gdy Bóg zechce a zrządzi, i bez krwi się obejść może – dorzucił Świnka. – Ot, Miłość Wasza, macie już Polskę Większą⁴¹. Bóg da, weźmiecie co z Pomorza.

– Da mu Mszczuj pewnie dziedziczyć po sobie – przerwał Bolesław żywo – a ja mu Kaliskie zostawię.

– Kraków i Sandomierz też bezpańskie pono zostaną – mówił Świnka dalej – bo się o nie wielu chyba dobijać będzie po bezdzietnych. Łatwo przyjdzie ich dostać, a tak naszemu panu, jak nic, może przyjść królestwo do rąk i korona na skronie. A! – zawołał rozochocony Świnka. – Zaraz go w Gnieźnie ukoronujemy. Chowają tam w skarbcu ów sławny Szczerbiec Chrobrego, co mu go anioł przyniósł z nieba⁴², i koronę starą Chrobrową.

Przemkowi uśmiech dumy przeleciał po ustach.

– Ano, dobrze tak! – rzekł szydersko. – Ino wy zostańcie arcybiskupem, abyście wy mnie ukoronowali!⁴³

⁴⁰ W pierwodruku omyłkowo: „bawił się”.

⁴¹ Polska Większa – dosłowny przekład nazwy Wielkopolski z zabytków średniowiecznych (*Polonia Maior*).

⁴² Ów sławny Szczerbiec Chrobrego, co mu go anioł przyniósł z nieba... – porównaj końcowe rozdziały *Braci Zmartwychwstańców*, gdzie podana jest ta legenda.

⁴³ ...abyście wy mnie ukoronowali... – w dalszym toku powieści sprawa ta została wyjaśniona.

Jakub i wszyscy śmiać się głośno zaczęli, bo patrząc na młodzieńca rycerskiej postawy, który właśnie na turnieju wianki zdobywał, zdało się jego arcybiskupstwo równie do wiary niepodobnym, jak żeby rozbite państwo na nowo zjednoczyć się miało.

Słyszając śmiechy te, Jakub zamilkł, usta mu się też złożyły jak do uśmiechu, i po tych jasnym myślach osmutniało nagle wszystko. Bolesław zadumał się.

– Daleko jeszcze do tego, daleko! – zamruczał. – Lecz Bóg wielki jest i cudowny. Karze on nas i chłoscze, a gdy za grzechy odpokutujemy, zlitować się może.

– Amen! – dokończył sędziwy biskup poznański. Długo w noc gwarzono przy stołach dnia tego, nazajutrz ostatek gości już się z zamku wybierał. Jakub Świnka jechał też dalej za granicę, gdzie co poczynać miał, nie spowiadał się. Domyślano się, że wszelkiego rycerstwa próbować chciał, bo miał wielką świata ciekawość.

Nie uszło to oka księcia Bolesława, że Przemysław dla młodej żony oziębłym był. A choć z tych dni pierwszych nic jeszcze wnosić nie godziło się, gdy nazajutrz się żegnali, a on odprowadzał go jak ojca, przy koniu idąc aż do wrót, pochylił się doń stary i rzekł:

– Patrzaj, ażebyś z tą żoną, jaką ci Bóg dał, żył w miłości i zgodzie, jako ojciec twój z Elżbietą, jako ja z Jolantą. Taką ją mieć będziesz, jaką sobie uczynisz, bo niewiasta posłuszną jest, gdy miłuje, i w ślad idzie za panem swym. Dziecko to jest jeszcze, dobre i łagodne. Będziesz ty dla niej miłosierdnym i wiernym małżonkiem, ona ci też żoną zostanie dobrą. Niech Bóg wam błogosławi.

Przemko wysłuchał nauki tej w milczeniu, usta zagryzł, a gdy na zamek powrócił, markotno mu było, że go stryj napominał, bo teraz nawet od niego nauki żadnej nie chciał znosić, a słowa Bolesława znaczyły, że stryj o nim powątpiewał.

W kilka dni potem już Mina z dworku na podzamczu przeniosła się na zamek. Dano jej izby przednie, Bertocha ją tak samo w opiekę wzięła jak księżnę, skłaniając się więcej ku tej, do której księcia namiętność ciągnęła. Obie Niemki lepiej się też rozumiały.

Najpilniej było Bertosze naprzód starej pozbyć się piastunki, co dzień więc księciu powtarzała, aby żonie to zapowiedział, iż Orcha musi nazad do Szczecina. Przewrotnej babie nie w smak była cicha i łagodna Pomorzanka, snuła już różne sposoby, którymi się jej pozbyć mogła. Pomówić o zdradę, oskarżyć o miłość pokątną, wmówić w Przemka, że chorą była.

Lukierda rozpoczynała swe życie niemal klasztorne, rada z tego i uspokojona, że ją mąż, którego się lękała, opuszczał i zanieczywał. Ułożyła już sobie tryb taki dni powszednich, aby nikomu nie zawadzała: z rana szła do kościoła, siadała potem do krosień, a Orcha przy niej, najczęściej na ziemi, nucąc stare piosenki. Ile razy je tak zastała Bertocha, milkły obie i przy niej ani rozmawiały, ni śpiewały, aż zła, pokręciwszy się, odgrając odeszła.

Przemko rzadko żonę nawiedzał i jak byli obcy sobie dni pierwszych, tak i teraz pozostali. On skarżył się, że miłości w niej ku sobie nie widział, lecz też jej najmniejszej nie okazywał. Jednego dnia, gdy Orchy w komnacie nie było, Przemko przyszedł do Lukierdy i zastał ją przy kądzieli, bo prząść bardzo lubiła. Namówiony przez Bertochę zaraz gwałtownie wystąpił z tym, że baby-piastunki na dworze niepotrzebnej chce się pozbyć, bo mu podejrzaną i wstrętną. Łagodna zawsze Lukierda wypuściła z rąk wrzeciono, powstając żywo.

– Jedna tu ona jest, co mnie miłuje – odezwała się śmiało. – Weźmiecie ją ode mnie, to mi życie zabierzecie. Póki sił mych błagać was będę, nie odbierajcie mi jej! Nie odbierajcie! Ona mi drugą matką jest i była.

Przemko się nasrożył.

– Ja moje prawa mężowskie mam – zawołał – które od macierzyńskich pierwsze są!

– Więc chyba śmierci mej chcecie! – płacząc odpowiedziała Lukierda.

Księżę gwałtownym jej wystąpieniem, którego się nie spodziewał, zawstydzony, litość uczuł wreszcie nad rozłzawioną. Pomyślał, iż ona winną nie była, iż mu ją narzucono. Zamilkł, nie nalegał więcej. Sama jednak groźba wywołała płacz taki w biednej niewieście, iż nierychło go utamować mogła. Księżę wyszedł, we łzach ją zostawiwszy.

Orcha powróciwszy, gdy ją tak zastała rozplakaną i zbolaną, przestraszona chciała do badać się przyczyny, lecz Lukierda nic powiedzieć jej nie chciała. Złożyła łzy na przestkach, jakiego doznawała zawsze, gdy mąż przychodził do niej. Szpiegująca Bertocha nadbiegała zaraz podpatrzeć, jak się rozmowa skończyła, udając bardzo czułą i troskliwą około swej pani, choć ze złością na nią i Orchę spoglądała.

Książę później przez czas jakiś nie wznowił o piastunce rozmowy. Troskliwa starucha dla dziecka swego wymyślała, jakie mogła, zabawy, więc wieczorami, biorąc dwie lub trzy służebne i kilku poważniejszych dworzan dla straży, wyprowadzała ją w pole i lasy sąsiednie. Lukierda tu dopiero odżywała, przysłuchując się śpiewom wieśniaczym, które lubiła, często przechodzące niewiasty zatrzymując i obdarzając, aby mogła pomówić z nimi lub pieśni posłuchać, które jej pomorskie i kaszubskie przypominały.

Bertocha i z tej rozrywki winę uczyniła śmiejąc się, że chłopów lubiła i że za żonę wieśniakowi, nie księciu wielkiemu, stworzoną była. Upodobanie to w prostaczych zabawach, wedle niej, pani takiej nie przystało.

– Na zamku jej źle – mówiła – a w polu na sianie, między prostą czeladzią najlepiej. Tam ona i śmiech ma, i wesolość, że i płasć gotowa, a u nas się we łzach rozlewa. Parobka by jej trzeba i chaty, a nie księcia z zamku! Orcha jej do tych podłych zabaw pomaga! Włóczą się po okolicach, po lasach, a co tam czasu tych przechadzek się dzieje, kto wiedzieć może?

Tak podszeptowała Bertocha złośliwie, a Przemko zamiast zakazać przechadzek polecił jej surowo, aby księżnej na nich nie odstępowała.

Szła więc ciężka i tłusta Bertocha, przeklinając panią swą. Przy niej zaś wszystko milkło i smutniało. Wkrótce też dla chłodu i późnej jesieni musiały ustać te wycieczki i Lukierda w izbach się swoich zamknęła. Jak ze wszystkim na świecie oswaja się człowiek, i ona z wolna obyla się ze swą niewolą.

ROZDZIAŁ VI

Upłynęło dwa lata albo raczej przewlokły się one ciężkim kroki, wydając jakby wiekami dwoma. Nic prawie nie zmieniło się na poznańskim zamku, Przemko ani się przywiązał do żony, ani od Niemki odwiązał, która coraz większą władzę nad nim zyskiwała. Żołnierska córka lepiej przypadła do obyczajów młodego pana. Przebierała się dlań po męsku i jechała z nim w lasy, a na łowach śmielszego i zuchwalszego nad nią nie było. Musieli ją drudzy zasłaniać i bronić, bo się nieraz rzuciła na dziką, na niedźwiedzia, na wilka nie bacząc, że sił po temu nie miała. Właśnie wówczas najwięcej ją miłował Przemko, gdy dokazywała tak dzielnie, gdy potem z dworzany i łowcami słowy rubasznymi żartowała, nie rumieniąc się i nie wstydząc niczego, nie dbając o ludzi. Znając tę siłę swą, Mina używała jej i nadużywała, Przemko ulegał.

Czasami wybuchaly kłótnie i spory gwałtowne, tak że do razów przychodziło. Naówczas ksiązę przez dni kilka do niej nie chodził, a ta w rozpacz i gniewie tarzała się po ziemi, zwłaszcza gdy jej doniesiono, że u żony bywał. W końcu pokryjomu szła przekupiona przez nią Bertocha do pana, opowiadała mu, jaką to wielką miłość miała Mina dla niego, jak bez niego ani jeść, ani spać nie mogła, że się w końcu struć albo utopić była gotową, a takiej drugiej nie znaleźć.

Skoro Przemko litościwszym się stał dla Lukierdy i poważniejszy się z tamtą, szedł do niej, a przesiedział dłużej, popłoch padał na dwór niewieści, który Pomorzanki nie lubił, poruszało się wszystko i spiskowało, aby pana z miłośnicą pojednać. Zabiegali tak, że go w końcu do niej ściągnęli. Zaczynała się kłótnia na nowo, a kończyła czułością wielką.

Lukierda znowu spokój odzyskiwała, którego pragnęła, bo lata przeżyte małżonków z sobą przejednać nie mogły. Ona czuła trwogę na widok męża, on miał wstręt do cichej, bladej istoty. Mawiali czasem z pogardą, że w szczecińskich wodach rybę złowił, która zimną krew miała. Gdy przychodził do niej, z Miną się poważniejszy, i dłużej zasiedział, boleśnie się z jej prostaczych obyczajów, ulubionych pieśni i mowy naigrawał. Kraśniała, słuchając i słowa mu nie odpowiadając, Lukierda, łzy się jej na krośna toczyły, a dojrzał je Przemko, to się i za płacz gniewał.

Z początku o owej miłośnicy na zamku mieszkającej nic nie wiedziała księżna; umyślnie o niej zaczęto Orsze rozpowiadać. Piastunka swej pani donosić o tym nie chciała, najgoręcej pragnąc zbliżyć do siebie małżeństwo. Ale cokolwiek ku temu zrobiła, obracało się na przekorę. Nie mogąc przez piastunkę księżnę zawiadomić o Niemce, Bertocha dobrawszy chwilę, sama do niej poszła z językiem. Uczyniła sobie twarz miłosierną, udała litość wielką, wzdychając i żaląc się nad losem pani, iż miłości męża nie miała. Po cichu zwierzyła jej, jaka tego była przyczyna.

Zarumieniła się, słuchając, Lukierda, chciała przerwać i nie dać dokończyć, ale Bertocha na swym postawiła i wyśpiewała wszystko, nawet, że Mina była na zamku i kiedy ksiązę do niej chadzał.

Gdy odeszła, zapłakała księżna, a Orcha, zastawszy ją we łzach, domyśliła się przyczyny. Powiedziała piastunce wiernie, co słyszała.

– A! Ja o tym dawno wiem! – zawołała Orcha. – Ale cóż nam radzić na to? Po co się tym męczyć? Ona tu od nas starsza!

W dziedzińcu potem raz przechadzając się i pyszniącą pięknnością swoją pokazała Bertocha Minę swej pani. Lukierda wędła, bladła, chorzała, a ta kwitła jak róża, urągając się swą świeżą młodością za wcześniej starzejącej pani. Na białej twarzyczce księżnej łzy poorwały zmarszczki, oczy miała wypłakane, kaślała i słabła. Tęsknica ją dusiła. Zamykała nieraz oczy, aby choć myślą się przenieść na swój świat dawny, wesoly i swobodny. Wrócić do niego byłoby dla niej szczęściem największym, uciec pieszo, jak małżonka księcia Bolesława Łysego⁴⁴; ale strzeżono ją pilno. Tu trzeba było schnąć i powoli umierać.

W tym roku długo spoczywający książę Przemysław, któremu tęskno było, że wojować z kim nie miał, znalazł przecież sposobność wynijść z domu i rycerzy swych wyprowadzić w pole.

Bolesław Łysy⁴⁵, Rogatką zwany, wierzyciel, który nigdy spokojnie usiedzieć nie umiał, a rwał się po pijanemu, aby wyrwać z tej nędzy, w jaką popadł, bo często konia pod siodło nie miał, chleba mu brakło, a miasta i ziemie za lada co musiał zastawiać, nasiadł się⁴⁶ na synowca Henryka wrocławskiego, aby mu odebrać jego dzielnicę. Zawsze się koło niego niemiec- kich łotrów a zbójów kręciły gromady. Wypatrzone chwilę, gdy spokojnie Henryk w Jelczy siedział w nieobronnym dworze, nasłał nań Rogatka zgraję, która wywlókłszy z łóżka synowca, zawiozła go do Lehen⁴⁷ i tam posadzono w więzieniu. Rogatka zaklął się, że go nie puści, aż mu ziem nie odda, które w spadku po Władysławie-biskupie zagarnął.⁴⁸

Na wieść o gwałcie tym i zdradzie, wszyscy książęta powinowaci ruszyli się w obronie uciemiężonego Henryka. Szedł krakowski Pudyk, szedł z Kalisza Pobożny, Konrad z Głogowa, Władysław z Opola, musiał i Przemko z nimi. Jak z jednej strony siły wielkie gromadziły się przeciw Rogatce, tak i on nie spał. Syna Henryka w pomoc wzięwszy naściągł Miśnian⁴⁹, Szwabów, Bawarów Niemców różnego rodu. Bramdeburchczyk też z Sasami swymi iść mu miał z posiłkiem, ale wzięwszy od Wrocławian pieniądze, został w domu. Przemko razem ze stryjem ochoczko ruszył na wyprawę. Z żoną ledwie się pożegnał, ale Mina puszczać go nie chciała łajać, że w cudze sprawy się miesza i przeciw Niemcom idzie. Nic to nie pomogło, bo książę Bolesław prowadził go z sobą.

Było to na wiosnę, w sam dzień św. Jerzego, gdy się dwa wojska spotkały między Skorolcem a Procanem. Zdało się zrazu, iż Polacy zwyciężą. Rogatka nawet tak się uląkł, iż pierwszy z pola uszedł, ale syn jego tak zajadle napierał na wojska sprzymierzone, którym jednego wodza i głowy brakło, że je pobił i książąt nawet pobrał do niewoli. Przemko, który zapalczywie walcząc, wparł się z pułkiem swym w sam środek Niemców, pojmany został z ludźmi i ranny poszedł w moc Ślązaków. Jeden z żołnierzy zbiegły od Skorolca przywiózł o tym do Poznania wiadomość. Zawichrzyło się strasznie na zamku.

Wpadła, ręce załamując, Bertocha do księżnej, z tą wiadomością. Doniesiono jej pono gorzej, niż było; ulękła się, aby Przemko nie przypłacił życiem, a księżna nie zapanowała; stała się więc pokorną. Lukierda przeraziła się tą wieścią, żal jej może było człowieka, choć ten jej strasznym był; nadszedł przecież zaraz kasztelan sremski Sambor, uwiadomiony lepiej, i

⁴⁴ Uciec pieszo, jak małżonka księcia Bolesława Łysego – chodzi o Adelajdę, córkę Sambora, drugą żonę Łysego.

⁴⁵ Kraszewski w całej powieści mylnie podaje imię Rogatki: Henryk Łysy zamiast prawidłowo: Bolesław Łysy; omyłka została wszędzie sprostowana.

⁴⁶ Nasiadł się na niego – zaatakował go, natarł na niego – tu raczej: zawziął się.

⁴⁷ W pierwodruku: do Lehnia. Nazwa zamku została poprawiona zgodnie z Długoszem i Bielskim.

⁴⁸ ..aż mu nie odda ziem, które w spadku po Władysławie – biskupie zagarnął... – Henryk IV otrzymał w spadku po zgładzonym skrytobójczo ojcu Henryku III i stryju arcybiskupie Salcburskim (a nie biskupie, jak podaje Kraszewski) całe księstwo wrocławskie. Ci, którzy obawiali się, aby Henryk IV nie mścił się za śmierć ojca i stryja, spowodowali uwięzienie Henryka IV, a Rogatka miał pretekst, aby wymóc dla siebie odpis części księstwa.

⁴⁹ Miśnianie – mieszkańcy Marchii Miśnieńskiej (dzisiejszej Saksonii).

uspokoił ją donosząc, że chciwego Rogatkę lada kawałkiem ziemi załagodzą, a księżę, powróciwszy, okup ten odzyska siłą. Rany straszne nie były, uspokojono księżnę; czynić też nie mogła nic, na stryja zdając wszystko, który musiał Przemka ratować.

Wcale inaczej wiadomość przyjęła Mima; jak tylko się o niewoli dowiedziała, nie tracąc chwili przebrała się po męsku, dobrała sobie ludzi kilku, co się jej towarzyszyć ofiarowali, Niemców samych i teźże nocy puściła się do Lignicy.

Niewola u Rogatki lekką nie była, bo ten nie zważał ani na dostojność, ani na powinowactwo; zamykał po lochach, głodem morzyć był gotów. Zły a zapamiętały, często nieprzytomny mówił śmiejąc się, że aby z człowieka co wydusić, potrzeba go dusić było. Duszono też po najsmrodliwszych jamach pobranych więźniów, a Przemysławowi dostał się loch w Lignicy ciemny, w którym go Niemcy dzień i noc strzegły. Rogatka, który pierwszy uszedł z placu, teraz gdy mu się szczęście uśmiechnęło, odgrażał się, że więźniów głodem pomorzy, jeśli mu grzywien⁵⁰ i ziemi nie dadzą.

Niemka, zasłyszawszy, gdzie pana szukać miała, w kilka koni wprost puściła się do Lignicy. Wiedziała jako i drudzy, jak Rogatka żył i przez kogo doń trafić było można. Z Niemcami się ugryzając po niemiecku, dotarła do zamku, w którym Rogatka się znajdował, a że mu się powiodło, szalał lepiej niż kiedy.

Już z dala po zamku poznać było łatwo, co się tu działo. Zbiegowisko ogromne najemnika zalegało dokoła, łupy wrocławskie dzieląc, pijąc, grając w kości, a na rozbójniczą gromadę więcej niż na wojsko wyglądając. Na wałach pod murami, na przedmieściach pełno było żołdactwa, które i zamek zajmowało.

Śmiała Mina, gdy się potrafiła przedrzeć do środka, gdzie żadnego ładu nie było, przedarła się też prawie gwałtem aż do izby, w której Łysy ze swą kochanką, grajkiem i błaznom pił a pokrzykiwał. Zobaczywszy ją ni kobietę, ni mężczyznę, bo do obojga była podobna, stary zrazu nie wiedział, co poczynać, patrzył na nią a patrzył. Ta wprost do Sonki Dorenowej podszedłszy, przy niej siadła. Odezwała się do niej po niemiecku.

– Tyś jego kochanka – wskazała na Łysego – no, a jam też polskiego księcia ulubiona. Powinnaś mi pomóc.

Rogatka dosłyszał.

– Zjesz licha niżeli ty albo i sam, diabeł mu pomoże! – krzyknął. – A po co laź? Ma to, na co zarobił, niechaj łapę ssie!

Zaklął się po niemiecku. Tymczasem Mina po swojemu piękną Sonkę uchadzała.

Rogatka zżymał się niespokojny.

– Precz z nią stąd! – wołał.

– No, to wsadź mnie z nim do więzienia! – krzyknęła Niemka wstając. – Wsadź! Będę siedzieć z nim razem!

– On żonkę ma, co tobie do niego?

– Jam mu więcej niż żona – odparła Mina. – Słuchaj stary – i poklepała go po ramieniu – nie bądź zły! Ja go widzieć muszę.

– Oho! Do jamy mu będę miłośnicę słał, ażeby lżej było siedzieć! Niedoczekanie! – zawołał Łysy poświstując.

– Mówże, księżę, czego od niego chcesz, to ci dadzą!

– Czego ja chcę? Albo to on nie wie?! – krzyknął stary. – Ziemi chcę! Musi mi jej dać dobry szmat! Mnie moja własna spod nóg uciekła, synowcowie ograbili, lichwiarze w zastaw pobrali. Ludzie nade mną nie mieli litości i ja nie będę jej miał nad nimi!

Nie zrażona odpowiedzią tą, Mina zaczęła wrzaskliwie nalegać na niego z napastliwością kobiecą. Sonka Dorenowa gorąco brała jej stronę.

⁵⁰ Grzywna – jednostka pieniężna wagi pół funta srebra, z którego wybijano najpierw 240 denarów, w XIII w. nawet 1400 denarów.

– On ci tyle, co inni nie zawinił – odezwała się – wiecznie go trzymać nie będziesz!
– On wcale wam nie zawinił – pochwyciła Mina – stryj kaliski gwałtem go pociągnął z sobą. Niechże on teraz go wykupuje.

– Wszyscy oni jednej miary i warci u mnie gnić w lochu, pod nogami! – wrzasnął, kubkiem stukając, Łysy. – Mnie należało panować na Wrocławiu i na Krakowie i – wszędzie! Długom na to czekał, aż połapałem; niech siedzą!

Pogłaskała go Dorenowa uspokajając, gęślarz zaczął brząkać i podśpiewywać, Łysy popił i trochę się udobruchał. Posłyszawszy gędzbę,⁵¹ sam też nucić zaczął, na Minę patrzył szydersko i lubieżnie, a ta mu wzrokiem równie śmiałym odpowiadała. Uczuła zaraz, że Łysy zaczynał łagodnieć i skorzystała z tego.

– Książę – odezwała się śmiało – nie bądź dzikim, to wam nie przystało, puść mnie do mojego pana!

– Szkoda cię, ty kwiatku, żebyś w tym lochu gniła, w którym on siedzi. Tam tylko szcukrom i żabom żyć! – zaśmiał się Rogatka.

– No, to go każ z lochu do izby jakiej przeprowadzić! – nalegała Dorenowa, może aby się pozbyć Miny i jej wejrzeń zalotnych.

Książę się za wasy targnął.

– E, wy baby, wy baby! – zawołał. – Przez was to ludzie giną!

Odwrócił się do gęślarza.

– Graj, ty jucho!

Zabrzęczały struny, a Łysy począł wyśpiewywać poświstując.

– Ha! ha! – przerwał. – Piosenki! piosenki! Henryczek synowczyk mój, ten to śpiewki składać umie⁵². Niechajże teraz sobie zaśpiewa!

Zmiękł powoli Rogatka. Minie kazał zrazu iść precz. Dorenowa się za nią ujęła; potem mrucał do niej i dostał za to po twarzy, na ostatek Sonka, sama się rządząc za niego, zawołać kazała burgrabiego zamkowego i przy księciu rozkaz mu dała:

– Polskiego księcia z lochu wyprowadźcie do czarnej izby i ta (wskazała na Minę) niech do niego przystęp ma!

Wtem Bolesław uderzył o stół pięścią ogromną.

– Ty jakaś! Co ty tu będziesz dawała rozkazy?

– A będę – zawołała Dorenowa. – Będę! Albo to ja mocy nie mam, kiedy i ty mnie słuchać musisz! – Odwróciła się do burgrabiego.

– Słyszałeś? Ja każę – i on musi to kazać, co i ja!

Łysy się po głowie musnął.

– Grajku, psi synu, grajże na pociechę!

Za odchodzącym burgrabią wybiegła Mina zaraz, wciskając mu pieniądze i racząc go dobrym słowem. Szli razem ciemnymi izbami aż na tył zamku, kędy szyja kowanymi drzwiami zamykana prowadziła do zimnego lochu. Minę gniew ogarniał. Otwarto drzwi, chciała się rzucić zaraz, ale w ciemności nic dostrzec nie mogła. Przemko, zobaczywszy światło, z barłogu się porwał, krzyknął i przypadłszy, rzucił się jej na szyję.

Mina pochwyciła go, wiodąc z sobą na górę.

– Chodź, chodź! To nie więzienie, a grób! – krzyknęła.

Burgrabią nie dał im tak iść, ujął księcia za rękę i sam postąpił naprzód. Po wschodach idąc, Przemko ścisnął, milcząc, swą wybawicielkę.

⁵¹ Gędzba – tu: granie, muzyka.

⁵² Henryczek, ten to śpiewki składać umie – chodzi o Henryka IV Probusa, który znany był jako *Minnesänger* (średniowieczny poeta-rycerz). Jego utwory w polskim przekładzie zamieścił w 1841 r. w piśmie „Przyjaciół Ludu” Karol Szajnocha.

– Cóż! Swobodę mi przyniosła?! – zawołał, gdy wyszli na górę.

– Jeszcze nie, alem choć lżejsze w izbie wyprosiła więzienie – odpowiedziała Mina. – Ły-
sy ziemi chce, daj mu, byle cię puścił!

Przemko milcząc potrząsnął głową, stękał na ramę. Gdy na jaśniejszy dzień wyszli, złękła się Niemka, ujrzawszy go bladym, żółtym i wynędzniałym. Odzienie na nim było poszarpane i zbrukane, słomą oblepię i brudne. Zamiast zapłakać, dziewczyna z gniewu na Rogatkę trzę-
sła się i tupiała nogami.

Burgrabia wpuścił ich oboje do czarnej izby. Zwała się ona tak i godną była swego nazwi-
ska. Stęchliznę w niej czuć było, jedno okno głęboko w murze osadzone słabo ją oświecało. Wiosenne ciepło jeszcze się w głąb tych ścian kamiennych nie dostało – zimno i tu było
przejmujące. Mina dała pieniędzy, aby dREW przyniesiono i naniecono ognia. Śmiała, napa-
stliwa, rozkazywała obcym ludziom, a ci słuchali jej, sądząc, że prawo do tego mieć musiała.

Przemko jęczał, na ławę ległszy, Niemka biegła, krzątała się, krzyczała. Patrzył na nią i mimo że zbolały był, rozjaśniało mu się lice. Śmiałością swą, zapobiegliwością brała go za rękę. W więzieniu samotnym przychodziły mu myśli różne, czuł sumienia zgryzoty, miał los swój terażniejszy za karę bożą, grzesznego życia kajać się już był gotów. W tej chwili pokut-
nicze zamysły poszły precz, Mina je czarnymi oczyma odegnała. Z jej przybyciem odzyski-
wał nadzieję rychłej swobody.

Począł rozpytywać Niemkę.

– Cóż ten niegodziwiec prawi! Widziałaś go? Jakeś się tu dostała? Pytałaś go o mnie?

– Wykupu chce, pragnie mu się ziemi – powtórzyła Mina jak wprzód. – Ziemi! Trzeba
mu ją dać!

Przemko się nachmurzył.

– Ziemi nie dam – zamruczał – nie dam, choćbym tu zgnić miał. Ziemia to nie moja.

– A czyjaż? – podchwyciła Mina.

– Pradziadowska, ojcowska. Kto ją wziął po nich, ten powinien oddać w całości. Jam jej
nie przyrobił, a miałbym obrywać! Nigdy!

Mina głową kręciła.

– Jeszcześ mało w tym gniłym lochu siedział, kiedy tak mówisz – odparła.

– Grzywny mu zapłacę! Okup dam!

– Ale on i grzywien chce, i ziemi – zawołała Niemka – a życie twoje droższe niż oboje! Co
ci po ziemi, gdy w lochu siedzieć będziesz?

– Nie będę – odparł Przemko. – Niedoczekanie tego pijanicy, aby nas trzymał długo. Znaj-
dą się tacy, co się za mnie i za innych upomną.

– Kto? Wszak pobił wszystkich! – wołała Mina.

– On? On pierwszy zbiegł z placu.

– Syna ma lepszego niż sam.

Przemko westchnął ciężko.

– Ziemi chce! – zamruczał. – Ziemi nie dam! Nigdy!

Nie słuchając już go, Mina się kręciła po izbie, starając się ją mieszkalną uczynić. Języ-
kiem niemieckim a śmiałością swą z ludźmi zamkowymi rady sobie dawała przedziwnie. W-
chodziła i wychodziła nie pytając ich, jakby jej nikt pytać i bronić tego nie miał prawa. Ka-
zała im sobie przynosić spod zamku, czego potrzebowała, słowem, oswojona wnet znajdo-
wała się tu jak w domu. Żołdacy ją po korytarzach zaczepiali, odcinała się im dumnie, gdzie
było potrzeba dawała pieniądze, umiała krzyknąć, zakłąć jak żołnierskie dziecko, nie bała się
nikogo.

Przemkowi nowy duch do piersi wstąpił, ogrzał się, wyciągnął, napił, miał przemówić do
kogo. Nierychło spytał, co się u niego na zamku działo. Niemka ramionami ruszyła.

– Co się tam ma dziać?! – zawołała. – Na Lignicę cię odbijać nie pójda, sił nie mają. Było was kilku na Łysego, a nie zmożliście go, toć wojewoda Przedpełk z Petrykiem się nie porwą na niego!

O żonę nie śmiał księżę pytać, czekał aż sama mu coś może powie, jakoż Mina ozwała się:

– Lukierda wasza pono krzyknęła, dowiedziawszy się, że pan mąż w niewoli, a teraz rada może, iż się was pozbyła. Znajdą się dworzanie, co ją pocieszą...

Przemko surowo spojrział na nią.

– Cóż się to krzywisz? – dodała. – Wiadomo to, że dwór męski bardzo tę panią kocha. Przed nimi słowa na nią bąknąć nie można, gotowi bronić. Na mnie tylko psy wieszają! Przecież księżna tu was ratować nie spieszyła, tylko ja...

Nazajutrz rano poszła Mina do Dorenowej, którą samą zastała. Łysy z grajkiem, nie odstępującym go ani na chwilę, poszedł do Niemców swoich. Lubił się z tym łotrostwem zabawiać jak dobry towarzysz, słuchać tłustych ich żartów, śmiać się, pić z nimi, a choć czasem którego, gdy go obraził, zbić kazał albo obwiesić, Niemcy mu tego za złe nie brali. Włóczęgi te, obce sobie, nie tak się kupy trzymali, by jeden zbyt gorąco za drugiego się ujmował. Pół dnia tak czasem w podwórzu albo na wałach, na próżnej beczcze siadłszy, grajka u nóg posadziwszy, trawił Łysy między żołdakami, dopóki mu się za Sonką Dorenową nie zatęskniło albo drzemać nie zachciało. Naówczas grajka z sobą ciągnąc, który go poprzedzał, na zamek powracał.

Z rana Dorenowa była sama, bo chłopiec jej, synalek już spory, urwisował też między knechtami. Leżała spoczywając, a niewiasty koło niej jak przy chorej chodziły, bo sługami otaczać się lubiła, aby za księżną uchodziła. Opryskliwa, sroga, dziwaczna, dla pokazania swej mocy dziewczki kazała chłostać, a dobrego słowa nikomu nie dała. Naśladowała w tym Łysego, który szydził, śmiał się, a nagle potem wściekał, bił i wieszał, gdy mu innej zabrakło zabawy. Gdy Mina weszła, właśnie trzymała dziewczkę za kosę, a policzki jej czerwone świadczyły, że podniesiona ręka półksiężnej nie próżnowała. Zobaczywszy obcą, popchnęła sługę i starszej, co obok stała, dała rozkaz, aby ją ochłostano.

W izbie kochanki księżnej było dosyć okazało, bo się świeżych łupów część jej dostała; ale niedawno jeszcze ściany były odarte, skrzynie wypróżnione, bo przed wojną wszystko pozostawiano. Sonka rada była i dumna ze zwycięstwa Łysego, obiecującego, że się próżny skarbiec zapełni. Zmiarkowała Mina, że kobiecie dumnej przypochlebić się trzeba było, przystąpiła więc do niej z pokorą i wdzięcząc się:

– Wyście tu, miłościwa pani, prawdziwa księżna – rzekła. – Winnam wam tylko, że mojego pana z lochu dobyto, niechże Bóg wam za to zapłaci! Macie dobre, wspaniałe serce księżęce! Wy u Bolesława możecie, co zechcecie!

– Pewnie, że zrobię, co zechcę! – odpowiedziała, śmiejąc się i podnosząc nieco, Dorenowa, która włosy piękne, w nieładzie rozpuszczone zawiązywała.

– A! Jakie wy śliczne włosy macie! – dodała Mina. – Nie dziw, że wasz stary głowę dla takiej piękności traci, któż by nie oszalał dla niej!

Sonka uśmiechała się i pyszniła.

– A! Ty! pochlebniczo! – mruzczała.

– Księżno ty moja, ciebie by i królową nazwać się godziło – ciągnęła dalej Niemka – bądź do końca miłosierną, jakieś poczęła! Dopomóż mnie, nieszczęśliwej! Mnie trzeba koniecznie mojego biednego pana wyzwolić!

– O o, to trudno – szepnęła Dorenowa. – To trudno!

– A co dla was trudnego? Jak wy mu się uśmiechniecie i pogładzicie pod brodę?

Sonka głową kręciła.

– Ziemi kawałek musi dać – rzekła – nic nie pomoże; na ziemię mój Bolesław łakomy, bo mu już jej mało zostało. O, ziemi musi dać!

– Ziemia, ziemia! – zawołała Mino. – Co ona warta? Grzywny lepsze.

– Grzywny – rozśmiała się Dorenowa – grzywny dla mnie, a dla niego ziemi szmat. Za wolność warto zapłacić!

– Grzywny dla was i dla księcia lepsze – mówiła Mina. – Co po ziemi, którą nieustannie strzec trzeba a i ludzi pilnować?

– Musi ziemię dać! – potwierdziła raz jeszcze Sonka. – Nic nie pomoże. Zaklął się Bolesław, że bez ziemi nie puści.

Pochylone ku sobie dwie niewiasty szeptać poczęły, Mina mówna, żywa i śmiała przewagę miała nad otyłą, ocieślała i niezbyt szczebiotliwą Dorenową. Rozstały się przyjaźnie z sobą.

Gdy książę napiły, grajka wiodąc za sobą i przyśpiewując, do izby powrócił, a Dorenowę kazał wołać do siebie, przyszła doń wystrojona, pogładziła pod brodę, siadła na łożu i poczęła za polskim księciem przemawiać.

Książę, choć podpiwszy, jedno miał ciągle na ustach:

– Ziemi musi mi dać!

Od tego nie odstępował. Tymczasem, by się pozbyć natrętnej, grajkowi, usypiającemu ze znużenia, klątwami i groźbami coraz oczy otwierał.

Nie wymogła nic na nim kochanka, bo pomrukiwał ciągle:

– Ziemi i grzywien! Skarbiec u niego bogaty. Ojciec skąpy był, na kościoły nie rozdał wszystkiego. Kaliski stryjek mu przysporzył mienia. Muszą dać!

Sonka namówić chciała, aby się jakim tysiącem grzywien dał wykupić, ale Bolesław, ogromnym kułakiem uderzywszy o krawędź łoża, zaklął się, że bez ziemi nie będzie nic.

– Każdy z tych jeńców musi mi dać po kawałku! Ani czeski król, ani cesarz nie pomoże, bo ja się ich obu nie boję; dam ich pościnać, kiedy w rękę mam, albo głodem zamorzę!

Głaskała go Sonka próżno, nie dał się ugłaskać.

Wkrótce potem wtoczył się Henryk Otyły, syn Łysego, zwycięzca, któremu ojciec zawdzięczał książąt niewolę. Krzyknął nań, aby do Przemka szedł, i oznajmił mu, że bez ziemi się nie uwolni, a i grzywien dopłacić musi. Otyły miał mir u ojca, a sprawa obu jedną była. Silniejszy i trzeźwiejszego umysłu był. Głową potrząsał.

– Słuchajcie no, ojczy – rzekł powoli. – Dobra rzecz ziemi szmat wziąć i srebra, ale ja bym od Przemka wołał grzywny. Da ci kawał Wielkiej Polski, niepokój kupim sobie. I on, i kaliski będą napadali, tchnąć nam nie dadzą, aby wydrzeć nazad. Ja bym mu okup sowity kazał dać i puścił do licha.

Sonka potwierdzała.

– Dobrze mówi! Rozum ma!

Ale Rogatka łajac począł ją i syna; dopiero postrzegłszy, iż się gniewu nie zlekli, złagodniał.

– Da ziemi czy nie, a żądać trzeba – rzekł. – Mów, że ziemi chcę!

Grajkowi śpiewać kazał i zaświstał nutę, którą on pochwycił.

Otyły z wolna powlókł się do czarnej izby. Od owego dnia, gdy ich w bitwie pobrał do niewoli, nie widzieli się z sobą. Henryk młody był, rycerską dzielną miał postać, ale przed czasem się roztył, a ojcowskie rozpasanie trochę na nim widać było. Przemko, ujrawszy go wchodzącego, zadrgał cały, z ławy się nie podniósł. Gniew zwyciężonego zawrzał mu w piersi. Henryk powoli szedł ku niemu.

– Ano! – rzekł. – Wysiedzieliście już pokutę, czas by wam do domu... Młoda żonka na was czeka! Ojciec mnie tu posyła. Chcecie na swobodę? Z niewoli darmo nie puszcza nikt!

– Okup dam – rzekł Przemko krótko i sucho.

– Ojciec ziemi chce – odparł Otyły.

– Ziemi nie dam! – prędko zawołał Przemko. – Będę gnił tu, a ojcowizny nie pokraję.

Henryk Otyły, choć nie proszony, usiadł przy więźniu na ławie i w boki się ujął.

– A jak nazad do lochu wrzucą?

– Wola boża – rzekł Przemko. – Wojna się raz powiedzie, drugi nie. Co jutro będzie, nikt nie wie.

Otyły uderzył go po kolanie.

– Co grzywien dacie? – spytał.

Przemko zwrócił się żywo.

– Mów, co chcesz, dam, co mogę.

Zaczął się targ między nimi. Mina, stojąc w ciemnym kącie, słuchała z natężoną uwagą. Stańło na grzywien tysiącu.

– Ślijcież zaraz do Poznania, aby wam je tu przywieziono, albo za granicę nie puścimy inaczej.

– A rycerskie słowo?

– Eh, eh! Słowo wiatr! – rozśmiał się Otyły. – Srebro na stół!

Wtem Mina niecierpliwa wyrwała się z kąta. Ujrzawszy ją, Henryk się rozśmiał, bo o niej pewnie słyszeć musiał, i przypatrywał się ciekawie.

– Po grzywiny do Poznania nie potrzeba! – zawołała. – Tysiąc grzywien znajdzie się w Lignicy dla polskiego księcia.

Nie tłumacząc się więcej przystąpiła do swojego pana.

– Gotujcie się do drogi! – rzekła wesoło. – Do jutra rana ja okup zapłacę.

To mówiąc, chwyciła zasłonę⁵³, pas ścisnęła i wybiegła, drzwi za sobą zamykając z hałasem.

Od rana dla wygody przedziała się znów po kobiecemu i pięknie jej w tym było.

Henryk Otyły wstał.

– Szatan nie baba – rzekł – ale żeby w Lignicy dla was tysiąc grzywien znalazła, wierzyć mi się nie chce.

⁵³. Zasłona – chustka na głowę zasłaniająca zgodnie z ówczesnymi zwyczajami również część twarzy.

ROZDZIAŁ VII

W ciągu niewielu godzin, które na zamku lignickim spędziła, Mina się już dobrze z ludźmi obeznała. Ująć sobie potrafiła kilku z niemieckiej starszyny, rozmówiła się z kasztelanem zamkowym, poznała z ochmistrem, dostała języka od Dorenowej.

Jak we wszystkich miastach polskich i polsko-niemieckich podostatkiem było i w Lignicy Żydów, którzy wszystkim, a najochotniej pieniędzmi handlowali. Na nich rachowała Mina, że za dobrą lichwę, grzywny dla księcia dostanie.

Dorenowa wspomniała przed nią o bogatym Joelu, kasztelan jej mówił o możliwym Judzie Levi. Na zaimku znalazł się wojak usłużny, stary już zażyły tu niedołęga, który wisiał przy Rogatce, choć mu się już na nic nie zdał, tylko do smagania nieposłusznej dworni⁵⁴. Kulawy na jedną nogę, z okiem wybitym, ale silny jeszcze Hans ofiarował się Minę do miasta wieść, pokazać dom Joela i zaprowadzić do Judy. Z zaniku zszedłszy, powiódł ją krętymi uliczkami, w których gęsto stały dworki różne, tak nieporządnie poustawiane, żeby tu bez przewodnika nikt nie trafił.

Uliczki pełne były błota i śmiecia, kałuż, przez które gdzieniegdzie rzucona kładka, chwiejąca się, przeprowadzała na drugą stronę. Dworki wszystkie były z drzewa, tęgimi wysokimi parkanami poobwodzone, bo żołdactwo dokazywało i broiło, musieli się więc mieszczanie mieć na ostrożności, dobre wrota stawić i parkany mocne.

Na maleńkich placzykach widać było gdzieniegdzie szersze szopy z miejską wagą targową (miednicą), z jatkami, przed którymi wisały mięsa ćwierci, obuwie, pasy i odzież. Na okiennicach wystających nieco leżały chleby, stały misy i żywność wszelka. Spod nich wyglądała czasem głowa starej baby lub mężczyzna w czapce wysokiej. Uboga ludność snująca się z rzadka niewiele się strojem i pozorem od wiejskiej różniła. W kilku szynkach piwnych i miodowych słychać było pobrzękującą muzykę i okrzyki pijanych żołnierzy Niemców, których tu pełno było wszędzie. Tych sporo, śpiewając, włóczyło się i w ulicach.

Kulawy Hans prowadził i prowadził tak daleko, że się aż sprzykrzyło niecierpliwej dziewczynie, ale co się obejrzała ku niemu, naprzód wskazywał i tak dowlekli się aż do dworku ku wałom przypartego, ponad którym para drzew starych szeroko się rozpościerała. Tu parkany mocniejsze jeszcze były niż po innych zagrodach, brama dębowa ciężka, furta i okno nad nią jak po zamkach. Zakołatał Hans i zakrzyczał, aż nierychło coś sunąć się i chlapiąc ku furcie przybliżyło. Ciężka rozmowa trwała znów długo, nim, zamiast wpuścić do środka, nie wysunął się z furty człek chudy, mały, na pół zgięty, ubogo odziany, brudny, z rzadką brodą siwą, którą białymi, kościstymi palcami przebierał.

Nie miał on ani owej czapki rogatej, którą kazano się naówczas Żydom odznaczać, ani po lewej stronie zwierzchniej sukni na piersi kółka czerwonego, jakie synody⁵⁵ Żydom nosić nakazywały dla odznaczenia ich od chrześcijan, z którymi poufałe obcowanie było im wzbronione. Sama twarz starego zdradzała pochodzenie wschodnie. Garbaty nos, oczy jak węgiel czarne, cały krój fizjonomii był obcy, ni słowiański, ani niemiecki. Żyd zaraz się cofnąć

⁵⁴ Dwornia – służba dworska.

⁵⁵ Synod (z grec.) – zjazd duchownych zwołany dla omówienia spraw kościelnych.

chciał nazad do domu, gdy Mina, za rękaw wiszący schwyciwszy go, zawołała: – Przychodzę do was od polskiego księcia Przemka, który tu siedzi w niewoli. Możecie u niego zarobić wiele!

Z niedowierzaniem wpatrzył się w nią stary i cmoknął. Miało to znaczyć, że zarobku nikt nie odpycha.

– Nu – rzekł cicho – nu?

Mina mówiła dalej żywo, lękając się, aby jej nie uszedł, bo się ciągle na furtę oglądał.

– Księżę się musi z tej niewoli przeklętej wykupić, pieniędzy mu potrzeba dużo, potrzeba prędko. W Poznaniu jest ich dosyć, ale słać nie czas. Kto mu je zaraz da, dostanie dobrą nagrodę.

Juda patrzył na mówiącą, jakby chciał ją na wskroś przejrzeć.

– Tysiąc grzywien srebra potrzeba! – dodała żywo.

Usłyszawszy to, Juda pochwycił się za głowę i za długie dwa z obu jej strony zwieszono siwych włosów skręty.

– Któż taką straszną sumę pieniędzy mieć może! – zabełkotał.

Kulawy Hans, który się przysłuchiwał, uderzył go po ramieniu i roześmiał się. Juda drgnął i cofnął się.

– Kto mu pieniędzy da – mówiła Mina – pojedzie razem z księciem, odbierze swoje i dostanie nagrodę, nagrodę dobrą!

– Tysiąc grzywien! – powtórzył Żyd zadumany. – Skąd wziąć tyle srebra! Zbierać trzeba, chodzić trzeba, zebrać trzeba! Tysiąc grzywien! Dla naszego księcia! Ten będzie każdą grzywnę brakować⁵⁶, każdy grosz ważyć, patrzeć, czyj on i gdzie bity. Srebro próbować!

– Nagroda będzie książęca! – dodała Mina niecierpliwie.

Nastąpiła chwila milczenia i namysłu. Oczyma Juda pytał o tę nagrodę, zdawał się wątpić o niej, a razem jej pożądać. Mina nalegała, ażeby jeżeli chce, sam nagrodę oznaczył. Pilno jej było. Juda patrzył w ziemię, zżymał plecami. Wszystko to odbywało się pod wrotami, a choć układy przeciągnęły się, Juda nie miał ochoty wprowadzić niewiasty nieznannej do wnętrza. Hans, któremu noga zboliała, spartłszy o furtę, stękał.

Dziewczyna po raz drugi domagała się o warunki. Żyd westchnął ciężko, zaprzysiągł, że takich pieniędzy nie ma i nigdy ich nie miał w życiu, musiałby je chyba ściągać, szukać, pożyczać – a i tak w całej Lignicy o tysiąc grzywien trudno było.

Mówiąc to, jednak nie odchodził, nie zrywał rozmowy.

– Hans – zawołała zniecierpliwiona Mina zwracając się do żołnierza – prowadź mnie do Joela!

Usłyszawszy to imię, Juda drgnął, zrobił minę pogardliwą.

– A! Tak, tak! – zamruczał. – Idźcie do Joela! Idźcie! Czemu nie? On wam ze dwadzieścia grzywien wyszuka! Pewnie! Joel! Czemu nie! U niego pieniądze rosną jak grzyby! Idźcie do Joela!

Mina ruszyła się z miejsca. Żyd śmiał się.

– Nie mam czasu do stracenia! – zawołała.

– Tysiąc grzywien z palca wyłamać! – odezwał się Juda. – Na całą Lignicę tyle grzywien nie znaleźć! Na zamku u księcia dawno już dwudziestu nie widziano!

Mina już odchodzić miała, gdy Juda z lekka ją za suknię pociągnawszy, oczyma Hansa ukazał. Zrozumiawszy to, dziewczyna dobyteła z kieszeni kilka sztuczek drobnych pieniędzy.

– Idźcie sobie gdzie na piwo, słabej nodze waszej odpocząć – rzekła. – Ja się tu z nim poradzę, a przyjdźcie po mnie!

Rad groszom, które rzadko widywał, a i piwu niemniej, bo je lubił, Hans żywo się ruszył, zagroziwszy Żydowi na odchodnym, aby niewieście nic się tu złego nie stało.

⁵⁶ Brakować – tu: sprawdzać wagę.

Po odejściu starego ciury, Juda wprowadził Minę do zagrody, powiódł ją podsieniami krytymi w głąb i izbę otworzył. Mina znalazła w niej dwóch w czapkach na głowach siedzących niemłodych ludzi, ciekawymi mierzających ją oczyma. Gospodarz prędko do nich coś mówić zaczął i wprzód, nim z Miną zagaił rozmowę, pilno a żywo naradzać się zdał z nimi.

Dziewczyna domyślać się mogła, że się między sobą układali o coś, nie zgadzali, sprzeczekali i na nowo zbliżyć usiłowali. Jej pilno było, lecz ile razy chciała zagadnąć Judę, dawał jej znak, aby czekała. W izbie nie było nic, proste ławy i stół, a u ściany za zasłoną jakby zwitki czy księgi. Świecznik mosiężny dziwaczного kształtu wisiał u pułapu.

Rozmowa trzech Żydów trwała dość długo, nareszcie jeden z nich wyszedł pośpiesznie, a gospodarz do Miny się zbliżył. Zapowiedział jej, że grzywny z wielką biedą znaleźć się mogą, ale pismo na nie pod pieczęcią księżę będzie 'musiał dać do podskarbiego i półtora sta grzywien nagrody i kopę kun⁵⁷, i sukna postaw⁵⁸ i... Różne były dodatki.

Mina ani mówić długo, ani się chciała targować, gotową była przystać na wszystko, przyjmowała warunki, a Juda coraz nowe dokładał. Na koniec oznajmił, że pieniędzy jutro dać nie może, bo je zbierać musi. Dziewczyna pogniewała się, Juda złagodniał i po długich a nudnych sporach z nim, wybiegła nareszcie. Hans śpiący czekał na nią w bramie. Siedział na ziemi plecami o parkan oparty. śpieszyła na zamek triumfująca i szczęśliwa.

Tymczasem Juda inną drogą przemycił się na zamek także do Dorenowej, z którą był w dobrych stosunkach. Szło mu o to, ażeby księżę, który mu kilkaset grzywien zawinił, pozwolił je strącić w wyplacie. Ofiarował za to ulubienicy pierścień, lecz Łysy na pierwsze o tym wspomnienie, by miał dług swój płacić, zaklął się, że prędzej Żyda powieście każe, niż mu jedną odda grzywnę.

Mina Przemkowi wiadomość pocieszającą przyniosła śmiejąca się i dumna.

– Patrz – zawołała – kto z nich o tobie pamiętał! Kto by to zrobił dla ciebie? Mnie, nie komu, winien będziesz swobodę!

Przemko ścisnął ją wdzięczny i uradowany, chciał się jednej godziny stąd wyzwolić, ale czekać było potrzeba, aż się grzywny zbiorą. Juda zaś zwlekał umyślnie, aby pokazać, że niełatwo o nie było. Łysy cieszył się, iż grosza dostanie, którego zawsze łaknął, grajkowi swemu rozkazując grać i śpiewać wesoło, gdy sam, świstając, popijał.

Nazajutrz rano Judy długo nie było, a przyszedłszy, klechę z sobą przyprowadził naprzód dla spisania karty, na której Przemko miał swą pieczęć przyłożyć. Pismo łacińskie musiano Judzie tłumaczyć i pokazywać, gdzie co stało, aż zawierzył, iż pergamin tak, jak chciał, był spisany. Przemko grzywny brać ani liczyć nie chciał, kazał je wprost do Łysego nieść i płacić. Tu już Henryk Otyły, Dorenowa i kilku starszych urzędników czekali chciwie na pieniądze. Nie bardzo ochotnie Juda się poniósł z nimi.

Łysy byłby pewnie trudności robił o każdą sztukę i wagę, gdyby na gwałt nie potrzebował tego zasiłku. Widok pożądanego srebra rozbroił go. Nie dając tknąć ani synowi, ani temu, który się u niego podskarbin nazywał, sam worki do łóżka pościągał i pochował je śmiejąc się, drząc, Żyda łając, Sonkę całując, dolewając do kubka, a grać rozkazując na schwał.

Razem z Przemkiem, co było na zamku polskiego rycerstwa, uwolnionym być miało; radość więc i ruch w podwórku był wielki, gdy jeńcom o tym oznajmiając, puszczone ich na swobodę. Nieświeżny jednak wcale orszak miał towarzyszyć powracającemu do Poznania księciu. Ci, co stamtąd wyjeżdżali we zbrojach kosztownych, z przyborem rycerskim, odarci ze wszystkiego, ledwie łachmanami okryci wyszli z rąk zwycięzcy. Nikt lepiej nad wojaków Łysego do gźła⁵⁹ odzierać nie umiał. Nie wyprosił się tam nikt. Ziemianie zamożni szli teraz jak żebracy w opończach, które im z łaski rzucono. O konie też swe nie śmieli się upominać.

⁵⁷ Kopa kun – chodzi o skóry kunie.

⁵⁸ Postaw sukna – zwój sukna.

⁵⁹ Gźło – koszula.

Dla księcia najlepszego wierzchowca spod czeladzi, która z Miną przybyła, wybrano. Inni u mieszczan i żołnierzy marchy⁶⁰ pokupowali na porękę, bo grosza nie mieli.

Choć późno już było, gdy wszyscy więźniowie stanęli do drogi gotowi, Przemko chciał zaraz jechać stąd precz, Łysy dopominał się, aby z nim przepił na zgodę. Trzeba było przystać na to. Upokorzony, blady wszedł do izby Przemko. Łysy, jak zawsze leżał na swym barłogu, Sonkę mając po jednej stronie, gęślarza po drugiej, wesół aż do szaleństwa i na pół pijany. Zobaczywszy księcia, pierwszy mu się pokłonił.

– Zgoda z wami! – krzyknął. – Zgoda! Ale drugim się takimi blaszkami i łupinami lada jakimi wykupić nie dam. Szczęście masz, że Sonka i Henryk wstawili się za tobą. Nie waż-że się drugi raz przeciw mnie, bo źle będzie!

Przemko mruknął coś niewyraźnego, a wtem mu kubek podano. Łysy rękę wyciągnął, aby potraścić z nim o swój, z którego się wylewało, bo się trząsł cały.

– Dziewkę masz dobrą – odezwał się – hę, i niczego, a wszelako ona mojej nie równa. Patrz no, co to za kąsek!

I pod brodę ją ujawszy, podniósł Dorenowej twarz, aby się jej lepiej mógł przypatrzeć. Nie zawstydziła się bynajmniej pyszniąca się sobą niewiasta i śmiała zalotnie. Gęślarz począł śpiewać pieśń, ułożoną na pochwałę księżęcej kochanki. Wesołość ta bezwstydną męczyła Przemka, który rad by się był co najprędzej stąd uwolnić. Odezwał się więc do Łysego:

– Pozwólcie mi was pożegnać, boć mi do domu spocząć pilno. Dosyćem się po niewoli u was w Lignicy wysiedział!

– To jedź! Jedź z Bogiem! – odparł Rogatka. – Pamiętaj tylko drugi raz mi w ręce nie wpadnij, bo Skórę zedrę!

Zaczął się śmiać. Przemka groźba oburzyła.

– Wyście bezpieczniejsi od nas – mruknął – bo spod Skocrolca zawczasuście zemknęli!

Łysemu dziko zaświeciły oczy.

– Ej, ty! – wrzasnął. – Jeszczem ci ja buty nie przytarł?!

Sonka, głaszcząc go, ułagodziła, głową tylko wahał.

– Zmykajże i ty lepiej drugim razem! – zawołał. – Mnie tam staremu nie było co robić, kiedym syna pewny był!

Księżę się skłonił. Szeroką dłoń tłustą i nabrzmiałą wyciągnął doń Łysy, ścisnęli ręce i tak się rozstali. W podwórku ludzie i konie już stały. Przemkowi, gdy swoich zobaczył tak nędznych, poranionych, odartych, łza się zakręciła w oku. Skinął na nich, nie przemówiłi nawet do siebie, bo dokoła ćma ciurów obiegła ich, przedrzwiewając z tego orszaku tak nędznego. Co konie starczyły, pospieszył Przemko z lignickiego zamku, a gdy od wrót odjechali dalej w pole, dopiero swobodnie odetchnął, obejrzał się za siebie, a z oblicza mu znać było, że o zemście myślał.

Dniem i nocą, przerzynając się przez kraj w większej części spustoszony, spieszył księżę do Poznania, gdzie się go wcale nie spodziewano jeszcze. Wojewoda i starszyzna więcej rachowali na kaliskiego księcia niż na inne środki oswobodzenia i zdumienie było wielkie, gdy się jednego ranka Przemko u wrót ukazał. Po zamku rozległo się wołanie, wybiegli, kto żył. Mina, która wyzwoliła swego pana, jechała obok niego, kryć się nie myśląc. W jednej chwili podwórca się niewiastami, czeladzią, ludem napełniły.

Orcha dała znać Lukierdzie, która pod wrażeniem jakimś, jej samej niezrozumiałym, wybiegła też na męża spotkanie. Zsiadając z konia ujrzał ją stojącą, zarumienioną nieco, z podniesionymi ku sobie rękami. Wzruszoną była, łzy jej ciekły. Przemko postrzegł to, ale oznaka przywiązania nie dotknęła go. Nierychło, wszystkich obdzieliwszy powitaniem, przystąpił do Lukierdy. Wyraźnie okazana oziębłość miała czas jej serce ostudzić, cofnęła się zawstydzona ku drzwiom, a gdy księżę zbliżył się do niej, witała go już tak zmieszana i nieśmiała, jak dawniej.

⁶⁰ Marcha (z niem.) – szkapa.

Tymczasem ci, co z księciem wrócili, rozpowiadali ciekawym, kto go i jak uwolnił, komu był winien, że go dłużej w gnitym lochu nie więziono. Mina urosła w oczach wszystkich, i ci, co jej cierpieć nie mogli, wdzięczni byli podziwiając, jak śmiało i szczęśliwie sobie poczęła.

Przemko, powróciwszy swobodny, już tylko gniewem wrzał i odgrażał się zemstą na Ły-sego. Wieczorem duchowni, panowie, ziemianie bliżsi, do których doszła wieść o powrocie, zbiegli się na powitanie pana, który hojnie i wesoło gości przyjmował. Rozpowiadano sobie o tej bitwie, w której książę ze swymi siłami bił się najdzielniej i temu właśnie winien był, że, w środek nieprzyjaciela zapędziwszy się, został przezeń otoczony. Świadczyli uwolnieni, że rycerstwo polskie walczyło dzielnie, a Niemcy mu nawet sprawiedliwość oddawali.

Przy tej wieczornej uczcie Lukierdy już nie było. Zamknięta z Orchą płakała nad sobą i nad tym przyjęciem pogardliwym, jakiego od męża wobec dworu całego doznała. Dla zwiększenia jeszcze jej smutku wpadła złośliwa Bertocha z opowiadaniem gadatliwym i pełnym pochwał dla Miny, która dla pana swego nie wahała się na koń wsiąść i z Łysym zbójem ząb za ząb się ujadać. Sławiła ją i przywiązanie jej do księcia, aby Lukierdzie gorzkie łyzy wycisnąć. Orcha w końcu, oburzona, musiała napastliwą wypchnąć gwałtem za drzwi. Zostawszy same, na nowo płakać zaczęły.

– Mnie tu już nie żyć, mnie tu nie wyżyć! – łkała Lukierda. – Jam tu i sługi niewarta. Ura-ga mi się czeladź, wyśmiewają się dziewczki, mąż gardzi. Gdybym skrzydła miała, poleciałabym stąd precz, a, precz! Poszłabym, gdybym mogła, pieszo do dziada, na świata koniec, do ubogiej jakiej chaty, byle spokój znaleźć i sromu nie znosić!

Orcha tuliła ją, ale słów na pociechę brakło. Lata nie przynosiły nic oprócz nowych boleści. Maleńka tylko garstka ludzi litościwszych szanowała i bolała nad biedną. Do tych należał Zareba z nieodstępnym druhem Nałęczem. Oba oni, choć chcieliby byli zbliżyć się do księżnej, aby jej w czym posłużyć i przynieść pociechę jaką, lękali się na siebie i na nią ściągnąć oczów. Bertosze tylko tego było potrzeba, aby Lukierdę o co obwinić mogła. Gotową była drzwi im otworzyć, wprowadzić, pośredniczyć, aby zaskarżyć i zgubić.

Zareba, który od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, gorąco był w księżnie rozmiłowany, choć się z tego nie zwierzał nikomu oprócz Nałęcza, nie śmiał się zbliżyć do niej, Orchy nawet unikając i śledząc tylko z daleka lub przez drugich podszeptując przestrogi. Zręczny dosyć, nie dając znać po sobie, iż księżnę miał na myśli ciągle, posługiwał się tak innymi, aby jej dopomóc, sam zawsze kryjąc się za nich.

Orcha jedna domyślała się w nim tej życzliwości i rada była, że się choć jedna dusza przyjazna znalazła na dworze, ale i ona z obawy posądzeń unikała Zareby. Prawie cały dwór zresztą trzymał z Bertochą i Miną, które go sobie różnie ujmować umiały. Spisek na pozbycie się zawadzającej wszystkim piastunki dojrzewał. Mina zapowiadała od dawna, że ona się na służbę do księżnej dostać musi. Mówiąc to, mrugała oczyma i dawała poznać, jak służyć jej będzie. Kilka razy już o to księcia zagadywała.

– Co ja mam siedzieć w dziurze jakiejś, kryjąc się na zamku! Czemu bym nie mogła przy księżnie być i z nią razem? Nie potrzebowałbyś do mnie się wykraść po kryjomu!

Książę nie odpowiadał na to. Lękał się stryja Bolesława i bystrego oka jego i ludzi, co mu o wszystkim donosili. Stryj sam i przez duchownych napominał go razy kilka o Lukierdę. Dopóki on żyw był, musiano ją szanować i oszczędzać, bo stary stawał w jej obronie. Z jego porady i ramienia dostał się na dwór Przemysława lektor (*pater spiritualis*)⁶¹ ksiądz Teodoryk, człowiek uczony, gładki, przypodobać się umiejący. Ten miał, zyskawszy serce księcia, prowadzić go na lepsze drogi. Wybór człowieka zdawał się bardzo szczęśliwy. Mistrz Teodoryk z Włoch powracał, umiał wiele, nad wszystko przypodobać się, komu tylko chciał. Uczonością zyskiwał sobie duchownych, uprzejmością ziemian, łatwością w obejściu się z nim sa

⁶¹ *Pater spiritualis* (łac.) – ojciec duchowny.

mego Przemka, któremu czytywał niekiedy, dobierając rzeczy takich, aby go one rozrywały. W sprawach sumienia nie był też surowym do zbytku, wiele rzeczy nie widział, gdy nie było potrzeba.

Ambitny i wysoko patrzący, choć Niemcem był, a naówczas już cudzoziemcy się rzadziej na wyższe dostojeństwa kościelne dostawali, i języka krajowego się nauczył, i umiał niemal za Polaka uchodzić. Choć kraju nie lubił, choć do Niemiec wzdychał, nie wyrwało mu się nigdy, co by go zdradzić mogło. Obłuda w pozorniejsze szaty nie mogła się przybrać. Kochali go wszyscy winszując panu, że takiego ojca duchownego pozyskał.

W obcowaniu też najmiłszym był człowiekiem; zawsze wesół, gniewać się nie umiał, nikomu nie okazywał niechęci, żadnego uczynku ostro nie zganił, każdy wytłumaczyć umiał. Zdawał się samą miłością ewangeliczną. Pięknej postawy, twarzy urodziwej, małych ustek ledwie widocznych, najczęściej uśmiechniętych, odziany starannie, do wszelkich usług gotowy, nie wzdragał się za kapelanów mszy czytać, za księdza Tylona pisarza kaligrafować, dla gości zabawienia do stołu usiąść i w poselstwie pójść, choćby najprzykrzejszym było.

Księżciu Bolesławowi zdało się, że człowiek tak łagodny na Przemka wpłynie, z którym siłą nic się uczynić nie dawało. Ksiądz Teodoryk posłannictwa swego podjął się ochotnie, na dworze się rozgościł i wszystkich rychło jednał sobie. Potrafił Miny nawet nie urazić, udając jakoby nie wiedział, kim była, Bertochę sobie pozyskać, Orchę przekonać, że księżnej życzył dobrze i bolał nad jej losem, spodziewając się polepszenia jego. Po cichu tłumaczył jej to, że dla dobra Lukierdy nie godziło mu się zbyt jawnie brać jej stronę. Po kryjomu i cicho przestrzegał, gdy co groziło. W ciągu kilku miesięcy zdawał się być jednym z największych mocarzy na dworze. Nikt się bez niego obejść nie mógł, chwalili go wszyscy, on też każdego.

Po powrocie księcia on pierwszy przyszedł, Bogu dzięki składając, iż dobrego pana wyzwolił. Opowiadał potem, jak wszyscy tu łyzy leli po nim, modląc się za jego oswobodzenie, ile mszy na tę intencję odprawiało się w zamkowym kościele, jak lud pospolity jęczał itp. O Mimie, która tego wyzwolenia narzędziem była, nie wspominał wcale ks. Teodoryk, bo nigdy o niej nie mówił z księciem. Przemko w zapale pierwszej chwili napomknął otwarcie, iż jej był winien uwolnienie, czego Teodoryk zdawał się nie rozumieć. Wyrwało mu się też jakieś wyrażenie o Lukierdzie niepoehlebne, ale i to przeszło nie posłyszane przez ojca duchownego.

Teraz położenie lektora coraz się trudniejszym stawało, Bolesław kaliski nalegał nań, aby powagą swą przejednał i zbliżył małżonków. Ksiądz Teodoryk szeptał, że to wymagało czasu. Nie czynił nic. W kilka dni po rozmowie z nim, Przemko znowu na Lukierdę rzucił słowo niechętne. Lektor westchnął.

– Miłościwy Panie, księżnej o nic obwinić nie można – rzekł. – W otoczeniu jej bliżej stojące osoby wpływ może na nią mają niedobry. Można by spróbować sługi jej odmienić?

– Jedną starą piastunkę chciałbym oddalić – odezwał się książę. – Ta ją od wszystkich odstręcza, o Szczecinie prawiąc i karmiąc w niej tęsknotę. Ale tak czy inaczej otoczona, nigdy mi ona przychylną nie będzie – dodał Przemko.

Ksiądz Teodoryk ośmielił się temu zaprzeczyć.

– Serca ja od niej nie potrzebuję – rzekł książę – lecz nie chcę, by ludzie rozpowiadali, że jej niemiły. Piastunka stara nad jej losem boleje, drudzy ją też mają za nieszczęśliwą. Wygnąć babę potrzeba.

– Miłościwy Panie – szepnął ksiądz Teodoryk – wypędzić ją, aby po świecie nosiła, co w domu zostać powinno, zły sposób. Chyba sowiec obdarzoną oddalić, aby wdzięczną być musiała.

Książę przerwał niemiłą rozmowę. Wieczorem u Bertochy głośno już mówiono i cieszą się z tego, że Orcha precz pójść musi. Zaniósł wiadomość tę do Miny przyjaciółka.

– Na miejsce piastunki ja tam pójde! – zawołała Mina żywo. – Struję jej tak życie, że się łzami udusi. Ona tu niepotrzebna!

Dwie kobiety naradzać się poczęły nad przyszłością. Przemka potrzeba było do reszty od niej odstręczyć – a potem...

– Może Mszczuj pomorski żyć z mniszką Fulką – wołała Mina – Łysy trzyma Dorenową, nic im nikt nie śmie rzec! Czemu by Przemko nie miał żyć ze mną?!

ROZDZIAŁ VIII

Z niewoli u Rogatki wróciwszy, Przemko lat kilka spoczywał, zemstę w sobie karmiąc i starając się wzmóc w siły. Gdy w niewieścich komnatach baby przeciw nieszczęśliwej Lukierdzie spiski knowały, książę, zupełnie dla niej zobojętniały, myślał o czym innym. Żony nie widywał prawie.

Chociaż wygnanie Orchy postanowione się zdawało i Bertocha o nie nalegała, książę nie wydał rozkazu i wszystko po staremu zostało. Obawiał się może skarg żony i poróżnienia z jej rodziną, zwłaszcza z Mszczujem, który mu się już wówczas obiecywał odkazać Pomorze, a nawet ze stryjem, ujmującym się za Lukierdę.

Lata upływały na tym męczeństwie powolnym biednej ofiary, a Przemysław nie zdawał się ani go widzieć, ani dbać o nie. On i Bolesław marzyli o jednym, o wielkim państwie, które dla Przemka się przepowiadało. Obok tej myśli zaprzatającej ich, czymże były domowe niesnaski i swary niewieście!

W następnych latach Bolesław Pobożny zlecił synowcowi strzec swoją dzielnicę, wychodząc przeciw nienawistnym Brandeburczykom, Ottonowi Długiemu, który mu ziemię wdzierał, a sam do Czech i do cesarstwa ciągnął. Wpředce potem zmarł w Kaliszu ów Bolesław, co mu był opiekunem i drugim ojcem, a dzielnicę swą, umierając przekazał. Było to pierwsze wzmoczenie się, wzrost potęgi Przemysława. Jolanta, wdowa po księciu starym, pospieszyła do siostry Kingi, aby z nią razem resztę życia spędzić w spokojnym klasztorze.

Po śmierci stryja Przemko się uczuł swobodniejszy. Dojrzewał też i duma a chęć wielkiego panowania w nim rosła. Przewidywał już chwilę, gdy będzie najsilniejszym z polskich książąt; inni się coraz rozrabiali, jemu przypadły osierocone dzielnice. Nim się jednak ziściły te nadzieje, Przemko raz jeszcze miał być wystawionym na ciężką próbę, padłszy ofiarą tych rozbojów książęcych i zdrad, które naówczas były chlebem powszednim.

Cioteczny brat jego, z siostry ojca urodzony, Henryk, którego jakby na szyderstwo Przymym i poczciwym zwano (*Probus*), poszedł w ślady Rogatki i innych swych powinowatych. Pod pozorem wspólnej narady dla oparcia się nieprzyjacielowi zaprosił wszystkich książąt do Baryczy.

Gdy wezwanie to przyszło do Poznania, Przemko bez namysłu do drogi się kazał sposobić. Świetnie i pańsko, jak zawsze, chciał wystąpić. Beniamin, ówczesny wojewoda poznański, Tomisław kasztelan, pamiętni nieraz wypróbowanej złej wiary książąt śląskich podróz tę odradzali. Nadjechał za nimi i Teodoryk, i Wincenty kanclerz poznański, prosząc pana, aby się wymówił od zjazdu w Baryczy. Naleganie to właśnie Przemkowi, który wolę swą chciał utrzymać, a nieustraszonym się okazać, nie było do smaku.

– Zaprawdę – rzekł – są to babskie strachy! Jesteśmy z Henrykiem w powinowactwie i przyjaźni, nicem mu nie winien. Dlaczego bym ja nie miał jechać, gdy inni jadą?

– Wątpliwa to, czy się tam inni udadzą – odparł wojewoda. – Ślązakom nikt nie wierzy. Nie przebijają oni w środkach, dali dowody tego, iż zdradzić dla nich niczym, byle coś zyskać na zdradzie.

Książę się śmiał z przestroóg. Obawy zdawały mu się płonne. Postanowił jechać do Baryczy i odwieść się nie dał od tego. Co najdzielniejsze rycerstwo i najświetniejszy dwór wyznaczył do swego boku. Zaręba i Nałęcz jechali z drugimi, choć pierwszemu w podróz się wybierać

nie bardzo chciało. Od owego turnieju, a potem zniechęcony do księcia tym, że się źle z żoną obchodził, Zaręba coraz się na niego dąsał więcej.

Bertocha i Mina, dowiedziawszy się o podróży księcia, zmawiały się już, aby z niej korzystając, nienawistnej pozbyć Orchy. Zaręba pilno przez dziewczęta wywiadujący się o tym, co się na dworze Lukierdy działo, miał już przecucie, iż się tam zamach jakiś przeciw niej gotował. Pragnął zostać na straży, aby zapobiec temu. Gdy mu zapowiedziano, by się do drogi gotował, przyjął to niechętnie i szedł sam do księcia wymawiać się od podróży.

Przemko czuł dawno niechęć jego ku sobie, choć jej niczemu innemu nie przypisywał, tylko turniejowi. Dumnym był nadto, aby się go starał przejednać. Gdy dosyć niezręcznie Zaręba się począł niedobrym zdrowiem i niepokąznym koniem wymawiać, księżę spojrział nań ostro i rzekł:

– Rozkaz dany nie może być zmieniony. Służba u mnie posłuszną być musi!

Nie rzekłszy słowa, oddalił się Zaręba, bo wyboru nie było, lub dwór porzucić, czego nie chciał, albo wolę pana spełnić. Rozspaczając prawie, stanął przed druhem Nałęczem czekającym, co przyniesie z posłuchania.

– Na złość mi jechać z sobą każe – odezwał się. – Rady nie ma na to. A te baby coś knują i mojej pani krzywdę jakąś wyrządzą, tegom pewny. Gdybym tu był... Kto wie? Nie dopuściłbym może. Dałbym życia kawał, aby tu pozostać!

Nałęcz, nie bardzo wierząc w przecucia, uśmiechał się.

– Tobie bo się roi zawsze coś z tej głupiej miłości, która ci się na nic nie zdała – rzekł. – Ileż to lat te baby coś knują, a ty podglądasz, przecież nic nie zrobiły. Pana się boją, bo choć jej nie kocha, a krzywdy wyrządzić nie da. Bodaj i Minie.

– On, on! – przerwał Zaręba. – Ja go lepiej znam niż ty. Gdy się co stanie, słowa nie powie. A co ona go obchodzi! Dawniej się na stryja oglądał, dziś rad by może pozbyć się tej, aby sobie szukać królownej! Pochlebcy mu w to dmą, że mógłby i cesarską dziewczkę zaślubić.

Posprzeczali się z Nałęczem, który nie wierzył niczemu, a Zaręba przy swoim stał, iż coś złego się gotuje. Wybrali się nazajutrz, radzi czy nie, z księciem do Baryczy, poczem wielkim i wspaniałym.

Tegoż wieczora, ledwie księcia nie stało, między babami w istocie żywa się krzątanina jakaś tajemnicza poczęła. Bertocha latała do Miny, ludzi jakichś kryjomo na zamek sprowadzono, przygotowania jakieś czyniono niezwykle. Nad wieczór siedziała w izbach swych księżna Lukierda, zaniepokojona nieco wyjazdem małżonka. Chociaż rzadko go u siebie widywała, bytność jego na zamku była dla niej rękojmią bezpieczeństwa; czuła, że w jego obecności żaden gwałt popełniony być nie może, a do tego już przyszło, że się i przemoc obawiała. Bertocha coraz zuchwalszą się stawała, odgrażała się i szydziła jawnie. Ze starą Orchą gryzły się i łajały wobec księżnej.

Wśród tej pustki i ciszy na żarniku pod wieczór trwoga jakaś ogarnęła ją, starej Orsze na chwilę oddalać się od siebie nie pozwoliła. Piastunka na próżno uspokoić się ją i rozerwać piosenkami ulubionymi starała. Po wieczery księżna rozpoczęła w swojej izbie modlitwy, Orcha wysunęła się na chwilę, jak mówiła. Łzawe to było nabożeństwo nieszczęśliwej sieroty, skazanej na samotność wśród wrogów. Trwało ono zwykle długo, a po nim księżna, doczekawszy piastunki, szła do łoża. Orcha u nóg jej miała posłanie i nie opuszczała nigdy.

Dnia tego modlitwa trwała może dłużej niż innych, noc już była, gdy Lukierda wstała i zdziwiona postrzegła, że piastunki jeszcze nie było. Godzina, o której wracała, przeszła dawno, księżna niespokojna wychyliła się na podsienia. Tu gromadka niewiast stała około Bertochy, jakby na coś czekała. Lukierda, nierada odzywać się do nich, nie zapytawszy o nic, drzwi zamknęła, czekała. Orchy nie było. Noc już była późna. Weszła nareszcie Bertocha z miną zuchwałą, nadętą.

– Cóż to pani do snu nie idzie? – zapytała.

– Orchy nie ma – drżącym głosem odpowiedziała Lukierda.

– Albo to bez niej posługi brak! Ona przecież nie jedna! – burknęła Niemka.

– A gdzie ona jest?

– Albo ja za nią chodzę? Czy ja wiem? Ona mnie, ja się jej nie pytam.

Obawa coraz rosła większa. Zapłakana, łamiąc ręce, zbliżyła się księżna do swej nieprzyjaciółki.

– Na miłość Chrystusa Pana! Kaźcie jej poszukać! Co się z biedną moją stało? – rzekła płacząc.

– Gdzie się ludzie mają za nią po nocy rozbijać! – zawołała Bertocha. – Cóż to? Na zamku ją przecież nie zabito, a starej nikt nie porwał. Legła gdzie pijana i śpi.

W rozpacz Lukierda rzuciła się na siedzenie, zachodząc od łez, a Bertocha, krzycząc i szydząc, wyszła drzwiami trzasnąwszy. Biedna stara piastunka więcej już wrócić nie miała. O mroku wychodzącą od księżnej w ciemnym zakątku podwórza porwali nasadzeni ludzie, usta jej zawiązali i wyciągnęli precz z zamku. Co się z nią później stało, wywieziono ją, czy zabito, nie wiedział nikt oprócz tych, którzy milczeli, nie przyznając się do niczego.

Lukierda całą noc spędziła, siedząc na ławie i oczekując piastunki. Błagania, aby jej szukano, były próżne. Bertocha, gwałtem się do sypialni wdarłszy, na jej-miejscu spać się układła, Dwóm służebnym kazała zostać przy drzwiach – obejmowała panowanie. Na księżnę zważała tak mało, jakby nie ona nad nią, ale Bertocha panowała tu samowładnie. Lukierda mogła tylko skarżyć się przed kimś, lecz starszyzna, która pozostała na straży zaimku, cała była po Niemek stronie.

Gdy na pierwszą mszę ranną zadzwoniono, spłakana pani zerwała się co prędzej, narzucając na siebie płaszcz. Chciała iść do kościoła, spodziewając się tam zastać księdza Teodoryka, który z księciem nie jechał. Przed nim lub jednym z duchownych żalić się chciała nieszczęśliwa. Nie wątpiła już, że starej piastunce coś się stać musiało. Ksiądz Teodoryk w istocie znajdował się w kościele, ale w ślad za księżną pobiegła Bertocha wprost do zakrystii. Zaraz po mszy zaprosiła do siebie Lukierda lektora. Ten, przyszedłszy, znalazł tu już stojącą w progu i narzucającą się ciągle Niemkę.

Księżna ze łzami w oczach zaczęła przed Teodorykiem żale rozwodzić. Ten słuchał z politowaniem dwuznacznym, zakłopotany, starając się ją uspokoić. Wtem Bertocha wtrąciła się do rozmowy głosem krzykliwym, nie zważając na panią.

– Niewielka szkoda, żeśmy się pozbyli baby pijaczki i czarownicy! Nie ma co za nią przepadać. Co za dziw, że zginęła gdzieś? Polazła po nocy, zatoczyła się gdzieś w rów i utopiła pewnie.

– Orcha nigdy pijaną nie była! – zawołała księżna.

Zamiast odpowiedzi Niemka się urągliwie śmiać poczęła. Ksiądz Teodoryk słuchał, milcząc, ze spuszczonej oczyma, półgębkiem potem przyrzekając, że się postara, aby Orchy szukano. Ale z mowy jego poznać było łatwo, że sprawy zbyt do serca nie weźmie, a z nikim się o nią zadzierać nie zechce.

Służba żeńska głośno tymczasem objawiała, że się czuje obrażoną, jakby tu jedna stara piastunka godna była zaufania. Lukierda spokoju nie miała od swych kobiet. Wchodziły, wychodziły, narzekały, Bertocha śmiała się dodając, że choćby na nie skargi poszły do pana, wszystko to na nic się nie zda.

Męczeństwo biednej pani od dnia tego straszniejszym się jeszcze stało. Rządziły tu sługi, nie ona. Bertocha wszystkim rozporządzała, objęła panowanie, starając się jak najboleśniej dokuczyć swej ofierze. Lukierda jednym milczeniem pogardliwym mogła odpowiadać na to.

W ciągu dnia ksiądz Teodoryk starając się okazać czynnym, kilkakroć z duchowną pociechą przybywał. Zaręczał, że czynił, co tylko było można, dla wyszukania piastunki, że zamkowy dozorca wysyłał ludzi, trzęsiono po okolicach i w mieście, ale śladu żadnego nie znaleziono.

Byli tacy, co utrzymywali, iż późnym wieczorem widziano kobietę jakąś przez most idącą, która ślaniała się, zataczała i do wody wpaść miała. Było to kłamstwem wierutnym, gdyż Orcha z obawy gwałtu jakiego, nigdy za wrota nie wychodziła. Bertocha, szydząc, powtarzała, że ją szatan porwał pewnie, gdy przyszła na nią godzina, bo taki zwykle czarownicom koniec bywa.

Wkrótce zaszła w usłudze około księżnej zmiana większa jeszcze a najboleśniej dla niej. Razem z Bertochą weszła niby dla posługi Mina, od progu mierząc Lukierdę mściwymi oczyma złości pełnymi. Księżna widywaną przez okna ulubienicę męża łatwo poznała.

Niemka korzystała ze zręczności od dawna wyczekiwanej, aby tu zająć miejsce przy pani i napaść oczy widokiem swej ofiary. Nie śmiała jednak zbliżyć się do Lukierdy, której wzrok ją odepchnął. Przeszła się po komnacie, nucąc sobie półgłosem i rozmawiając głośno z Bertochą, jak gdyby sama tu była.

Działo się teraz, co one chciały. Przynoszono jedzenie takie umyślnie, aby go księżna w usta wziąć nie mogła, znęcały się nad nią śmieszkami, nadszkakiwały pozornie, aby jej uszłością dokuczyć.

W nocy Lukierda nie śmiała się do snu położyć, siedziała na ławie drżąc i nie mogąc zmrużyć oka. Skargi przed księdzem Teodorykiem nie miały żadnego skutku. Lektor starał się przed księżną sługi obwinione tłumaczyć i umniejszać ich winę. Ratunku nie było nigdzie! Tych, co by się może ujęli, trzymano z dala.

Postawiona na straży przez Bertochę dziewczyna i komornik⁶² przychodzących odprawili ode drzwi tym, że księżna nikogo widzieć nie chciała i puszczać nie dozwoliła. Oprócz tych stróżów bezlitosnych więcej nikogo nie widziała Lukierda.

Dni kilka się tak przewlekło, gdy ranka jednego powracając z kościoła księżna usłyszała na zamku wrzawę połączoną z lamentami i płaczem. Nie wiedząc, co się jeszcze straszniejszego stać mogło nad to, co było, przerażona postradała prawie przytomność. Zamek rozlegał się wołaniem i wyrzekaniem. Wszystkie sługi odbiegły księżnę. W dziedzińcu widać było ludzi łamiących ręce i rzucających się na wszystkie strony, zbrojącą się załogę, wydających rozkazy dowódców. Zamykano wrota. Starszyzna otaczała dworzec biskupi. Widocznym było, wypadek jakiś groźny trwożył wszystkich.

Lukierda mimowolnie pomyślała, iż mężowi jej coś stać się mogło. O niej zapomnieli tak ludzie, jakby jej na świecie nie było. Prześladowające ją nawet Niemki zbiegły, widziała je zawodzące i rozplakane w podwórzu. Wyniść nie śmiała, aby pytać, drżące usta powtarzały jakąś modlitwę, a splakane oczy, nie widząc nic, po izbie smutnej błędziły. Wrzawa i bieganie nie ustawało, do niej nie przychodził nikt.

Przeszła tak godzina obiadu, a o niej zapomniano. Gdy już osłabła dyszała ledwie, nierychło zjawił się ksiądz Teodoryk z twarzą pochmurną i czołem zasepionym. Zaledwie mogła słabym głosem zapytać go, jakie nowe nieszczęście ich spotkało.

– A! Nieszczęście wielkie! – zawołał lektor. – Przewidywaliśmy je wszyscy, pragnąc pana naszego odwieść od tej podróży. Niegodziwy Henryk pochwycił w Baryczy lignickiego, głogowskiego i naszego księcia, bo więcej żaden nie przybył. Odesłano ich na zamek do Wrocławia więźniami. Grozi zbój, że żadnego z nich nie wypuści, dopóki mu się nie wykupią ziemią.

Lukierda nie zrozumiała może całej grozy tego wypadku, wiadomość prawie ją uspokoiła. Przemko żył i życie jego nie było w niebezpieczeństwie.

– Więc niech da tę ziemię! – zawołała. – Ksiądz Teodoryk głową potrząsł.

– Znam dobrze księcia – ozwał się – ziemi on nie ustąpi. Woli być więźniem, niż dobrowolnie uszczuplić dzielnicę. O zdradzie tej dano już znać Leszkowi i Mszczujowi, nieochybnie przyjdą mścić się za nią na ziemi Henryka, na Wrocławiu.

⁶² Komornik – w średniowieczu urzędnik dworski zarządzający pokojami i opiekujący się sprzętami.

Księżna zamilkła. Lektor obiecywał, iż wszystko rychło i dobrze skończyć się musi, bo Bóg zradę ukarze. Niewiele to nieszczęśliwą mogło obchodzić, widziała tylko pogorszone położenie swe, przedłużone osamotnienie bezbronne. Mogła trwać niewola, aż do wyczerpania sił i życia. Nikt zresztą teraz nią się nie zajmował, myślano o księciu i o niebezpieczeństwie, na jakie pod nieobecność jego Poznań był wystawiony.

Wojewoda Beniamin, Tomisław kasztelan, urzędnicy i panowie zbierali się, myśląc tylko o obronie ziemi. Ochłonęli jednak wprędce dowiadując się na pewno, że Mszczuj, który Przemysławowi sobie za następcę przybrał, ruszył się przeciwko Henrykowi, a i Leszka się spodziewano. Niepoczciwa zdrada oburzała wszystkich, nie było już wiary, bezpieczeństwa, ni prawa, ni pewności pokoju.

Na wiadomość o powtórnym uwięzieniu księcia Mina porwała się, chcąc biec do Wrocławia. Zdało się jej, że jak z Rogatką da sobie radę z Henrykiem. Trzeciego dnia, pożyczwszy pieniędzy, w kilka koni puściła się wprost na Wrocław, ale powróciła niebawem z niczym. Odpędzono ją precz od miasta, i z tego, co miała, odarto. Dowiedziała się tylko, że księżę siedział na zamku osobno, bo Probus uwięzionych porozdzielał i zamknął tak, że do nich nawet księżdz nie puszczano. Mina z gniewem w sercu bezsilnym wróciła.

Los księżnej nie zmieniał się. Wystawiona na znęcanie się niepoczciwych sług, które tym więcej dokuczały jej, im cierpliwiej to znosiła, zesła do tego stopnia odrętwienia, co z oblężaniem graniczy. Gdy została sama, co się często zdarzało, gdyż sługi, zamknawszy ją, szły, gdzie chciały, wśród łez nuciła czasem pieśni, które jej młodość i piastunkę przypominały. Od łez wzrok prawie straciła, a do krosien siadłszy, widziała je jak mgłą okryte. Modlitwa nawet stała się oziębła, bo się jej zdało, że Bóg już słuchać nie chce.

Mina, która kręcąc się wypatrywała, co się z nią dzieje, cieszyła się widząc obumierającą.

– Schnie, schnie! – mówiła. – Duszę w końcu wypłacze i zemrze. Już w niej życia niewiele.

Cień to był tylko młodej niedawno niewiasty, na którą bez bólu nikt spojrzeć nie mógł, oprócz tych, co ją męczyły. Gdy szła do kościoła, ludzie przypatrujący się jej rychły zgon wróżyli, tak żółkłą miała pleć, wpadłe oczy i policzki, zbladłe usta, ręce wychudzone, krok chwiejny, oddech ciężki. Sama ona życzyła już sobie tylko rychłego końca. W katach nie obudzała litości. Patrzyły na nią, cieszyły się, Mina się uśmiechała zwycięsko. Nieraz nad usypiającą, gdy po długiej bezsenności twardy sen ją ogarnął, stawały przyglądając się, upatrując, rychło-li oddychać przestanie.

Ale młodość ma siły olbrzymie. Z największą boleścią, gdy ta się przedłuża, człowiek obyć się musi i zahartować cierpieniem samym, jeśli go ono w pierwszej nie dobiło chwili. Stało się to, czego nie rozumiały na śmierć jej czyhające Niemki. Lukierda, przeżywszy pierwsze chwile męczarni, stała się na nią obojętną prawie. Żyła już cała w sobie zamknięta, nie dopuszczając do duszy, co by ją na nowo zranić mogło. Śmiech niegodziwych służebnic, ich urąganie, już ją nie raziło, obchodzenie się zuchwałe przechodziło nie postrzeżone.

Przesuwała się wpośród nich jak skamieniała, nieprzytomna. Niekiedy na widok tego odrętwienia, Bertoche zabobonny strach ogarniał. Myślała, że miała jakąś siłę w sobie niezmożoną, którą nie tylko obronić się, ale pomścić mogła. Mina szalała niemal, gdyż na śmierć jej pewną rachowała i spodziewała się sama być tu panią. Wszystkie możliwe środki udręczenia wyczerpane zostały; nie wiedziały, co poczynać, na co się już uzuchwalić.

Miesiącami przeciągało się więzienie Przemysława. Dowiedziano się w Poznaniu, że Leszek i Mszczuj, mszcząc się za niego, ogniem i mieczem zniszczyli Wrocławia okolice, ale zamku obronnego wziąć nie mogli. Spustoszenie było wielkie, straty ogromne, a Henryk tym uparciej dopominał się ustępstwa ziemi jako wynagrodzenia. Przemysław nic dać nie chciał. Wojewoda i kasztelan, niepokojąc się przedłużonym bezpaństwem, ziemian zwołali na radę. Znaczniejsza część domagała się, aby księżę kawał ziemi dał, zaklinając się, że ją odbiorą rychło.

– Nie zechce on – wołali – my pójdziemy sarmi i odzyszcemy, co nasze!

Tomisław kasztelan w poselstwie wyruszył do Wrocławia. Mąż był poważny, który w dworskie sprawy pomniejsze się nie miewał. Dowiedziawszy się, iż jedzie, Mina pobiegła doń, aby jej pozwolił do orszaku się przyłączyć polegając na tym, że raz już wywiodła Przemka z niewoli. Tomisław przyjął ją pogardliwym uśmiechem.

– Nie wasza to rzecz – odezwał się – pilnujcie krosien i kądzieli.

– Jam kądzieli nigdy w rękę nie miała! – hardo odparła Mina.

– Tym ci gorzej – rzekł Tomisław. – Niewiastą być nie umiałaś, a mężczyznę nie możesz. Ani mnie przystało panu miłośnicy wodzić.

Mina zawstydzona i oburzona płakać i grozić poczęła, ale Tomisław pozostał niewzruszony. Odprowadził ją tym, żeby czyniła, co chce, oskarżyła go, ale on jej znać nie myśli. Wyruszył Tomisław sam, choć Mina nasłała i innych, aby za nią prosili. Kasztelan słuchać nie chciał.

Do Wrocławia przybywszy trzeba było u wrót stać długo, nim pod strażą, jakby w niewolę ich wzięwszy, na zamek wpuszczono. Nierychło potem księżę Henryk dał się nakłonić, aby posła do więzienia wprowadzono. Spustoszenie okrutne wrocławskich włości, mściwym go i zajadłym czyniło. Dopiero, gdy mu Tomisław zaręczył, że on sam do ustąpienia kawałka ziemi nakłaniać będzie, zaprowadzono kasztelana do izby, w której wynędzniałego Przemysława trzymano.

Spodziewał się księcia znaleźć na duchu upadłym, zdumiał widząc zmienionym, lecz nie tak, jak sądził. Gdy Tomisław, w progu stojąc, żale rozwodzić zaczął, Przemysław wstał i z dumnym obliczem przerwał mu:

– Nie nade mną żale rozwóďte, ale nad tą ziemią naszą, którą nie dość, że nękają Tatarowie, Litwa, Prusacy, jeszcze jej od własnych dzieci zguba przychodzi! Nasza wina, wielka wina nasza, żeśmy jedności pozbyli i siły z nią, do niej powrócić trzeba lub zginąć nam.

– Nie dziś o tym mówić – odparł Tomisław.

– Dziś i zawsze na pamięci to mieć potrzeba – rzekł z goryczą księżę.

A po chwili spytał:

– Co mi przynosicie?

– Prośbę od ziemian naszych – odezwał się przybyły – abyście do nas wracali, choćby najcięższym okupem wyzwolić się trzeba. Drożsi wy nam niż powiat jaki.

Tu głos zniżając, szepnął:

– Daliśmy wszyscy rycerskie słowo, iż powiat odbierzemy, was nie pytając, my sami.

Zadumał się Przemko.

– Serce mi pęknie, gdy taką umowę podpisywać przyjdzie – zamruczał – lecz muszę. Wolnym być potrzebuję, aby o przyszłości innej myśleć.

Stano więc na tym, aby ziemię rudzka z Wieluniem dać, na co się ziemianie godzili. Poszedł Tomisław do księcia Henryka, który więcej chciał, targował się, lecz umowa wreszcie spisaną została. Ślżak zażądał, aby mu wnet grody zdawano.

Gdy pakt przypieczętowano, a Przemko miał wolność odzyskać, Henryk zażądał jak Rogatka, aby się przejednani rozstali. Wyprowadzonego z więzienia niemal gwałtem musiano wieść do izby, w której nań czekał Probus. Stał oparty o stół, nie jak zwycięzca, ale jak zasromany złoczyńca, spoglądając z ukosa i nieśmiało na cioteczny, który wchodził dumny, z obliczem surowym. Ślżak przed wzrokiem jego oczy spuścić musiał. Nie przemówili do siebie rychło.

– Zmogliście mnie – odezwał się w końcu Przemysław – zdradą i niewolą, bierzcież ziemię, która wam nie przyniesie szczęścia.

– Inaczej... inaczej być... nie mogło – odparł, jękając się, Probus. – Przebaczcie mi.

Widać było wstyd, nie umiał się tłumaczyć.

– Dajcie mi stąd odejść – dodał polski księżę – jednać się nie potrzebujemy. Nie po bratersku postąpiliście ze mną, serca też ku wam mieć nie mogę.

– Nie oszczędziłem was – przebaknął Henryk – ale i bliższych mnie tenże los spotkał. Spojrzeli na się. Przemko zimno i pogardliwie, Henryk z pewną trwogą.

– Ziemi tej, której tak żądni jesteście – dodał książę – nie będziecie mieli nawet komu zostawić.

Z dala skłonili się sobie.

Przemko zaraz konia dosiadł, otoczyli go uwolnieni dworzanie, a Zaręba pobiegł pytać znajomych, co się na zamku działo. Od nich dowiedział się, że Orcha kędyś przepadła, a Mi-na się do księżnej wcisnęła, która chorą była i nieszczęśliwą. Zaciął usta, usłyszawszy to, Zaręba i nie otwarłszy już ich, jechał tak gniewny do Poznania, iż nikt się doń przybliżyć nie śmiał.

ROZDZIAŁ IX

Gdy Lukierdzie dano znać, że księżę pan powrócił, zdawała się nie rozumieć tego i nie wyszła przeciw niemu. Słyszała czy nie – trudno po niej poznać było. Bertocha, która o tym z przekąsem przyszła oznajmić, nie mogła pojąć, dlaczego ani rumieniec, ni bladość na twarzy się nie ukazały. Nie drgnęła, nie podniosła głowy, siedziała milcząca i skamieniała. W podwórzu Mina witała hałaśliwie pana, który ją zbył obojętnym półuśmiechem.

Po przywitaniu wojewody i biskupa, Przemko poszedł do żony. Siedziała u kądzieli nie przędcą. Zobaczywszy go, powstała z wolna, stanęła przed nim nie jak żona, jak służebnica. Księżę, spojrzawszy na nią niemy, uląkł się tego widma tak zmienionego, że w niej prawie Lukierdy poznać było trudno. Resztki młodości znikły, była to istota przeobrażona w posąg nieczuły. Gdy powoli zaczerwienione oczy podniosła nań, przeszły go do dna duszy. Nie było w nich wymówek ani skargi; ale śmierć nimi patrzała. Uląkł się tego żywego trupa.

Z dała czatowała ciekawa pierwszego spotkania Bertocha. Nie rozumiała, co się działo. Widziała ją zastygłą, jego ze wstrętem jakimś prędko wychodzącego z izby. Skinął na Niemkę, która czekała.

– Coście z nią zrobili? – zapytał.

– My? My?! – żywo rękami poruszając, krzyknęła Bertocha. – My? Ona sama, nie my, temu winna! Wypłakuje oczy za tą starą czarownicą, pijaczką, która się nie wie gdzie podziała.

Przemko spojrzał surowo, Bertocha zarumieniła się i nie pytana przysięgać się zaczęła.

– My, my nie wiemy nic! Stara poszła gdzieś, przepadła!

Księżę już nie słuchał. Wieczorem poszedł do Miny, ale z drogi dwa razy się zawracał. Szedł, ciągnął go nałóg, a wstręt miał i obawę. Wreszcie nie oparł się pokusie, pospiesznym krokiem wpadł do niej, lecz nie jak dawniej ją witając. Chłodny był i obojętny.

Mina przystąpiła doń z zuchwałością, do której nawykła, ale odpychał ją jakąś dumą, której nabral w niewoli. Człowiek był inny, zestarzał. Nie mogąc go poruszyć, Niemka płakać poczęła, lecz i łzy nie poskutkowały. Myślał o czym innym, na ostatek, napastowany łzami, pogniwał się i precz iść chciał, gdy go uściskiem strzymała. Czułość ta nie uczyniła wrażenia, patrzył surowo i choć pozostał, nie rozmarszczył się. Nie był to już dawny Przemko namiętny; zalotność, płacz, gniewy znosili z lekceważeniem. Gdy po krótkim pobycie wyszedł, Mina rękami oczy sobie zasłoniła; była w rozpacz.

– Ona, księżna ta przeklęta, winna wszystkiemu! – zawołała. – Ma litość nad nią! Póki ona żywa, nie będzie końca.

Padła z rękami pościskanyimi na łóżko.

Przemysław, jak krótko litość uczuł nad żoną, której widoczna choroba wstręt w nim budziła, tak mniej jeszcze dał się ująć napaściom dawnej kochanki. Inne myśli napełniały mu głowę i burzyły w piersiach. Sięgał nimi wyżej i dalej nad ten grodek, na którym siedział, i w którym ciasno mu było. Potrzebował ludzi do rady, co by go zrozumieli i poparli. Wojewoda Benjamin, Tomisław kasztelan mówili mu o tym małym kawałku Polski, którą on trzymał; niewola u Henryka, może chciwość panowania na większym obszarze księcia wrocławskiego nauczyły go więcej pragnąć, patrzeć dalej. Nie miał się powierzyć komu.

Niepokój ten ducha, któremu ciasno było i duszno wszędzie, potrzebującego się wylać, znaleźć sprzymierzeńca, pomoc, radę nazajutrz zaraz wygnały go z domu. Jechał bez celu prawie, nie wiedząc dokąd, z kilką ludźmi tylko, tym, co go pytali o kierunek podróży, odpowiedzieć nie umiając. Łówów nie chciał, towarzystwo zwykłe ciążyło mu. Tęsknił za zmarłym stryjem, który byłby go jeden rozumiał i pocieszyć umiał.

Ksiądz Teodoryk, jako ojciec duchowny czuwający nad księciem, zaniepokojony był tym stanem jego, nie mogąc dobrać przyczyny. Lękał się i o siebie, aby nie popadł w niełaskę. Nieśmiało ofiarował się towarzyszyć. Przemko odmówił półgłosem.

Za murami zamku spotkał kanclerza Wincentego, proboszcza poznańskiego. Był to kapłan cichy, nie dworak natrętny jak Teodoryk, milczący, rozważny, więcej z księgami niż z ludźmi żyjący. Szedł pieszo na zamek z agendą⁶³ w rękę.

Przemko, który tylko co Teodoryka odprawił, jego zatrzymał.

– Książę Wincenty – odezwał się – jesteście mężem dobrej rady. – Jeżeliście nie znużeni, siadźcie na spokojnego stępaka i jedźcie ze mną. W polu człowiek się swobodniej rozmówić może, a jam długo w murach siedział i te mi się sprzykrzyły. Ciężko mi na duszy. Mój ojciec duchowny zbyt powolny jest, nadto potakujący – wy mi prawdę rzeczeć, ja jej potrzebuję.

Ksiądz Wincenty, który choć miał zaufanie pana swego, szczególnych łask jego nie posiadał nigdy, zdziwił się niemało. Wraczał do domu i w żadną podróż puszczać się nie myślał, lecz usłyszawszy rozkaz pana, ze skwapliwością wielką oświadczył się gotowym do podróży. Na skinienie księcia konia mu podano. Dwór pozostał opodal nieco. Przemko zbliżyć się kazał kanclerzowi. Twarz miał posępną i zmęczoną. Wyjechali w pole na ów gościniec pamiętny, który niegdyś wytrzebiono za Chrobrego, gdy cesarz Otto pielgrzymował do Gniezna⁶⁴.

Książę zwrócił się do towarzyszącego mu w milczeniu kapłana.

– Ojciec mój – rzekł – słuchajcie, bo się wam wynurzę jak na spowiedzi. Dusza moja potrzebuje tego. Więzienie, największa męczarnia dla człowieka, ma też swe błogosławieństwa; zasiewa ono w nas myśli, które wśród burzliwego życia nie przyszły. Doświadczyłem ja tego. Z niewoli wróciłem innym.

Westchnął ciężko.

– Dopóki żył stryj mój, Pobożny, jemu zwierzać się mogłem – teraz nie mam nikogo, a potrzebuję rady i pociechy. Tak jak u nas dziś jest, nie może być dłużej. Spójrzcie, co się stało od podziału Krzywousta, od czasu jakieśmy koronę Ottonowską stracili.⁶⁵ Na szczęty rozpada się ta ziemia, a Brandeburczyki, Czechy, cesarstwo, dzicz wszelka bezkarnie w nią chciwymi pazury sięgają. Giniemy, ojciec mój, giniemy!

– A jestże w mocy ludzkiej radzić na to? – odparł kanclerz.

– Choć pokusić się o to potrzeba – mówił książę. – Korona polska od Rzymu była zawisła i jemu, nie cesarstwu, hołdowała. Rzym zbawić nas może, wracając utraconą koronę i władzę jedną. Rzym silny jest.

Ksiądz Wincenty popatrzał nań zdumiony.

⁶³ Agenda (łac.) – książka zawierająca przepisy wykonywania obrzędów kościelnych.

⁶⁴ ...gdy cesarz Otto pielgrzymował do Gniezna... – cesarz Otto uczynił ślub, że przejdzie do grobu św. Wojciecha pieszo 7 mil; była to odległość między Poznaniem a Gniezmem. Bolesław rozkazał wyciąć drogę w puszczy i wysłał ją na całej długości sukmem.

⁶⁵ Od czasu jakieśmy koronę Ottonowską stracili... – Otto III i papież Gerbert-Sylwester II chcieli utworzyć „związek wolnych narodów” pod przewodnictwem Rzymu, w którym nie byłoby ani zwycięzców, ani zwyciężonych. Chrobry na Wschodzie przez zjednoczenie wszystkich Słowian miał odegrać wybitną rolę. Pozyskanie Chrobrego, znanego z dzielności, było właściwie celem przybycia Ottona do Gniezna, do grobu św. Wojciecha, wielkiego apostoła Słowian, a swego przyjaciela. W czasie uroczystości w katedrze Otto włożył nawet na skronie Chrobrego własną koronę, uznając go tym samym za równorzędnego władcę. Otto III był jedynym cesarzem niemieckim, który interesy chrześcijaństwa przełożył nad interesy cesarstwa.

– Gdybyśmy mieli arcybiskupa w Gnieźnie, jechałbym pewnie do niego, z nim radzić o tym, jemu się zwierzyć. Zjednoczę w ręku całą Polskę Wielką, po Mszczuju wezmę Pomorze, po Leszku spodziewam się dostać Krakowa i Sandomierza. Dlaczegoż bym królem się nie miał nazwać i wszystkich książąt pomniejszych stać się głową? Korona Chrobrego u was leży we skarbcu ze Szczerbcem. W Gnieźnie koronować się mogę. Ona mi da siłę, da potęgę, co ten nieład ukróci.

Mówił Przemysław, z uniesieniem podnosząc głos i ręce, zapał ten odbił się powoli na sercu kanclerza. Myśl wielka, śmiała, zuchwała uderzyła go, ale zdała mu się czymś niepowściągnionym, marzeniem snów więziennych. Sprzeciwiać się jednak nie śmiał. Patrzył na księcia, nie znajdując słowa ani na potwierdzenie, ani na naganę. Przemko z oczów mu to czytał.

– Prawda – rzekł – księżę Wincenty, zdaje ci się to szaleństwem, że ja świeżo z niewoli puszczony, oddawszy Wieluń, straciwszy z tego, co miałem, śmiem sobie taką przyszłość wróżyć? Ale ja czuję, że gdybym miał na stolicy biskupiej w Gnieźnie męża, co by mnie podpierał, a szedł ze mną, osiągnąłbym tego, czego pragnę, odżywiłbym martwą Chrobrego koronę!

Książdz Wincenty zdobył się na odpowiedź w końcu:

– Wasza Miłość wiesz, że kapituła gnieźnieńska osierocona jest od dawna. Wybrano Włościbora kanonika, którego w Rzymie potwierdzić nie chciano.

– Włościbora ja nie znam z czego innego – rzekł Przemko – tylko, że mąż jest pobożny. Tu zaś, ojczyźnie, pobożności trzeba, ale jej nie dość. Sama ona do tego wysokiego dostojęstwa nie starczy. Arcybiskup gnieźnieński jest dziś u nas jedynym panem i władcą nad ziemiami naszymi, a widzicie, że i ten, przy całej mocy, jaką ma z Rzymu, nie może nic. Biskupów mu więżą, księży uciskają, klątwy nie starczą. Dwu nas tu powinno być, jak tam za Zachodzie papież i cesarz, u nas arcybiskup i król.

– Miłościwy Panie – odezwał się z małym uśmiechem książdz Wincenty – byleby ci nasi panowie w lepszej zgodzie żyli niż tamci, bo tam cesarze papieżów więżą, a papieże ich zrzucają.

Książę, nie odpowiadając, jechał w myślach pogrążony. Widać było, że też same snuł dalej.

– Włościbor – powtórzył – mąż pobożny, ale nam potrzeba dzielnego.

– Gdy Bóg najlaskawszy ujrzy, że taki nam potrzebnym jest – dodał Wincenty – wierście mi, da go nam cudem, jak nieraz dawał stolicy swej ludzi, co wczoraj zdawali się wątli i mali, a na niej rośli i olbrzymieli.

Książę, ledwie dając dokończyć, mówił dalej:

– Mój ojczyźnie, mój ojczyźnie, lękam się, abyście mnie fałszywie nie zrozumieli! Zda się wam może z tego, com rzekł, że ja dla siebie korony pożądam, dla dogodzenia dumie mojej?

Obejrzał się ku niemu.

– Sądząc tak, omyliłbyś się. Chcę korony tej dla ziemi mojej więcej niż dla siebie. Gdybym ją dostał, widzicie, że nie mam jej zostawić komu, ani bym mógł ją tak silną i wielką uczynić, jak bym pragnął. Ale pod tą koroną zestrzeliłyby się wszystkie promienie starego królestwa, dziś rozpierchłe. Królestwa, które jest teraz trupem zjedzonym przez robaki, a mogłoby być światłością wielką!

Kanclerz słuchał pilnie i nasłuchiwać się nie mógł, tak nowym to było z ust Przemysława, który rzadko dawniej o poważniejszych mówił sprawach, a pańskiego tyle tylko w nim widział, iż naśladować Ottokara czeskiego, świetnie i wspaniale występować lubił, co mu za złe poczytywano, bo małe księstwo nie starczyło na przepych, jakim się otaczał. Inny, nowy Przemysław stał przed nim, któremu nie dowierzał jeszcze, czy mu się w oczach nie odmieni.

Jechali tak coraz dalej, a książę pytał Wincentego, czyby znużonym nie był.

– Nie czuję się wcale zmęczonym, boś mnie Wasza Miłość pięknymi orzeźwił słowami.

– Jak myślicie – odezwał się książę – rychło-li będzie obsadzona katedra w Gnieźnie?

– Jeden Bóg wie – rzekł kanclerz. – Zabiegi są tam wielorakie. Być bardzo może, iż żaden z naszych nie osiedzie na katedrze świętego Wojciecha, a naślą nam z Rzymu Włocha lub Francuza. Teraźniejszy Ojciec Święty cały być ma Francji oddany.

– Niech Bóg nas uchwowa od tego! – przerwał Przemko. – W takim razie Włoscibor już lepszy! Kapituła może słuszne swe żale wynurzyć przed papieżem.

– Do Rzymu daleko! – westchnął ksiądz Wincenty.

Jechali milczący.

– Ojciec Wincenty – rzekł książę, badając go oczyma. – Nie zdałoby ci się dla Kościoła, dla kraju, dla mnie odprawić podróży do apostolskich progów, aby tam zanieść prośby i skargi nasze?

Kanclerz spojrział zdziwiony.

– Maluczki jestem – rzekł. – Głos mój tam ważyć nie będzie. Pojadę ja, rozniesie się wieść, pobiegną drudzy, a trzeci wśród nas wciśnie się i infułę pochwyti.

– Dlaczegoż wszyscy o tym wiedzieć mają, dokąd jedziecie i po co? – odezwał się książę. – Ja bym wam dał listy moje i prośby do Ojca naszego. Mówilibyście nie od siebie, ale za mnie. Bóg wesprze cię swą opieką. Sprawa wielka i ważna. Przedstawcie papieżowi, jako to królestwo, które hołduje jemu, rozerwane jest i że wydarte będzie Rzymowi, a dostanie się cesarstwu, jeśli mąż silnej dłoni i rozumu bystrego nie siądzie na stolicy.

– Ale skądże tego męża weźmiemy? – spytał ksiądz Wincenty. – Czy Wasza Miłość masz kogo w myśli?

Przemko oczy zwrócił w niebo, jakby w nim rady szukał.

– Opatrzność Boża musi nam przyjść na ratunek i męża tego zesłać, ja... nie mam nikogo, ale w nią ufam. Powieziecie żądania, człowiek się znajdzie. Nie wiem, kto on będzie, ale jeśli Bóg nas ocalić ma, ześle nam męża powołanego.

Zamilkł chwilę.

– Wy, coście biegli w Piśmie – dodał – wiecie najlepiej, iż w godzinach wielkich i stanowczych, Bóg zsyła proroko swe, władce i kapłany. A bierze ich z pola i od trzód, z tłumy, z ciżby i namaszcza je i rosną ubłogosławieni, promieniem łaski, bo człowiek tyle ma sił, ile Bóg w niego wleje.

Zdumiał się znowu mowie tej w ustach księcia niezwykłej ksiądz Wincenty, sam Przemysław teraz zdał mu się powołanym przez Boga.

– Widzisz – mówił książę – jam także słaby jest i ułomny, a jednak we mnie wykłuwa się myśl wielka. Urosła ona w więzieniu, trapiła mnie i gnioła, jak na urągowisko, bom zamarzył o koronie wtenczas, gdy strażę stały u drzwi moich i urągały się upokorzeniu memu. Gdym się powinien był czuć znękanym i przybitym, rosłem właśnie i potężniałem na duchu. Nie mogęż ja rzec, że mnie Pan Bóg ukarał niewolą, abym z niej wyniósł ziarno, z którego urosnie korona? To, co mnie zabić miało, odżywiło mnie! Daj mi powiernika arcykapłana a... zobaczysz... dźwignę Chrobrego koronę! Wynijdzie ona z grobu i z martwych powstanie!

Oczy mu się lśniły, patrzył, jak gdyby już ją miał na skroni.

– Jedziesz do Rzymu? – spytał milczącego kanclerza.

– Spełnię rozkazy Wasze – odpowiedział chłodno kanclerz – chociaż tej wiary, jaką Was Bóg obdarzył, nie mam w sobie! Czyńcie ze mną, co się wam podoba! Pozwólcie jednak przypomnieć, że ojciec wasz duchowny ksiądz Teodoryk do tego poselstwa zdolniejszym byłby nade mnie. Zna lepiej obce kraje, bystrzejszym i przebieglejszym jest.

– Tak – rzekł Przemysław – ale mnie prawego i nieugiętego potrzeba posła, a on miękki jest i powolny do zbytku. Widzisz, że przed nim duszę moją odkrywając w sprawach innych, w tej mu się otworzyć nie chciałem. Prawości waszej potrzeba mi. Pojedziecie wy albo nikt. Nie darmo Bóg was dziś na mej drodze postawił.

Ksiądz Wincenty, na którego to nagle spadło niespodzianie a dziwnie, zafrasowany był wyborem, jaki go spotkał. Uśmiechało mu się, jak każdemu duchownemu, zobaczyć apostołską stolicę, spełnić tak wielkie posłannictwo; obawiał się, czy mu podoła.

– Jeśli możliwym to – odezwał się cicho – odwróć, Panie mój, ode mnie ten kielich razem nęcający a straszny. Godniejszego wybierzcie.

– Nie znam od was godniejszego!

Spojrzał nań wyzywająco.

– Jedźcie, księżo Wincenty!

– Pojadę! – odparł, skłaniając głowę, kanclerz.

– Oprócz Tylona, który listy wam wyda – odezwał się prędko i wesoło Przemko – nikt wiedzieć nie ma, dokąd i z czym jedziecie. Niechaj sądzą, że do Trewiru⁶⁶ ślę was po relikwie albo do Kolonii po leki dla żony słabej. Ksiądz Teodoryk mąż zacny, ale i on wiedzieć nie potrzebuje, co zaszło między nami.

Na tym dokończył ksiązę. Byli już daleko od miasta.

– Wy, księżo Wincenty – rzekł Przemysław zatrzymując się – wracajcie sami do Poznania. Tylonowi pod pieczęcią spowiedzi zwierzyście, com wam rzekł; niech, zamknawszy się, listy do papieża gotuje, ja pojadę do Gniezna, do grobu świętego Wojciecha pomodlić się, aby Bóg, za przyczyną jego, koronie zardzewiałej dawny blask przywrócił.

Rzekł i zostawiając kanclerza samego z jednym pachołkiem, któremu towarzyszyć kazał, sam szybko popędził w stronę Gniezna. Kanclerz, zostawszy sam, długo nie mógł zebrać myśli powikłanych.

Tenli to był pan płochy, a w przepychu próżnym zamiłowany, którego znał dotąd? Lekki ów kochanek Miny, zaniedbujący żonę, szukający pobocznych miłośniczek, łatwowiernie dający się brać w sidła lada Ślązakowi... Czy nowy człowiek, który nagle ożywił to ciało?

Ksiądz Wincenty zbierał w pamięci, co słyszał, dziwił się, nie dowierzał. Jutro miała w nim mieszkać też sama myśl, czy było to tylko wieczorne marzenie, o którym przez noc zapomni?

Dziwił go i sąd wyrzeczony o ojcu duchownym księdzu Teodoryku. Znał go spokojny i poważny ks. Wincenty jako człowieka przebiegłości pełnego i przebiegłością zbytnią a powolnością jednającego wszystkich, nie budzącego ufności w nikim, lecz sąd o nim pana zdumiewał go. Był pewien, że go potrafił ująć unizonością swoją. W tych myślach na wpół posłannictwu swojemu rad, wpół nim przelekły, powrócił późno do Poznania i natychmiast udał się do księdza Tylona.

Tylon, stylistą, którego całą mądrość stanowiło pisanie gładkie listów na pergaminie i ciągnięcie z nich korzyści, człowiek niezbyt bystrego rozumu, ale wielkiego rozumienia o sobie, interesów pana swojego zdradzić nie mógł z samej obawy stracenia urzędu. Powierzyć mu więc tajemnicę można było.

Gdy sam na sam we dwu znaleźli się w jego mieszkaniu przy małej lampce oliwnej, Tylon uderzony przybyciem kanclerza, przełożonego swojego o tej godzinie, uląkł się nieco. Na twarzy księdza Wincentego stało wypisane, iż z niemałej wagi sprawą przybywał. Tylon pospieszył do progu przeciw niemu.

– Wasza Miłość mogliście mnie powołać do siebie – rzekł ściskając go – byłbym pospieszył! Jestli co pilnego? Mam wygotować pismo jakie na jutro? Choć w nocy niedobrze już oczy służą, gotówem!

Ksiądz Wincenty rękami piersi ucisnął, tak był wzruszony i zmęczony.

– Naprzód – rzekł – drzwi obejrzyjcie, abyśmy podsłuchani nie byli. Przychodzę do was z rozkazem księcia.

⁶⁶ Trewir – miasto nad rzeką Mozela. Od X w. należało do arcybiskupów cesarstwa niemieckiego.

Po obejrzeniu drzwi i sieni, zaryglowaniu się wewnątrz, począł ksiądz Wincenty opowiadać o swej z Przemysławem rozmowie i podróży do Rzymu.

Chociaż ksiądz pisarz bacznie się po domu rozpatrywał i ręczył, że nikt podsłuchać ich nie może, stało się przeciwnie. Podejrzliwy Zaręba, który się lękał, aby księżnie się coś nie stało i aby przeciw niej nie spiskowano, podpatrzył i wycieczkę kanclerza z księciem i pospiesznie jego przyjście do księdza Tylona po powrocie. Nie wzdragał się podkraść do drzwi dla podsłuchów i do drzwi się przytuliwszy, tyle podchwycił, iż mowa była o podróży do Rzymu. Zrodziło to w nim podejrzenie, iż nie po co innego księdza Wincentego wyprawiono, jak by z księżną potomstwa nie mającą rozwód wyrobić. Zwiększyło to jego miłość i litość dla nieszczęśliwej, a odrazę i niechęć do księcia. Ale przeciwko temu jakaż była rada? Co on mógł?

Przerażony i smutny wrócił do izby, którą z Nałęczem zajmowali. Nie zwierzając się z podejrzeń swych przed druhem, począł jak zwykle rozwódzić żale nad losem nieszczęśliwej.

– Widzieliście ją – mówił – taż to dusza się wzdryga na to, co z niej te baby niepocziwe uczyniły! Jak trup biedna chodzi, bez czucia i życia!

Nałęcz, dzieląc uczucia przyjaciela, dodał, że we dworze rozprowadano głośno o odgrózkach Mina, która gotową była na wszystko, aby pozbyć się Lukierdy, a narzekała, iż ona ani żyć, ani umrzeć nie może. Najgorszych więc spodziewać się było można prześladowań i udręczeń.

Z wielkim zapalem Zaręba począł dowodzić, iż oni we dwu powinni byli biedną prześladowaną bronić i czuwać nad nią.

– Księżciu ona obojętna, nie patrzy nawet na nią, a Mina ją gotowa zabić!

– A cóż my możemy przeciwko babom? – odezwał się Nałęcz. – Gorzej będzie, gdy kto w obronie jej zechce stawać, bo i ją, i jego posadzić i skarżyć gotowi.

Zaręba wprawdzie nie wiedział, co począć i jak bronić, ale się zaklinał, iż gotów choćby szyję dać dla księżnej.

– Szyję dać to najłatwiej – szepnął Nałęcz. – Baby się o to postarają, byleś na zawadzie stanął.

– Niech się dzieje, co chce! – krzyknął Zaręba.

– A żeśmy pobratymy – dołożył spokojnie Nałęcz – rozumie się, co tobie, to i mnie.

Posprzeczali się, pogodzili i uścisnęli.

– Ha, ginąć to ginąć! – rzekł Nałęcz. – Nie także to słodka rzecz życie. Bóg z nim!

Siedzieli, gwarząc o tym do późnej nocy, a nazajutrz rano Zaręba już się kręcił podpatrując, co się działo około niewieściego dworu. Widział, że Mina latała wielce rozgorączkowana, naradzając się z Bertochą, lecz podsłuchać nic nie mógł.

Z rana, ledwie już iść mogąc, Lukierda powlokła się do bliskiego kościoła, a po drodze zatrzymywać się kilkakrotnie musiała, bo jej tchu brakło. Spod zasłony jakby żałobnej, białej (bo taką noszono na głowie), widać było lice zbladłe, wychudzone i zwiędłe.

Zaręba, który za nią szedł i miał czas się przypatrzeć, wrócił oszalały z gniewu, kłąć Niemki i złorzecząc księciu. W ciągu dnia biegał ciągle wyglądając, czy nie wraca, ale go nie było i trzeciego dopiero przyjechał z Gniezna, ale natychmiast zamknął się z księdzem Wincentym i Tylonem.

Późno już miał Przemko kłaść się na spoczynek, odmówiwszy z księdzem Teodorykiem wieczorne modlitwy, gdy Zaręba stanął u progu i począł się domagać o posłuchanie sam na sam. Dość niechętnie, zawsze w nim widząc nieprzyjaciela, ksiązę się zwrócił ku niemu. Zaręba skłonił się.

– Niech mi wolno będzie – odezwał się – przypomnieć Waszej Miłości służby moje wierne od dzieciństwa.

– Nie wspominajże ich! – odparł ksiązę opryskliwie. – Mało ci? Czego chcesz?

– Nie przyszedłem o nic prosić – rzekł Zaręba dumnie – o jedno tylko, abym pana w Was miał, którego bym mógł miłować i szanować.

Przemko zwrócił się oburzony tą zuchwałą mową.

– Szalony jesteś! Ty!

Zaręba się nie cofnął.

– Com rzekł, gotówem powtórzyć – zawołał. – Wasza Miłość i Bożą pomstę, i ludzką niechęć ściągniesz na siebie, dając w oczach swych za wiedzą swą niewinną niewiastę, córę księżęcą, zamęczać na śmierć!

– A tobie co do tego, niepoczciwy jakiś! – krzyknął Przemysław. – Coś to ty jej brat, opiekun czy kochanek?

Zaręba z największą namiętnością wybuchnął.

– Anim brat, ani swat – zawołał – alem człowiek, co litość ma! Na to patrzeć nie można, co grzechem jest o pomstę do Boga wołającym!

– Milcz, ty! – zawołał, napadając nań, Przemysław.

– Milczeć nie mogę i nie będę; mówić muszę! – ciągnął z pasją największą Zaręba. – Książę nie chcesz widzieć tego, że ją Niemki niepoczciwie zabijają; a zdałeś ją na ich łaskę i niełaskę. Tak! One ją zabijają! Odgrażają się z tym i zrobią. Wśród jej sług nie ma jednej uczciwej. Piastunkę, co ją strzegła, zabili. Na jej gardło godzą!

Książę słuchał, coraz się bardziej gniewem unosząc przeciw słudze, który śmiał mu dawać nauki. Widać było jednak, że go ogarniał niepokój, który utaić się starał.

– Coś ty za jeden? – zamruczał. – Co? Jak ty śmiesz stawić się prokuratorem⁶⁷ księżnej? Prosiła cię o to?! Ty! Wiesz, że ja mam tu władzę najwyższą?! Mnie nikt sądzić nie ma prawa!

I rzuciwszy się na sługę, Przemko pochwycił go za gardło. Zaręba całej mocy, jaką nad sobą miał, zażyć musiał, aby nawzajem nie porwać się na księcia. Lecz gdyby rękę podniósł tylko, wiedział, że to życiem przypłaci.

Ścierpiał więc, twarz mu krwią nabiegła. Przemko ochłonął, puścił go i silnie pchnął od siebie.

– Dziękuj Bogu – krzyknął, trzęsąc się od gniewu – dziękuj Bogu, że wyjdiesz stąd cały! Od tej chwili, żebyś mi się nie pokazywał na oczy! Precz z dworu! Jeżeli jutro zobaczę cię na zamku, każę rzucić do jamy, z której nie wyjdiesz żywy!

– Precz! Precz! – powtarzał coraz głośniejsze, miotając się od gniewu.

– Idę – ponuro odparł Zaręba – a to słowo między nami ostatnie. Pamiętaj, książę, jeżeli dasz tę nieszczęśliwą o śmierć przyprowadzić, takąż śmiercią sam zginiesz!

Dokończywszy słów tych, które Przemysław na chwilę skamieniały, bo stanął niemy, rażony jak posąg, Zaręba otworzył drzwi i wybiegł.

Nie myślał nawet o tym, że ścigać go mogli, że mu niebezpieczeństwo groziło; nieprzytomny był. Wprost wpadł do izby swej i chłopcu konia osiodłanego podawać kazał.

Nałęcz drzemiący już zerwał się z ławy, łoskot posłyszawszy a gdy zobaczył druha z twarzą wywróconą⁶⁸, z oczyma pałającymi, pochwycił go oburącz wołając:

– Co się stało?

– Nie strzymałem się – począł głosem przerywanym Zaręba – bluznąłem księciu w oczy! Zagroził mi wygnaniem, jamą, śmiercią, precz iść muszę. Gdy się opamięta, albo mnie da ścigać, lub...

Nałęcz nie dosłuchawszy do końca pochwycił ze ściany hełm swój i miecz, przypasując go spieszenie.

Nie odezwał się ani słowa, lecz widać było, że chciał bez namysłu losy przyjaciela podzielać.

⁶⁷ Prokurator – tu w znaczeniu staropolskim: obrońca.

⁶⁸ Twarz wywrócona – zmieniona, wzburzona.

Zaręba ani go pytał, ni strzymywał. Nie mówiąc do siebie, poczęli chwytać, co mieli najdroższego ze ścian i skrzyń, nie mając czasu wszystkiego zabierać. Co spieszniej trzeba było z zamku uchodzić.

Zarębie już konia wiedziono i pod oknami tętent kopyt słychać było, gdy Nałęcz do stajni pobiegł po swojego. Zarzucił nań pierwsze lepsze siedzenie po ciemku, dosiadł go i z szopy wyjechał. Zaręba czekał nań, nie ruszając się z miejsca. Klusem podążyli ku wrotom już zamkniętym, ale Zaręba otwierać je kazał, i zaledwie wymknąwszy się za nie, oba w czwał puścili się jedną drogą.

Książę stał jeszcze rozmyślając, co pocnie, gdy tętent w podwórku posłyszał. Gniew, który na czas krótki przytomność mu odjął, wybuchnął. Wypadł sam, wołając komorników, podkomorzego aby zuchwalca Zarębę, który śmiał go słowy niepoczciwymi tknąć, chwymano natychmiast i do ciemnicy rzucono. Nim rozkazy te niespodzianie wydane zrozumieli ludzie, ruszyli się, szukać poczęli winowajcy, oni już oba z Nałęczem byli za miastem daleko. W izbie, do której wpadła czeladź, znalazła wszystko porozrzucane, ślad tylko, że jej mieszkańcy nagle stąd uchodzili. W szopie koni nie było. Natychmiast czeladź na koń posiadała, aby gonić za nimi. Podkomorzy dał księciu znać, że Zaręba wraz z druhami pośpieszyli z zamku się wykraść i pogoń za nimi wysłano.

Nie było tajemnicą dla części dworu książęcego, co zaszło między panem a sługą. W czasie krzykliwej z Zarębą rozprawy kilku u drzwi słuchało. Pomiedzy nimi byli przyjaciele Myny i Bertochy. Gdy wrzawa na zamku powstała, pobiegli zaraz z doniesieniem, że Zaręba ważył się panu za księżnę czynić wymówki, że mu groził nawet.

Mina, posłyszawszy, w ręce plasnęła z radości.

– Ten mi pomógł, jak należy! – zawołała. – Juści, kiedy tak za nią gardłował, kochankiem jej był, to jawna rzecz! Sam się zdradził. A księżę ma cierpieć wiarołomną przy sobie, która na śmierć zasłużyła?

Obie z Bertochą żwawo naradzać się zaczęły. Przez całą noc niemal na zamku snu nie było, biegano, słano, a pogonie, zmęczone na próżno, powracały. Zbiegów pochwycić nie mogły.

Gdy księciu o tym dano znać, obojętnie skinął ręką, jak by już do tego wielkiej nie przywiązywał wagi. Rad był może, iż mu winowajca uszedł. Lecz gniew w nim nie ustał jeszcze.

Następnego dnia, gotując się z tego korzystać, czekała nań Mina, ale nie przyszedł. Nie był też u Lukierdy. Księdzu Teodorykowi żywoty jakieś czytać sobie kazał i sam pozostał w izbach zamknięty. Parę razy Bertocha próbowała dostać się do niego; nie pozwolił jej puszczać do siebie. Do późnej nocy Mina czatowała w podwórku, czy się nie pokaże, aby mu zająć drogę, ale nie przestąpił progu.

Z szeptów namiętnych około siebie Lukierda domyślała się, że coś zaszło, lecz obojętna pytać nie chciała. Żadna groźba dotknąć już jej nie mogła. Umysł jej, na poły obłąkany tym zerwaniem z rzeczywistością, w przeszłości i wspomnieniach szukał pociechy. Mieszkała w nich i z nimi, wyobrażała sobie, iż to, co się z nią działo, marzeniem było, a sny jej prawdą.

Mina i Bertocha stawały zdumione, gdy czasem przy nich, oczy zamknąwszy nucić zaczęła, płakać i jakby z niewidzialnymi rozmawiać duchami.

– Czarownica jest jak Orcha! – mówiła Bertocha.

– Nie, tylko rozum straciła – odpowiedziała Mina. – Schnie to stworzenie, szaleje, a zdechnąć nie może.

I poza nią stojąc, pięści podnosiła do góry, jakby dobić ją chciała.

Śmiechy i groźby niewiast już na niej żadnego nie czyniły wrażenia. Nie widziała i nie słyszała ich, patrząc w te światy swoje, w których cała była.

Po upływie dni kilku, Przemko, który teraz zarówno obu, zony i kochanki, unikał, ciekawością wiedziony wszedł do Lukierdy właśnie w jednej z tych chwil widzeń i marzeń, co ją odrywały od ziemi.

Wejście męża przebudziło ją; wstała.

Spojrzała nań, milcząc, oczyma przesywającymi, obłąkanymi i zachwiawszy się na nogach, musiała upaść na siedzenie.

W Przemysławie widok jej zamiast litości, gniew wywoływał.

– Tęsknisz pewnie za straconym kochankiem! – zamruczał szydersko.

Lukierda nie zdawała się rozumieć.

– Kochankiem? – odezwała się po namyśle. – A któż takiego trupa jak ja kochać może?

Wyciągnawszy ręce wychudłe, odsłoniła twarz bladą i spojrzała z pogardą na męża.

– Czyż mnie jeszcze zwać trzeba – odezwała się – aby mieć za co dobić? Wszak i tak mnie zamęczą! Dajcie mi czystą umierać! Albo... albo... (podniosła się składając ręce) a, dajcie mi pieszo, boso iść stąd precz! Nic nie wezmę, nawet sukni, którą z sobą przyniosłam... nic, pójdę o żebraczym chlebie! Przyjmą mnie swoi albo dobrzy ludzie! Są dobrzy na świecie. Nie męczcie mnie, puśćcie...

Placz miała w głosie, Przemko, słuchając, uśmiechnął się gniewny.

– Któż cię tu męczy? – mruknął.

– A! Wszyscy! Ściany, ludzie, powietrze, woda... wszystko! – zawołała, nie patrząc na niego, jakby sama do siebie. – A! I piastunkę starą, co mnie broniła... zabili!

Księżę się burzyć zaczynał. Zatrząsł się, słuchać już nie chciał, wybiegł uderzywszy drzwiami.

Bertocho z Miną drogę mu zabiegły.

– Ona szalona jest! – poczęła Mina, widząc zagniewanego pana. – Zawodzi ciągle żale, aby ludzie słuchali i litowali się jej, a księcia nienawidzili!

– Życie nam z nią obrzydło – dodała Bertocho. – Dnia ni nocy spokojnej nie ma. Głowy tracimy, bo jej nie dogodzić niczym!

Krzyków niewieścich nie mogąc znieść, Przemysław dał znak ręką, aby zamilkły, i odszedł zagniewany.

Ksiądz Teodoryk, który z dala wszystko śledził, chcąc zbadać usposobienie księcia, bo się dorozumiewał z podróży kanclerza, iż o rozwód iść mogło, naprowadził wieczorną rozmowę na Lukierdę.

– Zdrowie miłościwej pani naszej – rzekł – w opłakanym stanie. – Mówią wiele o sławnym lekarzu, który księżnie Gryfinie miał potomstwo obiecać, czyby go nie wezwać z Krakowa, aby radził księżnie naszej ?

– Księżnie? – odparł roztargniony Przemko. – Księżnie?

– W oczach nam nikt nie dogorywa – dodał ksiądz Teodoryk. – Wasza Miłość potrzebujesz matki rodu, potomstwa, a tu żadnej nie ma nadziei. Na takie nieszczęśliwe związki monarchów w Rzymie względy mają.

Rzucił to słówko ksiądz Teodoryk sądząc, że nim może dobędzie coś z księcia, którego, zdało mu się, że odgadnął. Przemysław, jakby nie posłyszawszy nawet, czy nie chcąc rozumieć, odparł:

– We wszystkim godzić się potrzeba z wolą bożą.

Zbył go tym, co nie mówiło nic, a nawet nie dozwalało odgadnąć, co myślał. Badanie nie powiodło się księdzu Teodorykowi, ale nie wybiło mu z myśli tego, że ksiądz Wincenty musiał dla rozwodu posłany być do Rzymu. Księżę rad był może, iż go tak fałszywie posądzono.

Spróbował jeszcze ojciec duchowny litościwym słowem odezwać się o księżnej, sławiąc jej dobroć i pobożność, ale na to żadnej nie otrzymał odpowiedzi.

Mina krzątała się niespokojna, przypisując zawsze obojętność księcia politowaniu nad żoną. Uczucie to rosło tym więcej, im dłużej Przemysław unikał jej. Nigdy jeszcze nie trafiło się, aby na długo tak ją zaniedbał, tak widocznie ostygł dla niej. Oburzyła się na niego, odgrażała zowiąc niewdzięcznym. Stawała na czatach w miejscach, przez które zwykł był przechodzić, chcąc go gwałtem zaciągnąć do siebie, ale długo pochwycić nigdzie nie mogła.

Nareszcie wieczora jednego udało jej się zastąpić mu drogę.

– Cóż to?! – zawołała. – Mam już na pośmiewisko ludziom pozostać opuszczoną?

Przemko nie odpowiedział.

– Wy mnie znacie, że ja dobrą i złą być umiem! Ja się nie dam tak na śmieciszo wyrzucić!

Książę ręką starał się ją usunąć na stronę, lecz nie ruszyła z miejsca.

– Potrzebuję rozmówić się z wami! – dodała.

– A ja nie chcę mówić z tobą! – zawołał Przemko. – Słyszysz!

Niemka z bólu i gniewu zdrętwiała.

– Tamta ci już miłsza! – krzyknęła. – Ten trup bładny! Wolisz teraz swoją księżną panią niż prostą dziewczkę, którą można wygnać precz, choć z niewoli, a może od śmierci ocalała!

Wołała tak, nie zważając na to, iż w podwórzu ludzie przechodzili, książę stał dumny, coraz groźniej się marszcząc i widoczniej niecierpliwiąc. Oziębłość ta i pogarda wzmagały gniew Miny.

– Tak! Teraz znać mnie nie chcesz! – wołała głośno, nie ruszając się z miejsca. – Wstydzisz się mnie. A gdyby nie ja, Łysy by cię był zgnoił lub ubił w lochu.

Przemko, nie mogąc się jej pozbyć, zawrócił się i wszedł do pierwszej izby, jaka mu się nastęrczyła. Mina pognęła za nim było to jej nowe mieszkanie.

Niemka miała czas na zamku zagospodarować się jak pani. Wiele sprzętu pozabieranego bez wiadomości Lukierdy przystrajano jej izby i stoły. Suknie nawet, których księżna prawie nigdy nie kładła ani pytała o nie, poprzehodziły do niej.

Bertocha i Mina nie bały się rabować Lukierdę, bo ta, oprócz kilku skromnych pamiątek przywiezionych z domu, do niczego nie przywiązywała ceny. Niemka, przepychem lubiąc się chwalić przed ludźmi, zagarniała, co mogła. Uderzyło księcia porównanie ubóstwa i zanie dbania żony ze zbytkiem, w jaki ta opływała. Nie powiedział nic, ale powlókł wzrokiem dookoła i ta myśl, że jakaś służebna roila sobie może, iż zasiądzie obok niego, dumę jego obraziła. Patrzył stojąc zadumany. Mina czekała na słowo jakiegoś, co by dawną miłość przypomniało – na próżno.

Siadł potem znużony, opierając się na rękę, twarz miał zasepioną.

Mina z załamanyimi rękami stała wciąż przed nim. Zaczęła próbować uśmiechu, lecz spojrzenie, które rzucił na nią, zwarzyło go.

– Ani dobrego słowa! – zawołała.

Przemysław zmierzył ją oczyma, nie powiedział nic, poruszył się tylko niecierpliwie i odwrócił od niej. Niemka naprzeciw niego usiadła, założyła ręce na piersiach, nie spuszczała go z oka.

– Widzę – rzekła – żeście, choć późno, pokochali się w żonie!

I tym jeszcze nie wywołała odpowiedzi.

– Jej dni policzone! – dodała. – Ledwie dysze.

Rzucił się książę, lecz ta oznaka nowa niecierpliwości ust jej nie zamknęła.

– Jak nie ją i nie mnie, to przecie sobie inną może znaleźliście do kochania? – odezwiała się Niemka.

Książę się roześmiał pogardliwie.

– Wam ino to bzdurstwo w głowie! – zamruczał.

– Bez niego i wy też nie wyżyjecie – ciągnęła dalej Mina. – Wszyscyście jednacy, książęta i chłopci! Gdy się wam stare twarze uprzykrzą, myślicie, że już kochania koniec, a wam nowe się chce tylko!

I na to książę nie rzekł nic.

Mina, widząc, że go słowy nie rozchmurzy, poruszyła się przyjmować winem i łakociami. Książę przyjął kubek, twarz mu się nieco rozpogodziła. Zręczna Niemka żarcikiem swawolnym i śmiechem starała się go zabawić. Poskutkowało to, i książę zdawał się zapominać o trosce, z którą tu przyszedł.

Uśmiechnął się nawet, choć dosyć chłodno, ale i to był znak dobry. Mina pochwyciła go za rękę.

– Darmo! – zawołała. – Nikt was tak jak ja kochać nie będzie, i wy nikogo jak mnie! Nad tamtą chorą litość mieć możesz, ale serca dla niej nigdy!

Chciała go wyciągnąć na słowo, lecz Przemysław słuchał roztargniony. Myślni był gdzie indziej, szczebiotanie to i przypominanie żony męczyło go.

– Tamta – mówiła Mina – to widmo już tylko straszne, co się nie wie, na co włości po świecie, a nam wszystkim życie zatruwa. Rozum postradała, sama nie wie, co się z nią dzieje, to płacze, to śpiewa, to narzeka na cały świat i na was, na was, żeście jej życie zatruli i zgubili.

Przemko w końcu rzucił się i wybuchnął, ręką bijąc o stół.

– I od was, i od niej rad bym, żeby mnie kto uwolnił! Dosyć już mam i tego trupa, i tego narzekania! Póty!

Wskazał na gardło. Dopił kubka, cisnął nim i wyszedł z izby. Myny oczy zaświeciły.

– Powiedział, powiedział, żeby go od tego trupa uwolnić! Uśmiechnęła się, spoglądając na drzwi.

– Mam słowo! Uwolnim cię od niego!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

ROZDZIAŁ I

Zarębów i Nałęczów ród już naówczas po całej Polsce był rozsiadły. Dosyć ich znajdowało się na dworach śląskich, w Poznaniu, Krakowie, na Mazowszu, ale daleko więcej obojga tego zawołania⁶⁹ ziemian po dworach swoich i grodkach siedziało.

Dziś, gdy człowiek każdy co najrychlej stara się być niezależnym i starczyć sam sobie, bo bezpieczeństwo od napaści dają mu prawa, nie mamy już pojęcia, czym w tamtych wiekach był ród, rodzina, zawołanie jedno, znamię i krwi związek.

Zwali się ludzie imionami tylko, przydomkami, jakie im dawano, nazwy od wsi brali, na których siedzieli, dla rozróżnienia, ale związek krwi łączył najdalszych członków jednego plemienia w wielką całość, stanowiącą niby obóz obronny.

Widzieliśmy tak Odrowążów i Jaksów wojnę z sobą wiodących, a co krok na kartach kronik spotykamy zawołania ziemian; gromadami służące książętom albo przeciwko nim występujące. Często, możny ród mając przeciwko sobie, księżę we własnym domu spokoju nie miał. Ziemianie, liczebnie silni a majątni, ciągnęli za sobą spowinowacone rody i grozili panującym.

Z najdalszych krańców ziem różnych, na dane hasło odzywali się swoi. Trzymano się za ręce w złym i dobrym losie, pilnowano wzajem, posiłkowano, nie dano sponiewierać się ni upaść. Za jednego pokrzywdzonego mścili się wszyscy. Księżę Przemysław rozumiał to dobrze, iż Zarębę obraziwszy, cały jego ród i współplemienników przeciw sobie zburzy, do których przybywali Nałęcz, od nich silniejsi jeszcze, a liczniej rozrodzeni.

Michno Zaręba rodzinę mógł znaleźć w pobliżu o mil parę na drodze do Śremu, lecz u niej łatwo go było poszlakować⁷⁰ i doścignąć. Puścili się więc oba z Nałęczem, większe pomijając gościńce, lasami, z początku niedobrze wiedząc, gdzie ich oczy niosły. Szło o to, aby się co rychlej oddalić od Poznania. Oba baczni wielce, lękając się pogoni, nasłuchiwali dobrze, a gdy w lesie tętent koni posłyszeli, przypadli cichaczem w gęstwinie, dając się czeladzi zamkowej wyprzedzić, co się im łatwo udało.

Nałęcz miał w okolicy Gniezna stryja starego, na wsi osiadłego, do którego czasem dojeżdżali dla łowów i spoczynku. Zwano go Włodkiem, a że niegdy w radzie książęcej zasiadał, come-sem⁷¹ go czczono. Człowiek był dawniej krewki do zbytku, broił dużo, szalał długo, nawrócony, teraz życiem niezmiernie surowym starał się okupić dawne życie swoje. Schronić się doń zdawało bezpiecznym, gdyż tam mało kto kiedy zaglądał. Domu reguła ostra była i

⁶⁹ Zawołania – zawołanie jest tym samym co herb, ale historycznie wcześniejszym. Zawołaniem zwoływał się ród na wojnie, aby uformować jeden oddział.

⁷⁰ Poszlakować – tu: odkryć po śladach drogę ucieczki.

⁷¹ Comes (łac.) – dostojnik zarządzający jednostką większą aniżeli kasztelana. Tytuł ten w XIII w. nie był dziedziczny.

dwaj młodzi niechętnie by się poddali jej na czas dłuższy, lecz na krótko i ten przytułek był pożądany. W Nałęczynie bez mała klasztor Włodek założył.

Stary comes, chociaż żonaty z dziewicą znakomitego rodu, ojciec dwóch synów i po zgonie żony, a i za jej życia pono swawolnie sobie poczynił, tak że pobocznego potomstwa kilkanaścioro się znalazło. Wszystko to teraz z nim pod jednym dachem mieszkało i za niego pokutę musiało odprawiać. Wyprosił był sobie Włodek ofiarą dla kościoła księdza Niemca zakonu świętego Franciszka, który u niego kapelanem był i rygor mu tu klasztorny wprowadził. Ojciec Franc, którego tu poufale Ojczulem zwano, obchodził się z Włodkiem i jego rodziną bardzo surowo. On tu był teraz panem.

Po krótkiej z Zaręba naradzie, Pawłek Nałęcz pociągnął go z sobą do stryja, chociaż długo tu przebywać nie myśleli. Zaręba gorączkowy i niecierpliwy zabierał się zaraz wszystkim ród objeżdżać i przeciw księciu Przemysławowi go zbroić, opierając się na którym z książąt śląskich. Nie wiedział Michna spełna, co począć, lecz poprzysiągł, że na księciu pomścić się musi. Nałęcz umiarkowańszy i chłodniejszy powstrzymywał go i starał się uspokajać, co niewiele pomagało.

– Ani dziś, ani jutro może nie dokażę tego, co chcę – zawołał Zaręba – lecz póki żyw mu nie daruję za księżnę i za siebie!

Zjechali z drogi ku Nałęczynowi, do którego Pawłek prowadził. Potrzeba było nocować w lesie, a choć jesień była późna i chłód dojmujący, ognia nawet naniecić nie śmieli, aby ten ich nie zdradził. Odzieży cieplej nie mając, otulili się, jak mogli, a nim konie u cudzego stoga popaśli, kilka godzin przesiedzieli, drzemiąc, w myślach zatopieni. Nade dniem puścili się w dalszą drogę i przemykając się bezdrożami dojechali do Nałęczyna. Dwór starego pokutnika leżał, jak na wysepce, pomiędzy jeziorkami dwoma, które umyślnie przekopami połączono. Broniło go to od napaści i odgradzało od świata. Włodek zerwał z nim był wszelkie prawie stosunki, duszą swą grzeszną zajmując się jedynie.

Z dała ponad obszernie rozstawionymi domostwy i drzewami, teraz z liści opadłymi, wiadać było drewnianą sterczącą w górę wieżyczkę kościoła z krzyżem sporym drewnianym także, wedle obyczaju zakonu świętego Franciszka. Przejechawszy długą hać⁷² rozgrzeźłą, którą zaniedbano poprawiać i woda ją w miejscach wielu poprzerywała, przebywszy kilka mostków lichych i podziurawionych, stanęli u wrót, w które dobrze bić musieli, nim Nałęcz się odzwierne dowołał. Temu oznajmił się jako bratanek pana, domagając z towarzyszem gościny. Stróż poszedł do pana, ale ten na modlitwie był, której mu przerywać nie śmiano. Musieli więc czekać długo. Wpuszczono potem samego Pawłka, kazawszy Zarębie z końmi zostać za wroty.

Wszedłszy w podwórcę, znalazł się Nałęcz naprzeciw męża ogromnego wzrostu, u wrót już stojącego, który na sobie miał suknię barwy siermiężnej, sznurem prostym podpasaną. Tym się tylko ona od mniszej różniła, że kaptura nie miała. Był to Włodek, bosy, w trepkach, z rękami obnażonymi, tak że widocznym było, iż gźła nie nosił, a twarda odzież za włosiennicę mu służyła. Twarz mimo postów i umartwień miał krągłą, pełną i zdrową, a brwi, jak dwie wiechy pólsiwe.

Z dała postrzegł Pawłek parami idących kilka dziewcząt różnego wzrostu, także w sukniach burych, a za nimi w pewnej odległości tak samo odzianych chłopców dorosłych i małych, za którymi szedł Ojczulo w kapturze na głowie, kijem w rękę, człek wychudły, silny jednak i oblicza surowego. Chłopcy z księdzem szli ku jednemu budynkowi na prawo, a dziewczęta ze starą niewiastą, chustą ciemną osłoniętą i przygarbioną, zwracały się na lewo. Włodek na zbliżającego się bratanka patrzył z uwagą i zdawał się go poznawać. Pawłek popieszył rękę jego ucałować.

– Bóg z tobą! Z czymże ty do mnie? – nie odstępując ode drzwi, które sobą zasłaniał, rzekł stary.

⁷² Hać (białorus.) – gać, tama.

– Stryju miły – odparł Nałęcz, który natury był powolnej i do każdego zastosować się umiał. – Stało się, o czym by długo bając przyszło. Ano, ja i Zaręba, pobratym mój, potrzebujemy schronienia, bośmy przez księcia ścigani.

Włodek się strasznie zachnął.

– Pogańskie syny! Bezbożnik! Cóżście to zrobili?! – zakrzyczał.

– Nic kary godnego! Zaręba się ważył księciu na oczy wyrzucać życie jego nierządne a poniewieranie żony. Rozgniewał się Przemko, trzeba było z życiem uchodzić.

Włodek głową zaczął kręcić.

– Kłamiesz! – rzekł.

– Prawdem powiedział, jak mi Bóg miły!

– A u mnie, myślicie, dla dwu łotrów z rozpustnego dworu schronienie?! – zawołał Włodek. – Ja dla was życia nie zmienię, a wy tu nie wytrwacie. Czy ty nie wiesz, jakie u mnie życie?

– Wiemy, że u was klasztor – rzekł Nałęcz – ale i po klasztorach przyjmują ludzi do izb gościnnych.

– Klasztoru u mnie nie ma – przerwał stary – ale chrześcijańskie życie jest, takie, jakie wszędzie powinno być! Modlitwa, od której nikomu się nie dam uwolnić, post, karność. Co mnie tu po takich dwu trutniach, nawykłych do dworskiej rozpusty! Co wy tu robić będziecie?

– Odpoczniemy dzień jaki.

Włodek mruzczał.

– Nie odpędzę was od wrót – rzekł – ale pamiętajcie, u mnie jedno prawo dla wszystkich. Kto tu wszedł, musi ze mną Boga chwalić na wszelki sposób.

– Toć i my nie poganie!

– A, poganie, poganie! Tak jakem ja był, dopókim nie przejrzał! – odezwał się stary. – Cielsko u was Bogiem, brzuch ołtarzem, rozpusta nałogiem! Poganie jesteście. Byłem ja wam podobnym, za to teraz pokutuję.

– My też do pokuty czas mamy.

– Co ty wiesz! – ofuknął stary. – Odebrałeś od śmierci posła, kiedy masz zdechnąć? Zawsze czas kajać się.

Pawłek stał milcząc, bo ze starym spierać się niedobrze było.

– No... wjedźcie, wjedźcie – dodał gospodarz – ale ja was, owiec zarażonych, do mojej trzody nie puszcę. Jest u wrót domostwo puste, tam sobie mieszkajcie. Ażebyście mi po dworze się nie włóczyli, młodzieży mi nie bałamucili! Na chleb wspólny do dworu możecie przyjść, zobaczymy, jak się sprawiać będziecie, albo jedzcie osobno. My tu waszej społeczności nie żądni!

Nałęcz chciał coś powiedzieć, stary mu usta zamknął.

– U mnie posłuszeństwo pierwsze prawo – dodał. – Chcecie przytułku, nagnijcie karku.

Pawłek się skłonił, Włodek krzyknął poza się do dworu:

– Zadra! Sam tu!

Zjawił się stary człek, także buro i ubogo odziany, w czapeczce na łysej głowie, z oczyma przymrużonymi.

– Masz oto gości dwu – rzekł Włodek do niego – gospoda dla nich podle wrót, a konie do szopy! Siana posłać, strawa ta, co dla wszystkich! Tacy ludzie, jak i my, muszą, co i my, pożywać i być radzi.

Wtem z różańcem w ręku nadciągnął Ojczulo, który się z dala przybyszom przypatrywał.

Pawłek, wiedząc, kto był, skłonił mu się pokornie.

– A w rękę duchownego nie możesz pocałować?! – krzyknął Włodek.

Trzeba było pójść do ręki, którą mnich go pobłogosławił. W twarzy ascety⁷³ widać było pokój z apatią⁷⁴ graniczący, dobroć chłodną. W ciągu powitania szeptał modlitwę i różaniec z dużych pacierzy złożony, w chudych, czarnych rękach przesuwał. Włodek z wielkim poszanowaniem opowiedział mu o przybyłym, co mnich przyjął obojętnie. Gdy Pawłek ze starym rozmawiał, Zadra wpuścił już Zarębę z końmi do środka. Michno, z konia zsiadłszy, którego chłopak przybył wziąć do stajen, podstąpił do gospodarza domu.

Szedł ze swą zwykłą butą, teraz jeszcze gniewem urosła, która się nie miała czasu uspokoić, bez tej pokory i uniżoności, jakiej wymagał Włodek trochę dla siebie, a więcej dla Ojczula.

– Druh mój i pobratym – odezwał się – już powiedzieć musiał, co nas tu za bieda zagnała. Miłościwy Panie, daj nam do czasu schronienie! Zwadziłem się z panem moim, ale sromać się nie mam czego. Bezlitosny jest, a żywię w jawnym grzechu. Nie napominają go inni, że żonę nieszczęśliwą daje na łup nierządniczy. Serce mi się ścisnęło widokiem cnotliwej pani, rzekłem mu prawdę w oczy i przed gniewem uchodzić muszę.

Włodek i Ojczulo, który, choć Niemiec, mowę polską rozumiał, słuchali pilnie.

– Pięknie mówicie! Ho ho! – odparł stary. – Ale mi się to coś dziwnym zda, żeście tak księżnę cnotliwą umiłowali, a panu się stawili jeżem! Są tam duchowni ojcowie przecie!

– Duchowni są, a milczą – zawołał Zaręba – więc gdy ludzie nie mówią, kamienie krzyżować muszą! Com uczynił, nie żałuję tego ani się wstydam. Pan jest bez serca, okrutny, a księżna już zamęczona przez niepoczciwych!

Ojczulo przysłuchiwał się modląc po cichu. Włodek na dwór u wrót wskazał i rzekł krótko:

– Idźcież spocząć!

Z tą odprawą dumny Zaręba, nie czekając dłużej, zawrócił się nasepiony, skinąwszy na towarzysza, i poszedł, kędy mu wskazano.

– He? – odezwał się, idąc, do Pawłka. – My tu pono długo nie będziemy popasali. Wytrwać będzie trudno. Z biedy i pod suche drzewo człowiek się chowa.

We dworku pod wrotami zimno było, pusto, niegościnnie. Służba chodziła milcząca i jak wystraszona. Ledwie legli spoczywać, gdy dzwonek się dał słyszeć do obiadu. Rzędami znowu szły dziewczęta i chłopcy, którym z dala goście się przypatrywali; dziewczęta z głowami pospuszczanymi, ręce na piersiach poskładane, chłopcy podobnie. Wszystko to we drzwiach dworu znikło.

Nie wiedzieli jeszcze, czy i oni dzwonekowi posłuszni być mieli, gdy ich do stołu wspólnego zawołano. W ogromnej izbie, której całą ścianę wielki krzyż czarny zajmował, opodał od siebie ubogo nakryte stoły czekały na biesiadników. Około drzwi z jednej strony dziewczęta już stały różnego wzrostu, ale w jednej odzieży, z włosami krótko poostrzyganymi, z drugiej chłopcy bosi i w trepkach. Z boku podwyższony pulpit czekał na lektora. Na stołach już stały misy i mało co kubków drewnianych, a że dzień postny był, z dala zachodziła woń mąki i oleju.

W głębi Ojczulo i Włodek czekali na gości, aby sięść. Tymczasem wyrostek z bystrymi oczyma, z głową już wygoloną jak u mnicha, zabierał się do czytania, a raczej do opowiadania językiem łamanym i mało zrozumiałym, co przed sobą miał po łacinie. Zaręba i Nałęcz, patrząc na ten osobliwy klasztor, weszli i na wskazanych przy gospodarzu miejscach stanęli. Ojczulo mruzczał już *Benedicite*⁷⁵ i zegnał stoły. Milczenie panowało w jadalni; gdy dokończył, usiedli wszyscy.

⁷³ Asceta (z grec.) – człowiek pobożny, doskonalący duszę przez posty i umartwienia.

⁷⁴ Apatia (grec.) – tu: zubożenie.

⁷⁵ *Benedicite* (łac.) – pobłogosławcie; pierwsze słowa modlitwy.

Zaręba spojrział, co na misach stało, bo byli głodni. Post był. Kasza z olejem, polewka owsiana z kluskami i małe płotki przyskwarzone w oleju a mocno cuchnące składały całą zastawę. We dzbankach woda stała i piwo cienkie. Zaczęto pożywać, a Zaręba do chleba się zabrał, choć czarny był, bo mu się najpożywniejszym wydał.

– Nie zasmakujcie wam jadło moje – rzekł uśmiechając się, Włodek. – U nas post, grzechu pod moim dachem nie ścierpię, jedzenie, co Bóg dał.

W milczeniu dziewczęta z jednej, chłopcy z drugiej strony chwyтали z mis, co mogli, kromkami chleba pomagając sobie zamiast łyżek, chlepiąc i chrupiąc. Wyrostek przy pulcie plótl jękając się, czego pewnie sam nie rozumiał; słuchali wszyscy. Jedzenie nie trwało długo, bo z mis znikło wszystko, co na nich stało, a nowych nie przyniesiono. Ojczulo powstał, dziękczynną odmawiając modlitwę. Dziewczęta ustawiły się w rząd i pociągnęły pierwsze, chłopcy w pewnym oddaleniu za nimi. Zostali tylko Ojczulo, gospodarz i goście.

– My wkrótce do kaplicy na modlitwę idziemy – rzekł Włodek. – Kto chce, może z nami, nikogo nie zmuszam. Zabawy u mnie innej nie ma.

To mówiąc stary pocałował księdza w rękę. Zaręba się skłonił, skinął na Pawłka i wyszli.

– Ty, co lepiej pana stryja znasz – zapytał Michno w podwórzu – powiedz mi: chyba tu nie co dzień takie gody, na jakieśmy dziś trafili?

– Owszem, porządek to powszedni, a czasem i gorzej bywa – rozśmiał się Pawłek. – To tylko adwent, a w wielkim poście we dwoje ostrzejszy post, w dwójnasób dłuższa modlitwa dzienna i nocna.

– Wolałbym już naprawdę mnichem zostać! – rzekł Zaręba.

– Mnie się też zda, że stryj na tym skończy, iż dwa klasztory założy, córki w jednym, a synów w drugim zamykając – odezwał się Pawłek. – Dwaj prawi synowie, nie mogąc tu życia znieść, poszli na inne wioski i rycersko służą.

– Do tych by i nam potrzeba – zakończył Zaręba – bo rychło z głodu poumieramy.

Wrócili do dworku, gdy już dzwoniło na modlitwę i parami znowu ciągnęły dzieci do kaplicy. Dwaj pobratymy podzielili się i Zaręba spoczywać, a Pawłek poszedł się modlić.

Kapliczka była nie wytworna, ale schludna. U wielkiego ołtarza stał sam Ojczulo, a Włodek w komży mu posługiwał. Śpiewano pieśni, odmawiano modlitwy, padano na twarz i nabożeństwo niemal do nocy się przeciągnęło.

Wieczorne jadło przysłano gościom do dworku, a było tak chude i biedne, jak ranne, tylko mniej niż pierwszym razem. Zaręba do innego stołu nawykły, bo jadał i pił dużo, posmutniał.

– Jeśli ci tu życie smakuje – odezwał się ocierając usta – siedź sobie, a ja jutro w świat; nie wytrwam.

– Przecie wiesz, że razem być musimy – rzekł Nałecz. – Jutro pójdziemy innego kąta szukać, a pogoń nas może minie.

Pokładli się spać głodni. Pawłek, który był wyszedł pode dwór raz jeszcze, aby się z Włódkiem rozmówić, dowiedział się od czeladzi, że to była godzina biczowania. Chłostę z dała nawet posłyszawszy, prędko do dworku powrócił.

Rano trąbka nader wesoło grająca u wrót, zbudziła ich obu. Porwali się na nogi prawie przestraszeni, nie mogąc zrozumieć kto w tym smutnym dworze tak się śmiał odzywać wesoło. We wrotach stał konny ze psy i kilku ludźmi, śmiało jak do domu wtargnąwszy. Młody był, przystojny mężczyzna. Ten na mnicha wcale nie wyglądał i twarz miał wesołą, a na tutejsze prawo domowe mało baczyć się zdawał.

Domyślili się łatwo, że syn być musiał starszy gospodarza, o którym wiedzieli, że w bliskości na wsi mieszkał. Tomko mu było na imię. Znał go Pawłek dawniej i, zarzuciwszy na się kozuch, wybiegł przeciw niemu. Myśliwiec nierychło go sobie przypomniał i poznał, ale gdy przemówił, zsiadł zaraz do niego, aby uścisnąć. Stary Włodek, który już był na modlitwie, nie wychodził do syna.

– Ty tu?! – zawołał młody. – A skądże się wziął? Co cię tu przyniosło? Wpadłeś, biedaku, na post i umartwienie, na pokutę do ojca mego!

Należcz prędko spowiadać mu się zaczął ze wszystkiego i zaprowadził go do izby, w której Zareba odziewał się dopiero. Powitali się. Tomko, który na dworze księżęcym próbował żyć, a nie powiodło mu się, Przemysława nie bardzo lubił. Słuchał więc powieści gorąco potakując i biorąc ją do serca.

– Wy tu nie macie co robić – rzekł – jedźcie ze mną. Ja, choć ojca kocham i szanuję, z nim bym pono nie wyżył. On teraz tak się do nieba dobija, jak dawniej żywot pełnymi ustami⁷⁶ spijał. Wola jego! Wszystkim jednak tak żyć trudno. Z tej dziatwy, którą w mnisze habity pozaszywał, zawczasu już mu dwoje starszych dziewcząt i ze trzech chłopców przez tyny⁷⁷ poucikało.

Tomko śmiał się, ale u drzwi posłyszawszy kroki, zamilkł. Stary Włodek z rękami rozpostartymi wchodził witać syna. Był to jego najmilszy, którego on tak kochał, że mu nawet jego światowe usposobienie przebaczał mówiąc, że mu nawrócenie wymodli. Ścisnął go za kolana Tomko, a ten, drżąc, głowę mu ujął i całował.

– Cóż, już na łowy? Od rana? A mszy słuchałeś?

– Nie zdążyłem na nią – rzekł Tomko.

Włodek, milcząc, na gości ukazał, jakby chciał powiedzieć: „Uwolnijże ty mnie od nich!”

– Ja Pawłka i Zarebę do siebie namawiam – zawołał, domyśliwszy się, Tomko. – Oni tu u was umrą z głodu i tęsknicy.

Stary poruszył ramionami.

– Poganieście wy wszyscy, poganie – rzekł. – Gdybyśmy my się za was nie modlili, Pan Bóg by tę ziemię karał srożej jeszcze.

Westchnął, ale, spojrzawszy na syna, wnet poweselał. Ścisnął go, przyglądał mu się z widoczną pociechą. Piękny był, życia pełen. Myśl pobożnego ojca mimo woli tą bujną młodocia się radowała.

– Do stołu ja ciebie i tych gości dziś nie wzywam – mruknął po namyśle. – My dziś z suchotami⁷⁸, a ty, poganinie, z ojca i z postu, i z nas gotówes sobie drwiny stroić. Przyślę wam tu co przekąsić.

Gubcie dusze, ale niech ja na to nie patrzę. U nas dziś suchoty.

– Dobrze, ojcie kochany – odparł Tomko. – A ja za pozwoleniem twym sam pójdę do piwnicy i na kuchnię pogospodarować.

– Idź, ale bez pozwolenia – rzekł Włodek.

Dano do dworku dnia tego obficie jadła i lepszego, co Tomkowi zawdzięczali. Po obiedzie rannym pożegnali gospodarza i wyruszyli z Nałęczyna. Młody zawiózł ich do swojego dworu. Nowy on był na wydartych świeżo trzebieżach⁷⁹ w puszczy, nie obronny, bo las dookoła go osłaniał. Mało się tu najazdu obawiano. Dostatnio było na nowosiedlinach, wesoło i ochoczo.

Wyszła przeciw przybywającemu młoda żona, Sulisława, nie wiedząc, że gości z sobą prowadził. Zobaczywszy ich, skryła się zaraz, bo po domowemu odziana była, a do obcych musiała wystąpić inaczej. I przyjęcie ich też dostatniejsze nakazać trzeba było niż chleb powszedni. Zareba tu odżył i poweselał dopiero, gdy siedli za stół dobrze zastawny, do którego wyszła piękna i strojna gospodyni, którą małżonek tak miłował, że jej to i przy obcych okazywał.

⁷⁶ Ustami – słowo dodane, bez którego zdanie pierwodruku niejasne.

⁷⁷ Tyn – wał obronny opatrzony częstokołem.

⁷⁸ Suchoty – tu: post o chlebie i wodzie.

⁷⁹ Trzebieże – oczyszczony grunt z drzew, nowizna.

Zacząła się rozmowa o dworze, o Lukierdzie, o życiu Przemysława, Zaręba z serca mówił i gorąco, a młoda pani płakała rzewnymi łzami nad losem księżnej. Tomko się oburzał.

– Twoja sprawa – rzekł w końcu – nasza sprawa! Nałęcz i Zarębowie razem pójda mścić się za krzywdę pani i za waszą. O pomstę do Boga woła takie okrucieństwo.

– Tyranem jest dla żony i tyranem dla wszystkich! – zawołał Zaręba. – Dalej ziemianie u niego nic *znaczyć* nie będą i pójda w niewolę. Pamiętajmy, że nasi ojcowie ich wybierali i podnosili na księstwa, a zrzucali, gdy chcieli. Dziś my co? Sługi tylko, którym, co każą to robić muszą. Rodu tego Piastowego dosyć jest. Mamy w kim wybierać. Czy to nowa rzecz będzie, gdy go wygnamy, a posadzimy innego?

– A nowy pan zawsze lepszy! – dodał Tomko.

Pawłek obyczajem swym milczał. Co dla Zaręby dobrym było, to i on przyjmował chętnie. Umówiono się więc do Orlika Zaręby, który w głębi Kaliskiego mieszkał, Nałęczów zwołać i Zarębów, aby się naradzić, jak przeciw księciu Przemysławowi występować mieli i co czynić.

– Cicho tylko a rozumnie – zamruczał ostrożny Pawłek. – Gdy zawczasu wrzawy narobimy, połapią nas i pojma a poćcinają bez sądu. Leszek za lada co ziemian na głowie, imieniu i czci karze. Cicho musimy iść, aby do swego dojść.

Zasiedli więc u Tomka, skąd Zaręba po kryjomu począł na różne strony się wymykać, swoich i Nałęczów podburzając przeciw księciu.

ROZDZIAŁ II

Kanclerz Wincenty, wyjechawszy z Poznania po cichu, tak że mało kto z bliższych wiedział o jego podróży, ściągnął pierwszego dnia na nocleg do wsi kościelnej, w której na probostwie chciał spocząć. Zbliżając się do plebanii, zdziwił się i zasmucił, widząc ją otoczoną mnogim ludem jezdny, który tylko co z koni zsiadał. Domyślał się, że ktoś dostojny zawitać tu musiał, bo i ksiądz, i klechy jego, i co było czeladzi, zwijało się około domku, jakby głowy potracili.

Orszak bardzo wspaniały z cudzoziemska się przedstawiał, pańsko, świetnie, a nie można było na pierwszy rzut oka rozpoznać, do kogo należał, świeckiego czy duchownego pana, bo wśród niego zbroi i sutann po równi było. Noc się zbliżała i ksiądz Wincenty namyślał się, co pocznie z sobą, bo tu dlań miejsca już nie było, a i dla samych przejezdnych skąpo być musiało, bo się do sąsiednich chat wpraszałi. Stał więc z wozem swym i czeladzią, rozglądając się po wiosce, gdzie by i on mógł głowę przytulić.

Wtem wychodzący z plebanii dworzanie, księdza na drodze zobaczywszy z wozem, kłaniać mu się poczęli wymijając go, a jeden zapytał, skąd by jechał. Więc też kanclerz zagadnął:

– A wy skąd?

– My, ojczy, z dalekiej bardzo strony, z długiej drogi – rzekł, śmiejąc się, dworzanin. – Wracamy z Rzymu...

– Jako, z Rzymu?! – zawołał ksiądz Wincenty, poruszony tym niemało. – A z kimże to jedziecie? Komu towarzyszycie?

Stojący przy wozie minę miał figlarną.

– Z kim? – odparł. – A toć z przysłym przez Ojca Świętego naznaczonym na arcybiskupstwo gnieźnieńskie nominatem⁸⁰, bo Włocibora tam nie chcieli.

Ksiądz Wincenty aż się przeżegnał. Podróż więc przez niego przedsięwzięta niepotrzebną już była. Ze trwogą począł pytać:

– Któż mianowany? Włoch czy Francuz?

Pewien bowiem był, iż obcy być musi, a gorzko mu się bardzo stało na duszy.

– Ani Włoch, ani Francuz, ani żaden obcy, nasz własny rodzic – tylko, że jeszcze duchownych święceń nie ma... pan nasz, Jakub Świnka.

Oniemiał kanclerz z podziwu i ręce załamał.

– Jakże to może być?! – wołał.

– Dlaczegoż by być nie miało! – prawil gadatliwy dworzanin. – Wola Ojca Świętego wszystko może. Z naszym panem nie gdy przyjaciołmi byli, towarzyszami. Ojciec Święty go uprosił, zaklął i nakłonił siłą prawie, aby suknię duchowną wdział i to dostojenstwo przyjął.

– Juści wy – przerwał kanclerz – nie żartowalibyście sobie ze mnie!

– Nie śmielibyśmy z osoby duchownej – rzekł dworzanin. – Bóg niech uchowa! Święta prawda jest, co mówię. Jedziemy wprost z listy rzymskimi, aby naszego pana wyświęcili biskupi.

⁸⁰ Nominat (z łac.) – człowiek mianowany na urząd.

Kanclerz znał niegdyś Świnę świeckim człowiekiem, więcej może przez drugich niż przez się. Wiedział, że rozumny był, nauki miłujący, ale pamiętał go młodszym, rycerskiego usposobienia, do stanu duchownego wcale nieskłonny. Nie wiedział: smucić się czy cieszyć. Rażony był. Bądź co bądź podróz, w którą się wybrał, była skończoną; pozostawało mu albo do Poznania zawrócić, lub wysiadłszy z wozu, iść na plebanie i pierwszemu nominata pozdrowić, a ujrzyć na oczy, co się z nim Kościołowi obiecywało.

W niepewności tej stał jeszcze ksiądz Wincenty z wozem i ludźmi, gdy spojrzawszy na plebanie, poczuł jakby głos wewnętrzny, mówiący mu, iż tam był iść powinien.

„Niechże onego wybrańca bożego pozdrowię pierwszy – rzekł w duchu – boć, co się stało, odstać się już nie może. Rzym rzekł.”⁸¹

Zostawiwszy wóz swój i czeladź z klerykiem, który mu towarzyszył, ksiądz Wincenty zsiadł, ociągnął suknię i, przeżegnawszy się, do plebanii z wolna podążył. Dworek był niewielki, ciasnota w nim, do środka dostać niełatwo. Obozem wówczas jeszcze niemal cała Polska stała i długo jeszcze potem. Wytwornych i obszernych budowli próżno w niej szukać było. Plebanie i dwory większej części ziemian rozszerzonymi tylko chatami zwać się mogły. Częste pożary, napady nieprzyjaciół, którzy niszczyli wszystko, nie dopuszczały na długie rachować lata, trwale i wygodnie się mieścić.

I ten też domek proboszczowski przy drewnianym, jak on, wiejskim kościółku, bardzo był szczupły i skromny. Składał się on z dużej sieni, z dwóch izb i komory po jednej stronie, po drugiej z izb dla klechów i gospodarskich; kilkunastu ludzi z czeladzią miejscową wypełniali już prawie wszystkie kąty. A gdy ksiądz Wincenty wszedł do sieni, w której dwór nominata przy ognisku się ogrzewał, ledwie się mógł przezeń przecisnąć. Poziębli ludzie gwarzyli u komina wielkiego dosyć wesoło. Spoza drzwi do pierwszej izby wiodących słyhać było głośną rozmowę.

Kanclerz, choć niemałego znaczenia osoba duchowna, wyglądał dosyć skromnym i pokornym, nie bardzo więc nań zważano. Nieśmiały, pomimo wieku, wahał się, czy ma bez oznajmienia wniknąć do środka, gdy młody wikariusz mu się nastęczył, który biegł właśnie, do klechów po coś wysłany. Znał on księdza Wincentego z Poznania, wiedział, jakie stanowisko zajmował, i zdumiał się, zobaczywszy go tak pokornie stojącego w sieni. Sądził zrazu, że należał do towarzystwa nominata. Chciał mu drzwi otwierać, gdy go ksiądz Wincenty zatrzymał.

– Ja wprost z Poznania jadę – rzekł. – Tylko co przybywam i tylko co się dowiaduję o arcybiskupie, oznajmijcie mu o mnie.

Zaledwie wikariusz spełnił to polecenie, gdy proboszcz już wyszedł naprzeciw niego, a u progu czekał nań Świnka. Izba dosyć duża, w której proboszcz zwykł był przyjmować, tak była ubogą i ze wszelkich ozdób ogołoconą, jak na owe czasy przystało. Stół i ławy, krzyż na ścianie, kropielnica u drzwi, nie opodal ode drzwi police,⁸² na których kilka kubków stało garncarską robotą.

Płomię ogniska rzucało blask na stojącego naprzeciw w sile wieku męskiego Jakuba Świnę, na którym świeżo przywdziana suknia ciemna, krojem świeckiemu duchowieństwu właściwym, sprzeczała się niemal z rycerską postawą człowieka, co niedawno jeszcze chadzał we zbroi. Szlachetne oblicze, czoło wyniosłe, spojrzenie śmiałe i jasne, usta uśmiechnięte łagodnie twarzy nadawały wyraz obudzający współczucie i poszanowanie. Każdy, co go widział, czuł, że to był mąż niepospolity, wybrańiec obdarzony rozumem i siłą woli, bez której sam rozum nie waży nic. Coś jeszcze nieśmiałego było w nim, jakby ze swym nowym powołaniem nie obył się dosyć, a musiał na siebie pamiętać.

⁸¹ Rzym rzekł – aluzja do średniowiecznego poglądu kościelnego o nieomyślności papieża: „Roma locuta, causa finita”, co znaczy w przetłumaczeniu z łaciny na polski: Rzym wypowiedział się, sprawa skończona.

⁸² Polica – półka, dawniej robiono ją z pnia drzewa rozłupanego na połowy.

Ujrzawszy kanclerza, Świnka obie ręce podniósł uśmiechając się doń.

– Ojcie Wincenty – rzekł – oglądaj we mnie cud Boga wszechmogącego, Szawła, któremu Pawłem zostać kazano, niegodne naczynie, którym czerpać chce Bóg i wylewać najdroższe dary swoje. *Non sum dignus!*⁸³ wołałem z głębi duszy mej i wołam, alem ulec musiał woli Ojca Świętego. Cóż wy na to? Co wy, starzy, zasłużeni, godniejsi nade mnie powiecie?

Prawym mężem był ksiądz Wincenty, a od wszelkiego pochlebstwa dalekim, spuścił głowę i rzekł z cicha:

– Co Bóg nam przez pomazańca swego uczynić raczył, dobrym być musi. Zatem wola Jego błogosławiona. Szczęśliw jestem, że ja pierwszy witam przyszłego pasterza.

Chciał go w rękę ucałować, gdy Świnka uściśnął starego ze wzruszeniem.

– A! Wierz mi, wierz, księżo kanclerzu – rzekł – anim się dobijał, anim pragnął tego dostojństwa. Jest ono brzemieniem wielkim w tych ziemiach naszych rozbitych i osłabłych niemocą długą. Jednocześnie ciągle, co się rozpryska, walczyć z samowolą możnych książątek, ukracać ich zachcianki, karać gwałty, ciągle prawo boże przypominać tym, co i żadnego ludzkiego znać nie chcą, stać na najwyższej straży – ciężka to sprawa i brzemień straszliwe!

Czuć było przejęcie wielkie i uniesienie w mowie nowego arcybiskupa. Ksiądz Wincenty czytał w nim, jak głęboko był jeszcze poruszony nowym powołaniem swoim. Mówił żywo, a słowa płynęły mu z gorączkowym pośpiechem.

– Ojcie mój – ciągnął dalej, wskazując siedzenie, a zapominając, co go tu sprowadziło. – Prawdziwy traf losu, niespodziewany, nie przewidywany narzucił mnie wam. Wiecie czy nie, że nigdy we Francji z dzisiejszym Ojcem naszym, papieżem rzymskim, znajomym był blisko i poprzyjaźnionym. Odbywając podróż dla obeznania się z krajami obcymi, gdy się dowiedział, że on zasiadł na apostolskiej stolicy, udałem się do Rzymu, aby go pozdrowić i ojcowskie otrzymać błogosławieństwo. Zabawiłem w tej stolicy ruin i wspomnień dosyć długo, doznając od Ojca Świętego jak najłaskawszego przyjęcia. Przyszła pod ten czas sprawa obsadzenia stolicy osieroconej gnieźnieńskiej, na którą ksiądz Włościbora wybrano, a tego sobie Leszek nie życzył i inni. On się też sam zrzekał ciężkiego dostojństwa.

Jako świadomy położenia kraju naszego, powołany byłem przez Ojca Świętego, abym mu o nim opowiadał. Odmalowałem nieszczęśliwe położenie nasze, rozdrapane to królestwo, niegdyś mocne, wojny książąt o kawałki ziemi, nieład, spustoszenie, okrucieństwa, samowolę, nieposzanowanie własności duchownej i prawa. Mówiłem ze łzami prawie i poruszeniem, bo kocham tę ziemię, a los mnie jej obchodzi.

Słuchał papież przez dni kilka boleściwie się użalającego, wreszcie, gdy mnie raz jeszcze o Polskę zagadnął i obsadzenie metropolii, gdy mu potrzebę narzucenia męża silnej woli okazywał, nagle rzekł mi: „Ty jeden nim być możesz!”

Uwierzcie mi, poprzysiąc wam na to mogę, że słowo to wyrzeczone nagle, na chwilę w słup mnie obróciło. Wziąłem je za żart, nie chcąc wierzyć. Rozśmiałem się. Byłem człowiekiem świeckim, rycerskiemu rzemiosłu oddanym, a choć naukę kochałem, pismom czytał, a chętnie się mądrym przysłuchiwał, nigdy nie pomyślał o stanie duchownym, nie czuł się godnym niego.

„Ojcie Święty – rzekłem, wskazując na miecz u boku – słowem wojować nie uczyłem się.”

„Duch Święty cię natchnie – mówił papież. – Tam trzeba pasterza, co by i wodzem, i żołnierzem umiał być. Mnie ciebie tu Pan Bóg na to zesłał i wskazuje, idź i dźwigaj to królestwo, które jest córą apostolskiej stolicy.”

Nie poddałem się zrazu woli Ojca Świętego, podziękowałem i odszedłem. Nazajutrz kilku innych kandydatów przyniosłem papieżowi, nie biorąc słów jego za rozkaz stanowczy. Tam

⁸³ *Non sum dignus* (łac.) – nie jestem godzien.

tych nie znam – rzekł mi – a ciebie od lat wielu. Teologii ci dodadzą scholastycy twoi, kano-
nicy i kapituła, a serce i wolę ty im zaniesiesz. Idź, mówię ci, wzywam w Imię Tego, którego
jestem następcą na ziemi.

Opierałem się długo jeszcze. Rzekł mi Ojciec Święty, że u grobu świętych apostołów Pio-
tra i Pawła pójdzie o natchnienie się modlić, abym i ja na mszy w krypcie był. Posłusznym
byłem. Po ofierze świętej przyszedł do mnie jeszcze w sukniach, w których u ołtarza stał, nie
zrzucając ich, i położył mi jedną rękę na głowie, drugą na ramieniu – mówiąc: „Idź! Wysyłam
cię i błogosławię. Idź! Rozkazuję ci!”

Takem wręście ulec musiał i oto mnie widzicie ze drzeniem idącego na stanowisko moje.

Ojciec Wincenty słuchał z żywym przejęciem się i łzami na oczach.

– Wola boża w tym jest – rzekł – a ja się szczególnie cieszę, że się ona teraz objawiła, bo
przyniesiecie prędką pociechę panu naszemu, a mnie uwolnicie od obowiązku ciężkiego po-
dróży do Rzymu.

Świnka zbliżył się ku niemu ciekawie.

– Tak jest – kończył kanclerz – pan nasz Przemysław, który wielce boleje nad tym, iż od
tak dawna stoi osieroconą ta stolica, wysyłał mnie o to z listami i prośbą do Ojca Świętego,
aby co rychlej ją obsadzić raczył.

– A miałże kogo na myśli? – zapytał Świnka.

– Nie. Oto są listy, patrzcie i czytajcie. Ziściły się życzenia jego, pragnął męża silnej woli,
a takiego w was Bóg mu daje.

Świnka zadumany ręce załamał.

– O, dziwne losu zrządzenie! – zawołał. – Jest temu lat około dziesięciu, gdy na dworze
książecym bawił. Był podówczas ów pobożny, istnie świętej pamięci pan kaliski, książę Bo-
lesław. U stołu mowa się wzięła o ziemi tej i jej losach. Ktoś nie pomnę, rzekł, że znowu ją
pod jedną koronę na głowie Przemysława zjednoczyć potrzeba. Jam to powiedział czy inny,
nie pomnę, a książę dodał, iż chyba ja, arcybiskupem zostawszy, koronę mu tę włożę na skro-
nie. Patrzcież, jak najnieprawdopodobniejsza rzecz, dziś już na pół możliwą się stała, gdy
ja, prosty *miles*⁸⁴, wyszedł na to dostojęństwo, o którym nigdy nie marzył!

– Bogdajby ta i reszta przepowieści ziścić się mogła! – szepnął kanclerz. – Że myśl o jed-
nym królestwie trwa stale w myśli pana naszego, ja o tym wiem najlepiej. Potrzeba powagi i
władzy świeckiej jednej nad tymi niesfornymi książętami, jak w Kościele – metropolitarnej nad
nimi.

– Ojciec mój – przerwał Świnka z zapalem młodzieńczym człowieka, który jeszcze się nie
starł z rzeczywistością i myśl w sobie żywi nie widząc przeszkód, jakie jej ziszczenie utrudnić
mogą – ojciec mój, w Kościele naszym i w kraju naszym, w obyczaju, wiele jest do czynienia!
Ładu nie mamy. Sami nie wiemy, czym jesteśmy. Niemcami na pół czy Słowianami? Wiem,
jako król Ottokar⁸⁵ skarżył się, iż mnisi obcy Czechy i Polskę zalewają, którzy języka tych
ziem nie znają. Wyświęci się li kto z naszych, ślą go Niemcy tam, gdzie się na nic nie zdał, bo
rozmówić się nawet nie zdoła. Klasztory, co taką pomocą byłyby duchowieństwu świeckie-
mu, są jako wyspy na morzu, żyją sobie same. Duchowieństwo wiejskie z dala od przełożo-
nych nie kapłański żywot prowadzi. Wszystko trzeba w kluby ująć, wiele naprawić, a to cięż-
kie pensum⁸⁶ Bóg złożył na ramiona prostego ziemianina, żołnierza, dobrej woli, ale nieuka i
niezdolnego. Jakże się nie mam lękać, czy ja potrafię sprostać temu, czemu świątobliwi po-
przednicy moi nie podolali?

⁸⁴ Miles (łac.) – żołnierz.

⁸⁵ Ottokar – Przemysł Ottokar I (1253-1278), król czeski, jeden z najwybitniejszych monarchów ówczesnych.
Położył ogromne zasługi dla gospodarczego rozwoju Czech, ale przez nadmierne popieranie kolonistów nie-
mieckich i kultury niemieckiej osłabił poważnie rozwój narodowości czeskiej.

⁸⁶ Pensum (łac.) – tu: powinność, obowiązek, zadanie.

Mowa ta poruszyła mocniej jeszcze kanclerza.

– Nie zapominajcież – rzekł poważnie – że większe Bóg cuda czynił z ludźmi, bo na apostołów powoływał celników i rybaków, prostaczków, a nie mędrców ze szkoły i nie uczonych znad ksiąg. Wy macie wszystko, co mieć potrzeba, gdy jasno widzicie, czego nam braknie. Radować się więc i dziękować Bogu! Hosanna!

– A mnie z pokorą i poświęceniem iść tą drogą ciernistą – rzekł Świnka – bo że ona różami nie będzie usłana, wiem zawczasu. Nienawiść książąt, przeciw którym wystąpić muszę, niechęć duchownych, których na drogę lepszą zwrócić potrzeba, nieprzyjaźń Niemców, od których się bronić należy, wszystko to mnie czeka!

Przeżegnał się Świnka i dodał, rękę wyciągając do kanclerza.

– Liczę na pomoc waszą, na duchowieństwa czoło, że mnie nie opuści i podeprze.

Gdy to mówili, proboszcz, dosyć wylękły starowina, na stole sam z czeladzią przysposabiał posiłek wieczorny, ubogi, bo go na inny nie stało. Zastawiono misy z rybami, kaszę, grzyby, chleb i co Bóg dał pod ubogą strzechą. Świnka wstał i zbliżył się do stołu, prosząc kanclerza, aby go pobłogosławił. Gospodarz, ręce na piersiach złożony, wymawiał się, iż tak biednie arcybiskupa przyjmuje.

– Gdybym był zawczasu wiedział – rzekł – posłałbym rybaków sieci zarzucić, może by co lepszego złowić się udało.

– Mnie, mój ojczu, wszystko dobre – rzekł Świnka wesoło – bom ja nawykł do niewygód i do prostego jadła. Za górami też u Włochów nie popsułem podniebienia, choć tam różne przysmaki dają. Naszym ustom one wstrętne, a lepiej chleb nasz czarny niż białe kołaczki smakuje.

Za czym siedli, a nominal proboszcza gwałtem przy sobie umieścił, poufale go wypytując o stan parafii, dochody i fundusze kościoła.

– Dajemy sobie rady, jako zmożemy – mówił proboszcz – choć z dziesięcinami zawsze frasunek wielki i utrapienie. Radzi nas najgorszym snopkiem zbyć. W lasach też i na ziemiach nadanych probostwu króluje, kto chce i czyja wola a łaska, nie patrząc prawa. W przejeździe lada urzędnik o plebanię zawadzi, przyjmować go z ludźmi i końmi potrzeba. Ot – żyje się, jak Bóg dał.

– Myśmy też słudzy boży – odparł nominal – do łatwego a wygodnego życia nie powołani. Widzimy to na zakonach benedyktynów, cystersów a nawet i innych, jak łatwo człowiek naszego stanu, przy dostatku wielkim popsuć się i zleniwieć może. Nie ci oni są, co dawniej byli. Dlatego święty Dominik i Franciszek ubóstwo dzieciom swym nakazał, grosza im brać wzbroniał, aby od zepsucia ich ustrzegł.

Lecz zakony u nas – dodał – przez to głównie zwietrzały, że obcymi nasadzone były. Ci dobrze wyposażeni nie mieli co czynić, nikt ich, oni nikogo nie rozumieli. Stąd gnuśność poszła i zepsucie. Swoimi nam je trzeba zaludnić, aby oni z narodem jedno czuli, znali go, a mówić doń i prostować mogli.

Szła tak rozmowa przy krótkiej wieczerzy, po czym prędko, gracje⁸⁷ odmówiwszy, wstali, a Świnka odwiódł kanclerza w róg izby.

– Mówcie mi, jako pan nasz jest? Co z nim?

Długo się na odpowiedź kanclerz namyślać musiał.

– Wiecie, że dwakroć u Ślązaków w niewoli był – rzekł. – Zdaje się, że wtóra ona dobrze poskutkowała, spoważniał, zmęźniał, serce mu pańskie urosło. Dobrego chce. Brak mu dziś takiego pomocnika i radcy, jakiego miał w Bolesławie kaliskim, i w was, ojczu nasz, mieć będzie.

– Jeśli ma wolę dobrą, Bóg siły użyczy! – odparł nominal.

– A księżna wasza? – zapytał po małym przestanku.

⁸⁷ Gracje (z łac.) – *Gratias agimus*: „Dziękujemy” – pierwsze słowa modlitwy.

Kanclerz zaniemiał, oczy spuścił – wzdychał.

– Księżna – odezwał się nierychło – nieszczęśliwą jest, bo małżeństwo to niedobre było dla obojga. Miłości nie było w nim i szczęścia nie ma. Obawiam się być prorokiem, lecz wkrótce pewnie stracimy panią pobożną, schnącą z tęsknicy i utrapienia. Niewiasty, co ją otaczają, złe są.

– Zawszeż trwają te piastowskie miłości pokątne? – pytał Świnka. – W nich wszystkich krew niepomiernie gorąca, namiętności niepomahowane. Mało który nie wraca do pogańskiego nałożnic obyczaju, jako oto i węgierski król, choć nie Piast, co się Kumankami⁸⁸ otoczył, że mu je gwałtem odpędzić musiano.

– Zgorszenia nowego nie ma – odparł kanclerz – ale stara ulubienica trwa na dworze. Tej by się zbyć powinien, bo niegodziwą jest i władzę ma. Ona to podobno przyczyną nieszczęścia pani naszej.

– I bezdzietność się też do zniechęcenia przyklada – dodał Świnka..

– A potomstwa nadziei nie ma żadnej – mówił kanclerz – nieszczęśliwa Lukierda, schorowana, jak cień chodzi, litość bierze patrzeć na nią.

– Onże jej dla niej nie ma? – zapytał nominat.

– Nie – odezwał się kanclerz po cichu. – Niecierpliwi się pono i zżyma. Biedny jest i nas, że patrzeć musimy na domową dolę jego, nieszczęśliwymi czyni.

Po tej cichej rozmowie, gdy w jedynej izbie pościele kłaść zaczęto, kazał Świnka kanclerzowi też przy sobie się położyć, aby na zimnie i niewygodzie nocy nie przebył, co by staremu szkodzić mogło. Kląkszy na wieczorną modlitwę, kanclerz mógł podziękować Bogu. Spokojnym powracał, zbliżenie się do Świnki przekonało go, iż istotnie w mianowaniu tym była boża łaska, gdy w chwili tej właśnie, męża ducha wielkiego wymagającej, on wchodził na stolicę.

Takim wybranym od Boga wydał mu się Świnka. Człowiek świecki, który nie wziął jeszcze namaszczenia, przynoszącego łaski stanu, miał on już pojęcie ciężkich obowiązków, jakie nań spaść miały. Mąż był w sile wieku, do walki nawykły, znający świat nie tylko swój, ale otaczający, bo całą niemal Europę za młodu przewędrował.

Nazajutrz rano wstali wszyscy o brzasku i w kościółku wiejskim słuchał przyszły arcybiskup mszy, której sam jeszcze nie miał prawa odmawiać, bo święcenia miał odebrać dopiero po przybyciu do kraju, razem kapłanem się stając i arcypasterzem. Wprost z kościoła, po skromnym obiedzie, Świnka, kanclerz i cały orszak wyruszył do Poznania. Ksiądz Wincenty radował się niewymownie, iż podróż swą skończył tak szczęśliwie, nawet za granicę się nie wychyliwszy.

Świnka niezbyt spieszył, ciągnęli małymi dniami. Było to jakoś w pierwszej połowie grudnia, zima się dopiero rozpoczynała, gruda ostra przykrą czyniła drogę, której śnieg jeszcze nie okrywał. Jechali zmuszeni zatrzymywać się dla podbitych koni i dla podków gubionych. Stawali więc spoczywać mimo woli. Miał czas towarzyszący nominatowi kanclerz szeroko się z nim rozmówić o potrzebach Kościoła i kraju, o wszystkim, co dolegało i co było do naprawy.

Po drodze zamierzał Świnka skromnie i po cichu odwiedzić Poznań, pana swojego powitać i prosić go, aby przybył na uroczyste wyświęcenie, które natychmiast odbyć się miało. Przodem wysłani do Gniezna gońce do biskupów i do księcia mieli ich wszystkich wezwać do Kalisza. Nie chciał zwlekać objęcia stolicy swej Świnka, bo ta i tak za długo już opróżnioną była.

Po drodze nie minęli żadnego kościoła i klasztoru, do którego by nie wstąpili, korzystał i z tej podróży nominat, aby bliżej poznać stan duchowieństwa i kraju. Niespodziewanie zjawia-

⁸⁸ Kumanki, Kumanowie, Połowcy – lud szczepu turkomańskiego, przybyły w XI w. zza Wołgi na stepy czarnomorskie, a w XIII w. osiadły na Węgrzech.

jąc się trafiał na otwarte rany, których pokryć nie miano czasu. W klasztorach, jak mówił Świnka, panowała wszędzie obczyzna, Niemcy, Włochy, Francuzi zapełniali je, a czując się wyższymi umysłowo od krajowców, lekceważyli ich sobie i władzę, jaka w ich ręku spoczywała. Świnka, obeznany z językami i obyczajem zachodnim, był dla tych przybyszów groźnym, bo mu wyższością swą nastawić się nie mogli. Wracał z Rzymu, miał nawet tę powierzchowność półcudzoziemską, która u nas zawsze, od wieków dawała powagę i wziętość. Był to właśnie mąż, jakiego pod te czasy rozprzężenia Kościoła polski potrzebował.

Dnia 15 grudnia zbliżyli się do Poznania, w którym się na noc stanąć spodziewali, gdy odpasając w gospodzie na wielkim gościńcu, postrzegli dwóch ziemian przybywających do niej na zhasanych koniach. Jedyna izba gościnna była zajęta przez nominata i dwór jego, jeźdźcy więc ani koni, ni siebie nie mając gdzie schronić, już mieli odciągać dalej, gdy Świnka, zobaczywszy ich, do izby swej powołać kazał. Dowiedzieli się od dworzan, kto był.

Wezwani byli dwaj ludzie młodzi, po których ubraniu i rynsztunku poznać było można, iż do zamożniejszych rodzin liczyć się musieli. Oba, próg przestąpiwszy, gdy mieli powitać duchownych, tak się wydali im pomieszani, niespokojni, pod wrażeniem jakimś świeżym i przykrym, że Świnka, nawykły czytać z ludzkich twarzy, co się w ich duszy działo, nie mógł się wstrzymać od zapytania:

– Cóż się to wam w drodze nadarzyło, że tak nieswoi wyglądacie?

W istocie oba młodzi dyszeli, rzucali się, patrzyli, jakby na pół przytomność postradali. Jeden zwłaszcza, którego towarzysz, hamować się starał, zdał się rozpaczającym.

– A! W drodze – zawołał głosem namiętnym odpowiadając nominałowi – w drodze nic się nam nie stało, ale od rana niesieni się z tym nieszczęściem, z tą zbrodnią, która najobojętniejszego do wściekłości by pobudziła!

– Cóż to jest? – podchwycił kanclerz.

– Chrześcijanin do wściekłości nigdy się nie powinien dopuszczać – dodał Świnka.

– Jak to?! – wybuchnął przybyły. – Miałby patrzeć obojętnie, gdy się takie zbrodnie dzieją?! Gdy niewinni cierpią męczeństwo?! Dusza musi poruszyć się i wołać o pomstę do Boga!

I ręce podniósłszy do góry, młody przybysz, jakby go ani przytomność obcych, ani dostojność ich nie zdołało pohamować, począł, głos podnosząc, wyrzekać:

– Nie żyć już na tej ziemi! Nie patrzeć na taką szkaradę? Lepiej do obcych, na pustynię!

– Na Boga, upamiętajcież się! – przerwał Świnka. – Uspokójcie!... Kto wy jesteście? O czym mówicie? Twarz wasza zda mi znajomą!

– Ja też Miłość Waszą widziałem przed laty – odparł przybyły zawsze tym samym namiętnym i przerywanym głosem. – Byłem niegdyś na dworze tego pana, który się stał niegodnym imienia chrześcijańskiego księcia. Jestem Michno Zaręba. Porzuciłem księcia Przemysława nie mogąc patrzeć na jego obchodzenie się bezduszne z księżną, porzuciłem go, a teraz, teraz po świecie szukać będę dla niej mścicieli! Nie godzien jest siedzieć na tej stolicy i żeby go ziemia nosiła!

– Człecze szalony, śmiesz to mówić przede mną?! – przerwał mu Świnka z oburzeniem. – Gdybym świeckim był jeszcze, skarciłbym cię za to, bo szanuję pana tego.

– Szanujecie go, bo nie znacie, jak ja! – krzyknął Zaręba. – Nie byliście w kraju, nie wiecie, na co pozwalał, co się działo! Was to nie doszło, na co my oczymaśmy własnymi patrzyli.

– Nie sądź, abys sądzonym nie był – podchwycił kanclerz. – Człecze, upamiętaj się!

– Ja chcę być sądzonym! – odparł Zaręba. – Nie mam na sobie nieszczęścia niczyjego ani łez krwawych. Gdybym mógł, stanąłbym przeciw niemu na sąd boży!⁸⁹

⁸⁹ Sąd boży – rozpowszechniony w średniowieczu sposób postępowania sądowego opartego na przeświadczeniu, że Opatrzność przez widomy znak okaże winę lub niewinność oskarżonego. Rodzajami sądów bożych był pojedynek sądowy, próba ognia, próba wrzącej wody itp. Oskarżony, o ile był niewinny, powinien był wyjść z takiej próby bez ran.

– Raz jeszcze ostrzegam cię – groźnie zawołał Świnka – powściągnij język swój, przede mną stojąc! Dałem wam się schronić nie po to, abym słuchał obelżywych wyrazów na pana mego. Chcecie spocząć, milczeć nakazuję. – Dość tego!

– A wiecież, za co ja wołam o pomstę do Boga i dlaczego milczeć nie mogę? Wiecie, co się stało? – rzekł Zaręba.

Kanclerz przystąpił doń niespokojny wołając:

– Stało się co? Mów!

– Stało się – krzyknął Zaręba ręce do góry podnosząc – to, na co się z dawna gotowało! Wiedziałem, że się to tak skończyć musi! Dzisiejszej nocy z rozkazu księcia służebne udusiły Lukierdę!

Okrzyk zgrozy dał się słyszeć z ust wszystkich.

– Nie może to być! Potwarz jest! – zawołał kanclerz.

– Potwarz! – zaśmiał się Zaręba dumnie. – Ja wracam stamtąd, jadę z Poznania! Jedźcie, posłuchajcie, w ulicy wam lud powie, co się stało! Zabójstwo było jawne, wie o nim cały świat. Jęczy lud wszystek. Tak! Zaduszono nieszczęśliwą!

Zaręba jęknął, uderzył się w czoło, rzucił ku drzwiom i jakby spełniał obowiązek, rozwodząc wieść o morderstwie, siadł na koń z towarzyszem, lecąc dalej.

ROZDZIAŁ III

Noc z dnia trzynastego na czternasty grudnia na zamku w Poznaniu była przygotowaną już dniem poprzedzającym. Mina, zrozpaczona oziębłością księcia, rozgniewana, odgrażając się zemstą jakąś, kilka razy wpadała do Lukierdy i napatrzywszy się na nią, płacząc cicho, zdretniała, na pół oszalała cierpieniem, cofała się nie mogąc zdobyć na krok stanowczy.

Wieczorem wezwała do siebie Bertochę i poić ją zaczęła.

– Słuchaj no – rzekła drżąc cała – trzeba raz z nią skończyć. Przysięgam ci, zem to z jego własnych ust słyszała, że on sam mi powiedział: „Niech mnie od niej uwolnią!” Tak! Rozumiesz ty, co to znaczy? Dwa razy mi to powtórzył. On chce, aby był koniec temu!

Bertocha, która prześladowała Lukierdę z zjadłością zwierzęcia, co szarpie stworzenie bezbronne, ociążała, wahająca się, gdy przychodziło do stanowczego ciosu, na zbrodnię nie miała dosyć odwagi. Zamruczała, głową pokręciła, ramionami poruszyła, obawiając się szalonej Miny; gotową była męczyć, ale zabić... A tu niewątpliwie o morderstwo chodziło.

– Ona i tak lada dzień zdechnie – zamruczała popijając. – Ja się na tym znam. Niejedną już taką widziałam! Gdy idzie do kościoła, ślania się jak pijana, tchu już nie ma, raz w raz chwytą się za piersi wyschłe. Nie je, nie pije, ino wodę. W nocy rzuca się, jęczy i płacze.

– No, to po cóż dłużej ma męczyć nas i jego?! Ja ci powiadam, on mówił sam, że chce, aby go od niej uwolniono!

Bertocha krzywiła się, spuszczała oczy, z widoczną niechęcią słuchała tej rozmowy. Mina dolewała jej ciepłego wina z korzeniami, biegała, rzucała się jak w gorączce.

– Nie! To trzeba skończyć! Trzeba skończyć jak najprędzej!

Nachyliła się do ucha Bertochy i szeptała:

– Jak kurczę ją zdusić łatwo. Zobaczysz! Hojnie za to nagrodzi! Ona mu już tu... Prosi, aby go od niej uwolnić! Nikt w świecie wiedzieć nie będzie. Chora była, umarła!

– Ty i ja... nas dwóch dosyć – dodała z zjadłością Mina. – On kazał! Kazał!

Bertocha podniosła oczy, wino ją czyniło mężniejszą.

– Weźmiemy po niej wszystko! Ja dla siebie nie chcę nic! Ma jeszcze dosyć klejnotów, które w skrzynce zamyka... są ciężkie łańcuchy... bierz ty... bierz, co tylko jest.

Niemce oczy zaczynały gorzeć coraz jaśniej. Wstała.

– Dobrze to mówić – poczęła trochę ochrypłym głosem. – Ja wszystko wiem! Będzie kto słaby, konający, a jak przyjdzie duszy z ciała wychodzić, broni się okrutnie, ni jej podołać! Małe dziecko trudno udusić, a co dopiero niewiastę!

– Co? Ona za małe dziecko siły nie ma! – przerwała Mina. – Gdyby jej pod boki nie trzymali, do kościoła by się nie zawlekła. Przez izbę idąc chwytą się za ściany i ławy.

Bertocha wciąż niedowierzająco trzęsła głową.

– Ty myślisz – mruzczała – z tymi książęty dobra sprawa? Ja i to wiem. Powie: „Uwolnić mnie od niej”, powie: „Zabić”, potem sam ręce umyje i końmi rozszarpać każe! I to bywało! Co ich kosztuje słowo albo ludzkie życie?

– Otóż ja lepiej go znam niż ty! – odburknęła Mina.

– Nieprawda – oparła się Bertocha. – Jeszcze o tobie tu słuchu nie było, kiedym ja go małym chłopcem znała – i dobrze znała! Byłam ci i ja młodą!

Uśmiechnęła się znacząco.

– Kto by im wierzył! Zaklnie się na wszystko, a potem... wiecheć!⁹⁰

Minę nie nastraszyły te prorocтва. Wrzała gniewem, pilno jej było... Powiedziała sobie, że dłużej już nie wytrwa. Inne sługi miała zjednane, gotowe były przyjść w pomoc, trzeba jej tylko było zyskać Bertochę, aby mieć w niej współniczkę, nie wroga.

– Wszystkie klejnoty twoje! – mówiła ściskając ją. – Mało ci tego, ze swoich dam! Ja z dziewczętami zrobię wszystko, ale ty musisz być ze mną! Ona dziś ledwie chodzi, krzyczeńie będzie, nie posłyszysz nikt – zobaczysz.

Bertocha, która już z ławy powstała, jęcząc się na nią rzuciła.

– Nie chcę! Rób sama!

Niemka wina jej dodała.

– Pij no, pij! Tchórz z siebie! – zawołała. – Dziś z nią skończemy... Ty musisz! Ja mogę, a żebyś ty nie chciała... On czeka na to, kazał, nagrodzi. Nikt słowa nie powie. Umarła i po wszystkim...

Piła zamyślona Bertocha, a po głowie się jej kręciły klejnoty i łańcuchy, i rozkaz księcia, i zapewniona bezkarność łatwej zbrodni.

Ciągłe rozmowy o śmierci bliskiej, a nieuchronnej Lukierdy uczyniły ją prawie obojętną na nią.

Mina, czytając z niej, coraz pewniejszą była swego. Wybiegła prędko podpatrzeć, co robiła Lukierda. Jak zwykle w izbie jej sypialnej jedna lampka płonęła przed obrazem, druga na stole. Mroki panowały po kątach. Szerokie łóżce z rozwartymi oponami jeszcze stało puste. Księżna, chwiejąc się, chodziła po izbie ciemnej. Przyklękła raz przed obrazem Matki Boskiej, złożyła ręce, modlić się zaczęła i szlochała. Padła na ziemię, a gdy podnieść się chciała, musiała chwycić za ławę i z ciężkością wstać mogła. Godzina już była, w której do snu szła zwykle, lecz z pójściem do łóżka zwlekała. W nim sen ją nie brał, a jeśli skleił powieki, przerywały go marzenia. Zrywała się płakać, jęczeć, czasem zanucić i znowu paść na poduszki.

Mina do połowy drzwi rozwarła, rzuciła okiem chciwym, śledziła każdy ruch pilnie, każdą oznakę znużenia i osłabienia. Widziała, jak się za piersi chwytała, chwiała, słabła i, spuściwszy głowę, przypadła na ławie. Potem podniosła ją nieco, sparła na ścianie, dyszała ciężko, w gardle jej odzywało się coś jak chrypliwy głos konania.

Mina wpadła nazad do izby z rozpaloną twarzą. Po drodze coś szepnęła dziewczętom, które stały gromadą i czekały. Były to pospolite służebne, dziewczki silne jak parobcy, zuchwałe, życiem wśród dworu zepsute, a tego wieczora miodem przez Minę spojone. Śmiały się i szydziły czekając. Nic ich to nie obchodziło, co z rozkazu starszych uczynić miały. Bertocha po kubkach drzemała i dumiała, gdy Niemka wróciła. Dotknęła ją ręką rozpaloną, namiętnie drżącą.

– Czekać trzeba, aż się położy – mruzczała. – Wówczas...

Bertocha upojona skinęła głową potwierdzająco. Wmówiła już w siebie, że gdy Mina razem z nią iść miała, niebezpieczeństwa nie było. Dziewki mogły zrobić, co trzeba, im dosyć było skinąć na nie.

– Poduszki leżą przy łóżku na boku! – wołała przerywanym głosem Mina. – Gdy się położy, rzucim na nią, głosu nie wyda, znaku nie będzie.

Szeptaly już z sobą zgodne. Bertocha, gdy raz na to przystała, także co rychlej skończyć chciała, uwolnić się od oczekiwania, które ją męczyło. Mówiła sobie, że najpierwsza natychmiast pobieży do księcia i da mu znać, że chora pani... umarła. Wstała chcąc iść.

– Czekaj – zatrzymała ją Mina – siedź tu; pójdę, zobaczę... Nie trzeba jej płoszyć. Niech się położy i zadrzemie. Tak będzie lepiej i łatwiej.

⁹⁰ Potem... wiecheć – aluzja do stosowanych ówczesznie kar. Wieńce ze słomy zawieszane na skazanych były dodatkowym wyrazem pogardy.

Powtórnie wybiegła Mina i przysunęła się do drzwi. Lukierda chodziła znowu, nucila coś półgłosem, ślaniała się, jak wprzódy, chwytając za piersi i głowę. Wysłała do niej jedną z dziewcząt, aby jej godzinę snu przypomniała. Śmiało weszła, nawykła do obchodzenia się z księżną bez względu na jej dostojność i chorobę, jedna z najzuchwalszych służebnych. Stała, zakładając ręce na piersiach.

– Czas wam spać! – odezwała się.

Lukierda spojrzała na nią bez odpowiedzi.

– Czas iść spać! – powtórzyła. – A to my dla was na nogach być musimy! No, czas spać! – zawołała raz jeszcze, głos podnosząc i szydząc.

Księżna nic nie odpowiedziała. Chodziła powoli, przywykła była do takiego sług znęcania się. Odrętwiała już na nie.

Kilka razy powtórzywszy coraz zuchwalej to napomnienie, dziewczka przystąpiła do księżnej, za rękę ją ujęła i nie mogąc się obronić powlokła do łóża. Lukierda osłabła usiadła na nim, lecz w tejże chwili wstała prędko nastraszona i przechadzać się zaczęła. Drugi raz spróbowała dziewczyna za rękę ją ująć. Siłą jakąś gorączkową wyrwała się jej księżna, popatrzyła ze wzgardą i odeszła w drugi koniec izby. Mina przyglądając się temu zza drzwi przymkniętych, zżymała.

Dziewczyna odeszła pomrukując. Szeptaly wszystkie, stojąc pode drzwiami; głosy ich dochodziły księżną, ale to było powszednie z niej i jej nieszczęścia urągawisko. Łzy się rzuciły z oczów, płakać zaczęła. Mina dała im znak. Wiedziała, że po takim płaczu gwałtownym sen ją brał zawsze osłabłą. Lecz Lukierda, zamiast iść do łóża, wcisnęła się w róg izby i, oparłszy o ścianę, oczy zamknęła. Godzina była późna w nocy.

Mina i Bertocha czekały, kazawszy sobie dać znać, aż księżna sama się położy. Czekały na próżno.

Kury piałły już drugie, Lukierda drzemała oparta o ścianę, dziewczęta patrzyły przez szpary, niecierpliwąc się i przeklinając. Mina chodziła po swej izbie, teraz już potrzebując hamować Bertochę, która wyrwała się iść i kończyć... Była wpółpijana.

– Kiedy kończyć, to kończyć! – powtarzała. – Chodźmy! Zabijemy ją jak muchę.

Było po północy, gdy jedna z dziewcząt przybiegła dając znać, że Lukierda poszła do łóża. Zerwały się obie kobiety lecąc pędem. U progu coraz ciszej stapały, dziewczkom nakazując milczenie.

Otworzyły drzwi; na palcach weszła cała gromada. Już się podsuwały pod łóżo, gdy nagle Lukierda, jakby miała przecucie napaści, siadła na łóżu. W mroku ujrzała tę gromadę zbliżającą się w milczeniu i wydała krzyk przeraźliwy, rozdzierający, który rozległ się wśród nocnej ciszy. Mina, struchlała, nie chciała wierzyć uszom, aby ten głos tak silny, który mógł ludzi na zamku pobudzić, wyszedł z piersi wyschłej i osłabłej.

Księżna, drżąc, oczyma strasznymi patrzyła na nie, ręce jej wyciągnięte jak do odepchnięcia napaści skołowaciały w konwulsyjnym ruchu. Była to nie już przed chwilą dogorywająca, schorowana niewiasta, ale istota broniąca życia swego sił ostatkiem.

Mina, zawahawszy się chwilę, ogarnięta wściekłością jakąś pierwsza się rzuciła na nią. W tej chwili Lukierda z łóża wyskoczyła na izbę, biegła ku drzwiom, od których dziewczki zastępowały, odpychając ją, nie puszczając. Księżna poskoczyła ku oknu z szybkością, która zdumiała kobiety, co ją niedawno ledwie poruszać się mogącą widziały. I tu znalazła już rozpostarte ręce, co jej ucieczkę zapierały.

Mina, opamiętawszy się, jak szalona pędziła za nią. Bertocha stała jeszcze przerażona, gdy za Niemką rzuciły się służebne i, waląc się wszystkie na krzyżącą i opierającą Lukierdę, pociągnęły ją za sobą na łóżo.

Mina ogromną poduszkę, którą miała już przygotowaną, narzuciła jej na głowę i rozpaczliwy krzyk stłumiła. Widać było konwulsyjnie poruszające się ciało biednej męczennicy, potem ręce i nogi wyciągnięte straszliwie skostniały, zdrewniały i bezsilnie opadły. Niemka

dusiła z całych sił, a dwoje dziewcząt z zjadłością jej dopomagało. Krzyki i szamotanie się ustały, nastąpiła cisza złowroga. Bertocha z obawą przystąpiła spoglądając na łożo, ale twarzy księżnej widzieć nie mogła, bo poduszki okrywały głowę, a palce Miny, jak szpony wciśnięte w nie, dusiły jeszcze już zaduszoną.

Twarz mściwej dziewczki była dzikim szalem jakimś zmienioną, zęby ściśnięte zdały się chcieć pożerać ofiarę. Nie mogła czy nie śmiała jej puścić, aż sił zabrakło i Mina znudzona pochyliła się padając na podłogę. Bertocha odgarnęła poduszki. Z twarzą, na której wypiętnowały się męczarnie zgonu, z oczyma krwią zabiegłymi i już zeszkłonymi, leżał siny trup Lukierdy. Widokiem jego Bertocha się wytrzeźwiła. Strach jakiś ogarnął wszystkie niewiasty.

Mina tylko, podniósłszy się z ziemi, obłąkana rwać zaczęła trupa i układać, aby na nim śladu gwałtownej śmierci nie było. Lecz już się on nie dawał zetrzeć. Dziewki i dwie mordy sprawczynie stały jeszcze nad łożem, a poduszka obok leżąca zgnieciona i zmięta świadczyła o tym, co się tu przed chwilą dokonało, gdy drzwi się otworzyły i z lampką w ręku wpadł książę.

Krzyki doszły uszów jego, szedł przeczuwając coś, przelękły, a dość mu było okiem rzucić na twarz Miny, na łożo, na dziewczki jeszcze po walce drżące nią, z włosami potarganymi, aby całą straszną prawdę odgadnąć. Książę przyskoczył do łoża i stanął przy nim zbladły jak trup, oczyma błędnymi rzucając dokoła. Mina wlepiła w niego wejrzenie zwycięskie jakieś, oszalała; nie uciekała ani się zapierała.

Przemysław nie mógł przemówić, dyszał wzruszony, zdjęty oburzeniem i grozą. Oczy jego z trupa obróciły się na kata.

– Masz, czego chciałeś! – zawołała Niemka. – Powiedziałeś sam: „Uwolńcie mnie od tego trupa...” Spełniłam rozkazanie twoje. Tyś rzekł!...

I wskazała nań palcem zuchwale. Książę, posłyszawszy to, chwycił nóż, który miał u pasa, podniósł go i cisnął nim na Minę. Oczy jego płonęły, usta się trzęsły.

Niemka chciała go wyzywać jeszcze, lecz strach ją ogarnął nagle, z krzykiem rzuciła się do drzwi. Przemysław gnał ją, podniósłszy rękę, do progu; tu wysilony padł na ławę, ręce bezsilne obwisły. Dziewki i Bertocha stały jeszcze dokoła łoża.

Książę, nie patrząc na nie, nie rzekłszy słowa, rzucił okiem przestraszonym ku łożu i nie mogąc znieść widoku, wysunął się z izby, z podsienia wyszedł na chłód zimowy; stanął wryty. Tu go spartego o słup zastał czuwający książdz Teodoryk, który czatował zawsze nań, śledząc każdy krok jego.

Słabym głosem, chwytając go za rękę, książę się odezwał:

– Lukierda... nie żyje! Ojciec... popełniono zbrodnię, zabójstwo... Jam nie winien! Jam nie winien!

Teodoryk podniósł oczy ku niemu.

– Któż by śmiał was obwiniać – rzekł drżący. – Wy sami nie dawajcie pozorów... Idźcie spokojnie do mieszkania, mnie zostawcie staranie wszelkie.

To mówiąc, lektor ujął go za rękę i poprowadził do sypialni, sam zaś natychmiast poszedł do sypialni księżnej.

Zastał tu jeszcze wszystko, jak było przed chwilą. Bertocha tylko usiadła na ziemi, nie mogąc się już na nogach utrzymać. Dziewki cisnęły się do kątów i popadały na ławach. Trup leżał pokurczony, zastygły, siny i blady. Łoże poszarpane, poduszki zmięte i podarte, na jednej z nich plama krwi świeża świadczyła o popełnionej zbrodni.

Książdz Teodoryk, stanąwszy u łoża, choć jako duchowny, co dzień się niemal z widokiem śmierci spotykał, zdrętwiał ze strachu i oburzenia. Łza mu się zakręciła w oku, ale nie czas było boleć, należało pana ocalić i dom książęcy od poszlaku zbrodni oczyścić. Książdz natychmiast rozkazał Bertosze i sługom przyodziewać zwłoki i ułożyć je tak, ażeby śladów gwałtu na nich nie było.

Wszystkie one, co na żywą nie lękały się rzucić, teraz zmarłej dotykać się bały, lecz ksiądz Teodoryk znalazł w sobie dość siły, aby nakazać posłuszeństwo. Głos jego, suknia, trwoga, która ogarnęła służebne, zmusiły je, iż przystąpiły do zwłok, a Bertocha pierwsza poczęła ręce wyciągać, składać i powieki zamykać.

Do drzwi doszedłszy, zawołał ksiądz Teodoryk na komorników, którzy się pobudzili, i u progu postawił ich na straży, jednego wysłał do kościoła. Uderzono w wielki dzwon za umarłych.

Na całym zamku, w którym już wprzód poruszenie jakieś czuć się dawało, odgłos ten dzwonu, bieganie czeladzi rozbudziły śpiących. Kto żył, wybiegał, rozpytywano się, skupiano.

– Księżna umarła! – wołali jedni.

– Księżnę uduszono – szeptali drudzy.

Oskarżono Minę jawnie, bo widzieli strażnicy wybiegającą z mieszkania księżnej i jak szaloną kołującą po podwórzach. Z dziewcząt, które do mordu nie należały, wiele o nim wiedziało, inne pode drzwiami przypatrywały się, gdy go spełniano. Rozniosło się opowiadanie o nim po zamku, po mieście. Z nocy stał się dzień i trwoga jakaś padła na ludzi. Gromady ludu zbierały się na podwalach, cisnęły do wrót, krzyki, jęki odgrazania słyhać było.

Minę, gdyby się naonczas pokazała, rozszarpałoby może pospólstwo, ją za główną uważając sprawczynię. Inni głośno obwiniali samego księcia. Dzwony żałobne wtórowały temu wrzaskowi tłumu. Bramy zamku musiano podwójną strażą obstawić.

Wewnątrz kasztelan Tomisław, choć nie miał wydanych rozkazów, usłyszawszy o mord obwiniających Minę, posłał szukać jej. Ludzie wpadli do mieszkania, które zajmowała, znaleźli w nim nieład, skrzynie pootwierane, suknie porozrzucone, lampkę płonąca jeszcze, ale jej nigdzie ni śladu. Mówiono, że wprost od trupa skoczyła na konia, wrota sobie kazała otworzyć i nim w zamku się poruszono, uszła. Ścigać ją nie śmiał kasztelan.

Ksiądz Teodoryk sam zajmował się przygotowaniem do pogrzebu, tak aby z dniem nadchodzącym ciało wystawionym być mogło i przeniesione do kościoła. On o wszystkim pamiętać i rozporządzać się musiał, bo książe siedział niemy, przybity i na pytania nie odpowiadał. Z miasta od jednego z tych cieślów, którzy się zajmowali wyrabianiem trumien, jakie naonczas używano (wydrążanych w jednej sztuce dębowego drzewa i wiekiem pokrywanych), sprowadzono taką kłodę dębową i pokryto ją sukniem szkarłatnym.

Te, co zamordowały księżnę, zmuszone były same ją odziać i włożyć do trumny. Ksiądz Teodoryk najwspanialsze kazał wydobyć szaty, ale gdy tych szukać przyszło, okazało się, iż księżna ich nie miała, że i one, i klejnoty, opony, i wszystkie bogactwa Mina sobie przywłaszczyła. Stamtąd więc musiano je przynosić, choć niecałą już grabież znaleziono.

Długa noc grudniowa zbiegła na tych przyborach do pogrzebu, których ksiądz Teodoryk nie odstępował. Nad ranem leżała już Lukierda w trumnie, w szatach książęcych, a dokoła stały pozapalane ogromne pochodnie i duchowieństwo z katedry otaczało katafalk, śpiewając modlitwy za umarłych.

Pomimo starań, aby lice jej, które pobielono, nie zdradzało tajemnicy straszliwej nocy, wyraz twarzy napiętnowany był nie spokojem konania, ale męczarnią. Dla nikogo nie było wątpliwym, że nieszczęśliwa Lukierda padła ofiarą jakiejś zbrodni, której przyczyn szukano wysoko. Szemrano przeciwko księciu.

Przemysław całą noc tę straszną przesiedział w izbie swej nie słysząc, co mu donoszono, nie rozumiejąc, co mówiono do niego. Chociaż nie czuł się winnym tej zbrodni, miał ją jednak na sumieniu. Niebaczny wyraz jeden, wyrzeczony w chwili znieczierpliwienia, Niemka mu rzuciła w oczy jak policzek! Obwiniła jego o śmierć księżnej⁹¹. Nad rankiem, jakby ocknąwszy się, Przemysław kazał kasztelana przywołać do siebie.

⁹¹ Księżnej – w pierwodruku omyłkowo „królowej”... Malkontent (z włos.) – niezadowolony; tu: niechętnie

– Gdzie jest Niemka, Mina?! – zawołał. – Jeśli znajdziecie ją, uwięzić, jeśli zbiegła, szukać! Jam nie winien tej śmierci! Jam nie winien!

Powtarzał te wyrazy, którymi więcej się obwinał, niż oczyszczał, nie bacząc, jakie czyniły wrażenie. Kasztelan natychmiast rozesłał pogonie, ale przewidzieć było można zawczasu, iż zręczna a śmiała Niemka, dla której męską odzież łatwo wdziać było, która miała przyjaciół i zauszników, łatwo mogła ujść ścigającym.

Blady dzień zimowy wstał nareście nad zamkiem, we wszystkich kościołach bito we dzwony. Pomimo grudniowego chłodu, lud, który się u wrót gromadził, nie ustępował, a gdy nareście otworzyć musiano, wlał się cały na podwórcę i do kościoła.

Ciało Lukierdy jeszcze w sypialni na marach leżało. Od księcia przyszły rozkazy, aby pogrzeb uczynić jak najwspanialszym. Przemysław nie ukazywał się jeszcze. Na tym samym miejscu, na które padł, powróciwszy, siedział nie mogąc się poruszyć, drżący, zziębły, obłąkany. Takim znalazł go ksiądz Teodoryk, który gdy wszystkie przygotowania ukończone były, pomyślał nareście o panu.

– Miłościwy Książę – odezwał się – męskie serce przystało mieć i w najcięższych razach.

Przemysław oczy podniósł.

– Obwiniają mnie? – zapytał. – Prawda? Mnie winią? Mów! Palcami wytykać mnie będą jako zabójcę! Jam nie winien! Ta niepoczciwa niewiasta dopuściła się zbrodni. Jeśli ją pochwycę, kołem bić i końmi rozszarpać każę! Ojczy mój, jam nie winien!

Ksiądz Teodoryk milczał, głowę spuściwszy.

– Ale któż uwierzy w niewinność moją? – począł książę. – Nie żyłem z nią, była bezpamiętną; powiedzą, że ja chciałem pozbyć się chorej, wstrętliwej niewiasty. Ojczy, mów! Patrzył trwożnie.

– Jam ani słuchał, co mówić mogą, anim się chciałem dowiadywać – rzekł ksiądz Teodoryk spokojnie. – Pospólstwo może pleść potwarze, ale cóż gawiedzi głosy ważą?

A po chwili dodał:

– Miłościwy Panie, aby usta zamknąć ludziom, potrzeba iść do kościoła. Musicie być na pogrzebie przytomni. Przemysław, jakby nie słysząc, rzekł żywo:

– Niech będzie wspaniały pogrzeb, najwspanialszy! Niech trwa nabożeństwo! Proście biskupa, mówcie duchownym, niech się modlą za nią!

Duchowieństwo ze wszystkich kościołów i klasztorów już zwołane – rzekł, uspokajając, Teodoryk.

Przemysław kazał sobie podać szaty uroczyste. Ubierał się, a raczej dawał się odziewać drżąc jeszcze. Gdy wychodzić przyszło, rzucił się na ławę bezsilny. Ksiądz Teodoryk, widząc go osłabłym, wina przynieść kazał i zmusił go do wypicia pół kubka. Jadło przyniesione odepchnął.

Nim wyszedł, książę wydał rozkaz jeszcze, aby całą służbę żeńską zamkową natychmiast precz wyżeniono. Ksiądz Teodoryk uczynił uwagę, czy nie lepiej je było zatrzymać pod strażą, aby bezkarnością nie dać powodu do obmowy. Nie odpowiadając mu, książę dał znak tylko, aby postąpił, jak sam zechce. Lektor rządził tu teraz wszystkim, rozkazy wydawał, nikt mu się nie śmiał sprzeciwiać.

W biały dzień już wzięli komornicy trumnę na barki, którą ledwie dwunastu ich mogło podźwignąć, i wraz z duchowieństwem zanieśli do kościoła. Trumna odkryta była, ale niesiona górą zwłok dojrzeć nie dozwalała.

Komnaty Lukierdy stały teraz puste i na oścież otwarte. Bertocha leżała w gorączce, dziewczki pod straż oddano. We dworze panowało zamieszanie i trwoga. Księżna obudzała li

tość u wielu świadków swego losu, która się teraz w oburzenie zmieniała przeciwko mordercom. Powieści o tej strasznej nocy, z ust dziewcząt pochwytnane, chodziły z ust do ust, coraz powiększane i barwione.

Przemysław we wszystkich niemal budził wstręt i trwogę jako bezlitosny okrutnik. Mogłóż się to stać bez jego wiedzy? Niewielu starało się na próżno dowodzić, że księżna umarła śmiercią, dawno już przewidywaną, nikt im nie wierzył. Byli ludzie, co krzyki słyszeli; Mina uciekła; dziewczęta plotły i oskarżały wszystkich, aby siebie oczyścić.

Było już blisko południe, gdy księżę odziany żałobnie, w towarzystwie księdza Teodoryka, mając u boku kasztelana Tomisława, wyszedł z izb swoich do kościoła. Podwórcę pełne było ludzi.

Zaczęto mruzczyć: „Idzie!” i oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Gdyby nikt i nic go nie obwinało, samo oblicze nagle zbladło, błędny wzrok, wyraz trwogi, wstydu jakiegoś, upokorzenia, które się przez przybraną przebijało dumę, wskazałoby go jako winowajcę.

Ludzie z dala patrzali milczący i mówili w duszy: „On ją zabił!”

Chciał iść krokiem bezpiecznym i śmiałym, lecz plątały mu się nogi, na skroń występował pot kroplisty, paliły go tych wejrzeń tysiące, które czuł, że nań padały jak kamienie. Rad był pośpiechem skrócić niedługą drogę do kościoła, która mu się wiekuistą wydawała, nieskończoną.

Ksiądz Teodoryk hamował kroki jego. Stąpać musieli powoli wśród tego milczącego tłumu, wprost idąc na światła palące się u trumny, w której Przemysław, nie widząc jej, oglądał trupa oczyma duszy, takim, jakim go widział w chwilę po zgonie. Mimowolnie na myśl mu przyszło, jak na ten zamek wjeżdżali po raz pierwszy, jak ona drżąca, blada, szła klęknąć u tego ołtarza, przed którym teraz leżała bezduszna.

Nim Przemysław doszedł do drzwi kościelnych, z których coraz głośniej rozlegał się płaczliwy śpiew księży, wszystkie siły jego się wyczerpały, musiano go w progu podtrzymać, aby nie padł. Chciał tu stanąć, wiedziono go dalej, dalej aż pod samą tę trumnę, na podwyższenie, z którego twarz jej miał ujrzeć. Gdy nareście wstąpił na stopnie siedzenia i rzucił okiem na blade lice, zdało mu się, że usłyszał głos wychodzący z ust zamkniętych: „Przebaczam ci – lecz Bóg...”

A z głębi kościoła przynosił mu szmer tłumu słowa Zaręby:

„Karan będziesz śmiercią gwałtowną, jaką poniosła ona...”

ROZDZIAŁ IV

Pogrzeb księżnej jeszcze się nie dokonał, ciało właśnie do grobów spuszczać miano, gdy na zamek wieść przyniesiono, że mianowany przez papieża arcybiskup gnieźnieński Świnka przybywa. Wiadomość ta jedna może mogła na chwilę odciągnąć myśl Przemysława od tej trumny i od krwawych wspomnień strasznej nocy.

Wybór ani szczęśliwszy, ani pożądanwszy żaden nie mógł być dla księcia, ale razem mniej spodziewany. W człowieku tym, którego rycerzem pamiętał, któż mógł odgadnąć przyszłą głowę Kościoła polskiego. Przemysław uradował się razem i zasmucił, gdy mu o tym znać дано. Potrzebaż było, aby ten mąż, na którego on miłość i poszanowanie chciał zasłużyć, przybywał właśnie w tej chwili, kiedy jego o zbrodnię głos ludu obwinał.

W czasie ostatnich modlitw, gdy zwłoki pokryte wiekiem miano spuszczać do podziemia, księżę postrzegł naprzeciw siebie w stallach tego, który po długim niewidzeniu zjawiał mu się w najcięższej życia godzinie. Świnka oczyma badającymi, groźnymi niemal, smutnymi razem patrzył na niego. Była w tym wejrzeniu i litość, i oburzenie, i wielka wyższość sędziego, który ponad winowajcą stoi.

Przemysław spuścić musiał wzrok, na piersiach jak kamień ciężył mu ból niewysłowiony. Stał przed tym pasterzem jak obwiniony, który się nigdy nie potrafi oczyścić. On sam mówił się niewinnym, czuł winowajcą.

Wszelkie usiłowania czynione, aby sprawczynię mordu pochwycić, były bezskuteczne. Pogonie na trop jej wpadły, uszła tam, gdzie pewną bezkarności była, do margrabiów brandeburskich, na dwór któregoś z Ottonów, u których powinowatych miała. Tam dosięgnąć ją nie było sposobu.

Wieczorem po pogrzebie, który wspaniałością przeszedł wszystkie, jakie tu ludzie zapamiętali, na zamku dla duchowieństwa zastawianą była stypa, chleb żałobny, którego obyczaj u nas od czasów pogańskich się utrzymał. Natłok był wielki, gdyż spodziewano się, że Przemysław choć na chwilę przy stołach się ukaże. Omylono się wszakże, księżę wprost z kościoła przejściem bocznym, nie postrzeżony udał się do komnat swoich, do których Świnkę i biskupa Jana prosić kazał.

Dni walki z samym sobą, jeśli go nie uspokoiły, to przynajmniej panem siebie uczyniły. Posepna twarz mniej zdradzała zgryzoty sumienia i niepokój ducha. Męczarnię człowieka pokrywał dumą księżęcą. Ksiądz Teodoryk z podziwieniem patrzył na tę moc jego nad sobą.

Gdy Świnka wszedł, Przemysław wstał, witając go z głębokim poszanowaniem, badał go oczyma, lękając się znaleźć zbyt surowym. Nominał oblicze miał spokojne, ale sędziowskie. Łatwo się było domyśleć, że głos publiczny doszedł już do niego.

Księżę począł, wypowiadając radość wielką z mianowania arcypasterza.

– Tęskniłem dawno za tym, abyśmy ojca duchownego mieli, alem się nie śmiało spodziewać tak szczęśliwego dla nas wyboru. Nie umiem wyrazić, jak mnie on w moim strapieniu ciężkim wielce rozradował i pocieszył. Witaj nam, pożądaný pasterzu nasz!

Biskup Jan, mąż poważny, niepospolitego umysłu a żywego mimo wieku temperamentu dodał, iż sam Bóg zsyłał im takiego wodza.

– Z nas duchownych starych, tutecznych – rzekł – cośmy znani i stosunkami związani, żaden tego, co wy, nie potrafi. Was nic nie osłabia i nie kępuje. Bóg niech będzie błogosławiony!

– Ja mówię tu, com mówił, gdy mi to brzemień kładziono – odezwał się Świnka. – Niech się stanie wola Twa, Panie, gdy kielicha tego ode mnie odwrócić nie chcesz.

Kanclerz Wincenty wtrącił coś o swej podróży, biskup o chwili smutnej, w której przyszły pasterz przybywał, jakby panu niosąc potrzebną pociechę.

Wszyscy, oprócz samego nominata, nalegać zaczęli, aby czasu nie tracąc, natychmiast przybywającego wyświęcić. Świnka się temu nie sprzeciwiał. Ksiądz Jan biskup poznański oznajmił, iż Tomasz wrocławski, Gosław płocki i Wolmir lubuski, i biskupi, byli już zawiadomieni przez wysłanych spiesznych gońców, aby się natychmiast do Kalisza stawili.

– A ja wam tam też towarzyszyć będę. – rzekł Przemysław – abym pierwszy powitał głowę Kościoła naszego i odebrał błogosławieństwo.

– A na gody – dodał wesoło ksiądz Jan – Gniezno się już pocieszyć będzie mogło, w ścianach swych witając pasterza.

Świnka w czasie tych wynurzeń siedział wpatrzony w księcia, który wzroku jego wytrzymać nie mogąc, oczy odwracał. Rozmowa stała się powszechna, trwała dosyć długo, a gdy w końcu biskup Jan poruszył się do wyjścia, ksiązę Świnkę słowem zatrzymał jeszcze u siebie.

Zostali sami. Przemysław namyślał się długo, nim rozpoczął poufną rozmowę, której pożądał.

– Ojciec mój – odezwał się – nigdyście mi bardziej upragnionymi przybyć nie mogli, ale nigdy boleśniej by mi nie było stawać przed wami. Wiem to i czuję, że patrzycie na mnie jak na obwinionego, grzechem ciężkim skalanego człowieka.

– Grzech jest spadkiem wszystkich ludzi po pierwszych rodzicach – odparł Świnka – ale po Chrystusie skrucę powinniśmy dziedziczyć.

– Grzech, jeśli jaki ciąży na mnie – dodał ksiązę żywo – nie tak wielki jest, jaki ludzie źli kładną na mnie. Wiecie pewnie, ojciec, oni mi przypisują...

Tu mu prawie zabrakło głosu i krew twarz oblała.

– Przypisują mi – rzekł – śmierć żony... Nie jestem jej winnym. Nie nakazywałem, nie pożądałem jej nawet, choć mozem się mimo woli przyczynić do tego, co się stało... Tak, ojciec, przed tobą nie chcę mieć tajemnic... zmarła śmiercią gwałtowną, z rąk domowników... główna sprawczyni mordu uszła i ukarać jej nie mogłem. Winnym jestem i niewinnym.

Uderzył się w piersi.

– Chciałem się z tego wyświadczyć przed wami...

Świnka słuchał zasmucony i milczący.

– Kajać się trzeba – rzekł – aby Boga przebłagać. Jeżeli choć cień grzechu czujecie na sobie, obmyjcie go.

– Jam gotów do pokuty, do ofiar – zawołał ksiązę – bylebym przebłagał mściwą rękę bożą! Ale jakże zetrzeć potrafię z siebie plamę w oczach ludzi? Jak się oczyścić przed nimi?

Tu zatrzymał się chwilę i począł powoli:

– Wiecie, ojciec mój, żem po stryju Pobożnym wziął w spadku nie tylko ziemie jego, ale myśl, którą on przez cały żywot swój karmił. Chciałem Chrobrego koronie blask dawny przywrócić. Jakże ją włożyć na skroń, na której ludzie krew niewinną widzą?

Załamnął ręce.

– Uspokój się, Ksiązę – odparł Świnka. – Co Kościół może dla uspokojenia Was i pokrzepienia, to uczyni. Wielkie posłannictwo twoje. Obok niego wszystko małym. Lecz czystym być Wam potrzeba... w sumieniu.

To mówiąc, powstał.

– Pokutujcie – dokończył – my się za Was modlić będziemy.

Przemysław przystąpił doń i ze łzami ściskając go zaczął.

– Ojcie – zawołał – ratuj mnie od samego siebie! W opiekę ci się oddaję. Nieszczęśliwy jestem nad słowo wszelkie.

Cichym szeptem skończyła się rozmowa, z której Świnka wyszedł poruszony, zadumany i smutny.

Wpędce następujące uroczyste wyświęcenie arcybiskupa, na które już następnego dnia do Kalisza wybierać się było potrzeba, nie dało księciu w samotności dręczyć się myślami, które, gdy sam pozostał, trapiły go strasznie. Z wielkim i wspaniałym dworem towarzyszył Śwince do Kalisza, gdzie znaleźli już oczekujących na nich biskupów.

Nie wszyscy może oni, równie z księdzem Janem poznańskim radzi byli wyborowi wodza nowego. Doszła już do nich wiadomość o nim, znano go z energii i rozumu. Miał to być wódz i głowa nie z imienia tylko, ale rzeczą samą, nie dający się powodować nikomu. Z pewną obawą spoglądano na tę postać rycerską, poważną, która wyrażała obawę, zdając się jakby z miedzi wykutą.

Gdy wyświęcony arcybiskup, któremu Przemysław ofiarował drogocenny pierścień, raz pierwszy od ołtarza stanął błogosławić ludowi zebranemu, w tym, przeobrażonym łaską arcykapłanie, ujrzeni wszyscy i poczuli wodza, który potęgę swą znał i siłę.

– Ten – mówili cicho duchowni – nie ulęknie się nikogo.

Na zamku kaliskim, w którym Przemysław duchowieństwo przyjmował, kasztelanem był postawiony od niedawna, Sędziwój, syn dawnego wojewody poznańskiego Jana, mąż, który na dworze Przemysława i z nim prawie zrósł razem, zdolny, śmiały, lecz opryskliwy i dumny. Mimo tego stanowiska, jakie zajmował, mówili ludzie, iż upokorzonym się czuł, było mu go za mało i przeciw księciu niechęć żywił. Sądził pewnie, iż po ojcu swym województwo poznańskie weźmie w spadku.

Przed przybyciem księcia i duchowieństwa na dni parę, Sędziwój, nie bardzo rad zapowiedzianemu zjazdowi, przy którym on, co tu panował, podrzędne miał stanowisko, rozporządzał właśnie gotując się na umieszczenie gości, gdy do wrót postrzegł idącego ku sobie pieszo dobrze znanego Zarebę.

Wiedział dobrze, co go spotkało i że on jeździł po swoich, podburzając tajemnie powinowatych i Nałęczów przeciwko księciu. Za młodu Zareba z Sędziwojem byli w zażyłości wielkiej. Oba charakterów podobnych, tym się tylko różnili może od siebie, iż Zareba nie krył się nigdy z tym, co myślał i wybuchał otwarcie, a kasztelan skrytym był i umiał się za takiego podać, jakim mu być było potrzeba.

Z dawnych czasów wiedział to Zareba, iż Sędziwój zęb miał do księcia, choć płaszczył się przed nim dla łaski. Tymi pokłony i pochlebstwa doszedł do tego, że mu kaliski zamek zdano. Tego mu było za mało. Wojewodą w Poznaniu i u boku księcia chciał być, aby nim zaważać, a to mu się nie powiodło.

Przy pozorze rubasznym, Sędziwój skryty był i zręczny, a całkiem się nigdy nie zwierzał nikomu. Zdziwiło go, iż wywołany⁹² Zareba, jawny wróg księcia, śmiał mu się tu stawić w chwili, gdy właśnie gotował się na przyjęcie jego. Nie na rękę mu to było, sądził wszakże, iż może ukorzony i żałujący porywczosci swej, chce przez niego prosić o przebaczenie.

Zareba śmiałym krokiem zbliżał się ku niemu, z dawną poufałością, dziś już niewłaściwą, bo jeden był teraz u góry, a drugi spadł nisko.

– Nie zaprzecie się mnie przecie w niewoli mej? – odezwał się przybywający.

– Dziwić się muszę – odparł Sędziwój – iż macie odwagę mnie, urzędnika z książęcego ramienia i sługę jego, do dawnej wyzywać przyjaźni. Głoszą cię wszyscy wrogiem naszego pana.

⁹² Wywołany – tzn. ogłoszony przestępcą i ścigany

– I jestem nim – rzekł głośno Zaręba. – Wy, panie kasztelanie – dodał kładnąc przycisk na tytule – nie bądźcie zbyt dumni z łaski, jaką macie u pana! Co mnie spotkało wczoraj, wam się jutro może przygodzić. Potem i taki wywołaniec jak ja zda się.

– Dość tego w podwórzcu – zamruczał Sędziwój. – Szczęście, że was tu nikt nie zna, chodźcie do izby za mną.

– Ano, nie uwieźcie mnie przecie! – rozśmiał się śmiały Michno.

– Póki nie muszę, nie zrobię tego – rzekł kasztelan.

Szli do zabudowania oba jakoś nieochoczo.

Kasztelan na zamku zajmował izby przednie po księciu Bolesławie, ale właśnie z nich dla księcia i gości ustępować musiał. Powiódł więc Zarębę do komory, w której nieład panował, bo do niej zrzucono ruchomości jego własne, nie mając ich czasu ustawić. Spojrzawszy na Zarębę, który opalił się srodze, schudł i twarz miał pofałdowaną namiętnością, jaka w nim wrzała, Sędziwój uśmiechnął się litościwie.

– Cóż – spytał. – Nie sprzykrzyło ci się jeszcze, jak lisowi przez psy gnanemu, wymykać? Chcesz przebłagać pana?

– Kto? Ja? Przebłagać? Jego?! – wybuchnął Zaręba. – Ja? Toś zgadł! Tak ci ty go kochasz i znasz jako i ja, choć niby on łaskaw na cię, a ty na niego. Starzyśmy towarzysze, nie kłammyż przed sobą, bo to na nic. Ja nie myślę kryć, co w głowie mam, a do ciebie nie przychodzę prosić o wstawiennictwo, ale cię buntować.

– Toś bardzo źle padł – odrzekł zimno kasztelan. – Jam nie dla was.

– A któż to wie? – poufale się rozsiadając, ciągnął Zaręba dalej. – Pogadajmy no, po staremu.

Sędziwój ciekawy być musiał, nie zamknął mu ust, czekał.

– Książę ciebie nie bardzo lubi – mówi Michno – to wszystkim wiadoma rzecz i tobie. Dał ci, zbywając się, kasztelanią dla pamięci ojca twego i żeś mu się nisko kłaniał. O województwie ci się śni, ale nadaremnie. Ty go nie dostaniesz. Zresztą, co tu wodę warzyć? Przemyśław wasz na swym księstwie się nie ostoï. Ziemianie go wyżeną. Zbójcą jest żony własnej, wszetecznikiem, a tyranem chce być nad nami. Brandeburki na niego zęby ostrzą, Ślężacy go nie cierpią i zabiorą, co ma, Pomorza nie doczeka. Śni mu się korona, będzie ją miał w piekle u Lucypera!

– Milczże! – ponuro przerwał Sędziwój.

– Dlaczego mam milczeć? – odparł Zaręba. – Słuchaj czy nie, ja mówić muszę. Gdybyś rozum miał, a mnie posłuchał, wyżej byś poszedł, niż jesteś.

Kasztelan przerwał znowu niecierpliwie:

– Bzdurstwa pleciesz!

– Sądz, jak chcesz! Ja jadę z Wrocławia od księcia Henryka. Kazano mi cię wymacać!

Przelękły i zdziwiony Sędziwój się rzucił.

– Milczże ty mi ze swoim księciem! Ja was obu znać nie chcę! Jeśli mi dłużej takie pleść będziesz niecnoty, kto ci ręczy, że chwycić nie każę?

Zaręba się rozśmiał.

– Nie każesz chwycić i nie wydasz! – zawołał. – Ja cię znam. U ciebie to we środku, co u mnie na wierzchu. Nie zmuszam cię do niczego, aleśmy towarzysze starzy, dobrze ci życzę. Trzeba się na dwie strony oglądać. Kto wie, co będzie.

– A tyś to się oglądał, gdyś w tę kaszę wlaź, w której siedzisz? – odparł Sędziwój.

– Okaze się to później – rzekł Zaręba. – Teraz mówmy, jak na starych towarzyszków przystało, choć ty jesteś kasztelanem, a ja włóczęgą. Mówię ci naprawdę. Książę Henryk wrocławski rad by się z tobą bliżej poznał. Zjedź kiedy do niego, może się to wam na co przyda.

Sędziwój rzucił nań oczyma badającymi.

– Ależ cicho – szepnął zmieszany. – Zaręba dał mu znak oczyma.

– Słuchaj – dodał – księciu twojemu nie pomoże nic, musi on paść. Jutro, za rok, dwa, ja nie wiem, choćby się i królem ogłosił, nie minie go to. Gdy go ukoronują, czego mu się chce, tym ci prędzej padnie. Ziemianie wiedzą, co król znaczy. Teraz nimi pomiata, księżciem będąc, potem na karki wsiedzie.

Mówiąc to Zaręba ciągle na Sędziwoja spoglądał, badając skutku swej mowy. Kasztelan nie pokazywał po sobie nic oprócz niepokoju i zniecierpliwienia.

Michno zmienił nieco mowę.

– Za długoletnie służby wasze nie możecie się wielkimi łaskami Przemysława pochwalić – rzekł. – Bolesław Pobożny was za życia uczynił ochmistrem swego dworu, należało się wam już coś więcej niż kasztelania kaliska.

– Należało mi województwo – wyrwało się Sędziwojowi – nie komu, ino mnie. Stała mi się niesprawiedliwość!

– Przemysław wam nie sprzyja – dodał Zaręba. – Służba wasza idzie marnie.

Wtem przerwano im rozmowę. Zaręba zabiegliwy a nieustraszony, choć się zbliżała chwila przyjazdu księcia, wieczorem znowu powrócił do Sędziwoja.

– Cóż? Wy tu jeszcze? – zapytał go kasztelan. – Toć to szaleństwo! Gdyby kto ze dworu księcia nadjechał, a zobaczył was...

– Tego mi właśnie potrzeba – rzekł Zaręba obojętnie. – Mam tam dużo przyjaciół, których bym rad widział.

Sędziwój był nastraszone tym zuchwalstwem.

– Natkniesz się na kogo, co cię może wydać i kazać ująć! – zawołał. – Idź stąd na skęcenie karku, ja cię tu widzieć nie chcę. Idź!

– Bądźcie o sobie spokojni – odezwał się Zaręba. – Nie możecie przecież przy takim zjeździe wiedzieć o każdym, co się tu płata. Ja się nie boję i zostanę. Nie taję się z tym, że będę przeciwko księciu podburzał, ale to moja sprawa, wy za to nie odpowiadacie.

Śmiało mu popatrzał w oczy.

– Prędzej, później i wy się do nas przyłączycie – dokończył. – Krzywdy wyrządzonej zapomnieć trudno, a ja wam ręczę, że książę Henryk ją wynagrodzi.

Jak się stało, że Zaręba w izdebce ciasnej na zмку pozostał na noc i w czasie zjazdu przebywał w Kaliszu, o czym kasztelan wiedział, wytłumaczyć trudno. Gdy wieczorem po uroczystości wyprawiono ucztę na zмку, a na ludzi mniej zwracano uwagi, bo wielu nieznanym z biskupami napłynęło, Zaręba w ciemnych przejściach czatował na podpitych dworzan Przemysława, między którymi miał przyjaznych wielu. Do ich liczby należał młody Ząb, syn łowczego gnieźnieńskiego, dawny drużyna Nałęcz i Michny, który zobaczywszy tu Zarębę, przeląkł się wielce.

– Jakżeś ty się tu śmiało wcisnąć?! – zawołał. – Pozna cię kto i wskaże, to zginiesz.

– Nie boję się – rzekł Michno, odwodząc go na stronę. – Widzisz, że śmiało chodzę, niech cię to nauczy, że ja tu swoich mieć muszę i siebie jestem pewny. Wasz książę otoczony jest takimi jak ja, co mu życzą właśnie jako ja i Nałęcz.

Ząb, nie dając się uspokoić, drżał i wyrывał się, a Zaręba śmiał się.

– Tchorz jesteś – mówił – połowa ludzi teraz napitych, druga zajęta tym, żeby się upiła, nikt na mnie zważać nie ma czasu. Ja ciebie nawracać nie myślę, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć.

I trzymając Zęba za pas badał go nieustraszony Michno.

– Mów mi, co Przemko robił po śmierci księżnej, gdy rozkaz jego spełniono? Patrzaliście nań?

– Rozkazu nie dawał – odparł Ząb. – Nieprawda! Rozpaczał, gdy się to stało. Mina przed pomstą jego natychmiast uchodzić musiała, o mało ją nie zabił.

Zaręba śmiał się szydersko.

– A! Tak, tak! – dodał. – Powiesz mi, że i pogrzeb kazał sprawić okazały i sam na nim był! To ja wiem przecie, bo choć wy mnie nie widzieliście, patrzyłem sam na to. Krok w krok za nim chodzę.

– Aż póki ułapiwszy cię, stracić nie dadzą – dokończył Ząb.

– Kto kogo da stracić, to jeszcze nie wiadomo – odezwał się Michno obojętnie. – Ja cię pytam o co innego. Jak do zabójstwa przyszło? Kto mu radził? Kto pomagał?

– Nie wiem nic!

– Tchórz jesteś albo zły człek – począł gwałtownie Zaręba, nie puszczając go, choć się wyrywał. – Po zabójstwie kto przy nim był?

– Widziałem tylko księdza Teodoryka.

– Wiernego służkę i pochlebcę – dorzucił Zaręba. – Ten też pewnie zawczasu wiedział o wszystkim!

Ząb, na którego mimo zimna poty były ze strachu, wyrwał się wreszcie z rąk przyjaciela. Drudzy też, których po kątach łapał, nie mieli wielkiej ochoty z nim rozmawiać. Błądził tak przez wieczór cały, a w ostatku, kilku podpitych ściągnawszy, wyszedł z nimi do miasta. Z tymi starał się bliższe zawiązać stosunki, co mu się w części udało, ale nazajutrz z ust do ust chodziła po cichu wieść o zuchwałym chłopie, którego kilku widziało.

Z rana ksiądz Teodoryk wszedł do księcia dając mu znak, że chce z nim mówić na osobności. Od śmierci żony książę obawiał się o siebie i miał na ostrożności. Lektor też lękał się zemsty, o której głuche chodziły wieści, że ją gotowali jacyś Lukierdy powinowaci czy przyjaciele. Z pewnymi zastrzeżeniami ksiądz Teodoryk uwiadomił Przemysława, iż wypadkiem wpadł na poszlak o przechowywaniu się Zaręby na zamku i o porozumieniu jego z kasztelanem Sędziwojem.

Przemysław zrazu zaprzeczał temu, wierzyć nie chciał, potem namyśliwszy się, dowódcy straży, którą z sobą przywiódł z Poznania, kazał strzec wrót i nie oddalać się od zamku. Sędziwój, którego to uderzyło, bo stało się nagle i z wyłączeniem załogi, pobiegł niespokojny do księcia, którego znalazł nachmurzonym i gniewnym. Zwrócił się do kasztelana żywo Przemysław, zaledwie zobaczywszy go u progu.

– Wiem o tym – rzekł do niego – że ten niepocziwiec, który dawno na śmierć zasłużył, Michno Zaręba był wczoraj na zamku. Okazywał się jawnie, urągając mojemu gniewowi, a wy nie wiedzieliście o tym?

– Nie wiem – odparł kasztelan błędniejąc. – Na zamku wczoraj były tłumy, nie mogłem widzieć wszystkich. Wcisnął się może zuchwalec.

– Szukać go każcie, chwytać – dodał książę. – Głową mi swą odpowiadacie za bezpieczeństwo! Zaręba nie był tu pewnie bez złej myśli. To druh wasz dawny!

Kasztelan zachnął się.

– Nieprzyjaciel pana mojego – zawołał – przyjacielem moim być nie może! Wasza Miłość krzywdę mi czynicie! Posądzacie mnie.

Przemysław nie mógł się pohamować w gniewie.

– Kasztelanie – rzekł – nie posądzam was, ale wiem, że żal macie do mnie. Niewiele polegam na was!

– Nie miałem nigdy ani wiary, ani łaski u Miłości Waszej! – wybuchnął Sędziwój. – Ja też to wiem z dawna. Za me usługi wierne coś mi więcej należało niż zamek kaliski!

– Jeśli on wam niemiły – zawołał książę – mówcie! Dam go innemu. Możecie gdzie indziej szukać szczęścia! Dziś nie pora o tym – dołożył – dopóki kasztelanem jesteście. Idźcie i każcie tropić tego łotra!

Sędziwój chciał coś mówić jeszcze, ale książę na drzwi palcem mu wskazał. Kasztelan musiał to znieść, że jak by mu nie ufano, ludzie przyboczni księcia strześli w oczach jego zamek cały, wszystkie komórki i wyżki. Trwało to godzin kilka, w ciągu których wrót strzeżono.

W trwodze wielkiej przebył je Sędziwój lękając się, aby Zaręby nie pochwycono, lecz ani tu, ani w mieście go nie znaleziono. Dopiero, gdy poszukiwania bezskutecznymi się okazały, kasztelan, skarżąc się głośno i wyrzekając, poszedł do księcia. Przemysław nie dał wyrzutów sobie czynić, zbył go pańsko i surowo.

– Radzę wam, kasztelanie – rzekł odprawując go – nie mnie obwiniać, ale siebie. Strzeżcie się na przyszłość, bym was posądzać i żalu do was mieć nie znalazł powodu.

Sędziwój, dotknięty mocno, wyszedł po tej odprawie z pragnieniem zemsty w sercu. Arcybiskup dnia tego wyruszał z Kalisza do Gniezna, Przemysław mu towarzyszył, biskupi też jechali z nimi lub do stolic swoich, tak że zamek opustoszał znowu. Nad wieczór Sędziwój, który się burzył ciągle, poszedł sam na miasto szukać Zaręby. Miał już postanowienie porozumienia się z nim i książętami śląskimi. Przeczuwał, że i on go szukać będzie. Na pół drogi się spotkali.

– Narobiłeś mi zła! – krzyknął, zoczywszy go, Sędziwój rozjątrzony. – Bodajeś sam go doznał!

Uśmiechnął się Michno.

– Co wam się złem wydaje, na dobre wyjdzie – rzekł. – Lepiej dla was, gdyście się przekonali, czego się macie po księciu spodziewać. Łaski jego nie odzyskacie, wiary w was nie ma. Jedźmy do Wrocławia, tam was przyjmą ramiony otwartymi. Nie będę tań dłużej, mam polecenie tam was ściągnąć.

Krótko się kasztelan namyślał.

– We Wrocławiu i tak być miałem – odparł, udając obojętność. – Nie ma w tym grzechu księciu się pokłonić. Ale... co z tego!

– Czyż ja wam potrzebuję tłumaczyć? – szepnął Zaręba. – Wiecie, że księżę wrocławski z Brandeburczykiem trzyma, bo ma córkę Ottona Długiego za sobą. Brandeburgi na Pomorze czyhają, a on całej Polski chce i będzie ją mieć. Jedźcie! Czym prędzej, tym lepiej! Przemysław paść musi i zginąć – dodał – a nie z czyjej ręki jak z mojej!

Kasztelan, widząc ludzi nadchodzących, nakazał mu milczenie, lecz zaprowadziwszy go o zmroku do komory, długo się z nim naradzał. Zaręba szybko potem nazad do miasta powrócił, konie kazał siodłać i zniknął.

W kilka dni potem kasztelana w Kaliszu nie było, mówiono że wyjechał do majątności swych i dość długo oczekiwano nań w zamku. Kędy się zabawiał, nie wiedział nikt. Donoszono do Poznania o tym, iż Sędziwój mało nad bezpieczeństwem grodu powierzzonego mu czuwał, ale nic nie zdawało się zagrażać.

ROZDZIAŁ V

Na zamku wrocławskim od zgonu Henryka Brodatego nie mało się razy panowie i dwory zmieniały. Coraz inaczej wyglądało to siedlisko główne Piastów śląskich, które, choć od niego dzielnic wiele oderwano, zawsze się za ich stolicę uważało. Dobijali się on z kolei potomkowie św. Jadwigi⁹³ rozrodzeni, a w tych rozterkach książęcych miasto samo i ludność jego coraz większego nabywało znaczenia.

Wnuk zabitego pod Lignicą, Henryk,⁹⁴ teraz tu panujący, wielkiego i niespokojnego był ducha. Pragnął szerokich posiadłości, a choć mu się zagarnąć je nie udawało, nawet w walce z nieszczęśliwym Rogatką, nie dawał się zrazić i odstąpić niczym. Zaledwie sam z więzienia uwolniony, kusił się o chwytanie drugich; przegrawszy bitwę jedną, myślał już o tej, którą miał ją powetować.

Był to mąż naówczas w sile wieku, jak wszyscy śląscy Piastowicze zbudowany krzepko, życiem rycerskim wzmocniony, wytrzymały, zacięty. Pełen ambicji, marzyciel, po trosze poeta składający miłosne piosnki niemieckie, nic już w sobie polskiego nie miał, a stosunkami pokrewieństwa i ducha sięgał poza granice Polki, do Brandeburgów, do Czech, do cesarstwa.

Cały też dwór jego, oprócz malkontentów⁹⁵ z Polski, którzy zbiegali doń, ofiarując mu usługi swoje, składał się przeważnie z Niemców, Sasów, Szwabów i różnego plemienia przybłądów. Strój, język, zabawy podobnym go zupełnie czyniły do dworów innych niemieckich książąt, którym książę Henryk starał się być podobnym.

Żona jego, córka Ottona brandeburskiego, wniosła tu z sobą niechęć do wszystkiego, co polskim było. Spiskowano jawnie prawie przeciwko tym wszystkim książętom, którzy do Krakowa i Sandomierza, Poznania i Kalisza prawa mieli.

Przemysław, tak samo jak inni, stał na zawadzie księciu Henrykowi. Nie było z nim jawnego rozbratu, lecz knowano potajemnie, jak się to naówczas wieść było zwykło. Upatrywano sposobności, aby mu dzielnicy uszczuplić albo z niej wyrzucić zupełnie. Na rękę więc było księciu Henrykowi, gdy mu dnia jednego ochmistrz dworu jego Werner dał znać, iż z Polski przybyły ziemianin jakiś, poważny człek, o posłuchanie go prosił.

Był to Zaręba, który na dworze Przemysława między Niemcami języka ich się trochę przyczył. Dla tej zemsty, której pragnął, gotów był teraz na wszystko. To, co tu widział, mogło Zarębie dać wielkie wyobrażenie o możliwości pana, pod którego opiekę chciał się uciec.

Henryk równie wspaniale zwykł był występować jak Przemysław. Dwór jego cudzoziemski był świetny i liczny, on sam pamiętał o tym, że był wielkiego rodu. Zamek wrocławski, co się nigdy wziąć nie dawał, choć nieraz dokoła palono przedmieścia i miasto, urósł znacznie, mocnym był i okazałym. Dawne budowle, po większej części drewniane, ustąpiły murowanym. Ściany obwodowe wzmocniono basztami krągłymi; w środku sale sklepione i ganki kryte pełne były zawsze dworu liczego i występującego z przepychem.

Dawnego języka krajowego nikt tu teraz nie posłyszał, duchowieństwo otaczające księcia niezbyt liczne, rycerstwo, niewiasty księżnej – wszystko niemieckie było. Wiezorami na-

⁹³ Św. Jadwigi – tzn. żony Henryka Brodatego

⁹⁴ Chodzi o Henryka IV Probusa (czyli Prawego).

⁹⁵ Malkontent (z włos.) – niezadowolony; tu: niechętnie nastawiony wobec panującego księcia.

julubieńszą zabawą księcia słuchanie pieśni miłosnych i popisy z tymi, które sam układał. Świat otaczający, półpolski, jeszcze miano za barbarzyński i dziki.

Chciwość władzy u księcia Henryka łączyła się z niepomiarłą żądzą zwiększenia bogactw, które mu do niej drogę uślać miały. Nie przebiegając w środkach, gdy chciał skarbiec zasilić, książę, tak jak Rogatka, rzucał się, na kogo mógł, szczególnie na duchowieństwo, które, z dóbr wielkich nic nie opłacając, ciągnęło dochody znaczne i miało sławę zamożności. Przywłaszczaniem sobie dóbr, dziesięcin, nakładaniem przymusowych danin na biskupów i kapituły, Henryk przyczynił sobie nieprzyjaciół w całym duchowieństwie. Sarkano, opierano się, skarżono do Rzymu, lecz niewiele to pomagało. Z biskupem Tomaszem wrocławskim rozpoczęła się już wojna otwarta. Na zamku więc rzadko się spotykało duchownych, a ci, co tu gościli, z biskupem i klasztorami zerwać musieli.

Zaręba, którego na zamek chętnie wpuszczono, oczekując na posłuchanie u księcia, miał czas się przekonać, że tu już śladu nie było dawnych obyczajów, które się w Poznaniu jeszcze zachowały.

Książę, który doń wyszedł po domowemu, ale wytwornie odziany, w jedwabnych sukniach obszytych futrem kosztownym, majestatyczniejszym mu się wydał nad Przemysława.

Na ukłon odpowiedział za ledwie, patrząc na przybyłego z rodzajem szyderskiego politowania. Zapytał go naprzód, kto był. Zaręba począł od opowiadania pobytu swego na dworze Przemysława, pożyciu jego z żoną, śmierci jej i oburzeniu, jakie ona przeciwko niemu wywołała. Wspomniał o krzywdzie, jaka mu się stała, a zakończył tym, że usługi swe przeciw Przemysławowi gotów był księciu ofiarować.

– Nie wiesz przecie – odparł dumnie książę Henryk – czym ja z nim, czy przeciw niemu.

– Wasza Miłość nie możecie być z nim – odparł Zaręba. – Na to wielkiego rozumu nie trzeba, aby się domyśleć. Z prawa starszeństwa należy wam dziedzictwo tych ziem, które on trzyma; dlaczegóż byście go nie mieli osiągnąć? Przemysławowi niechętni są ziemianie, podać im tylko rękę potrzeba.

Ślązak słuchał trochę niedowierzająco, siadł, podparł się, wyciągnął, dając mówić przybyłemu. Nie okazywał ani wstrętu do tego, co mu mówił, ani zbytniego zajęcia. Człowiek – zdrajca budził w nim niechęć widoczną. Zaręba rozgadał się szeroko o swych powinowatych, o ziemianach jedno z nim mającym przekonanie, a na koniec rzekł, kusząc księcia Henryka:

– Wasza Miłość możecie łatwo dostać zamek kaliski, byleś rękę wyciągnął. Znam Sędziwoja, który tam kasztelanem jest, iż z nim się ułożyć będzie można.

Posłyszawszy to, Henryk okazał żywsze nieco zajęcie. Rozpytywać zaczął o Sędziwoja. Odprawił Zarębę. Przywołać go kazał raz drugi i Michno wyruszył na ową do Kalisza wyprawę. Wrócił z niej z najlepszymi nadziejami, a wkrótce potem i przyobiecany Sędziwój we Wrocławiu się zjawił. Sam książę potajemnie wiódł z nim układy. Przygotowania do opanowania grodu potrwały kilka miesięcy.

W końcu września następnego roku, Przemysław znajdował się na zamku swym w Poznaniu. Żył teraz dosyć odosobniony od śmierci Lukierdy, posepny, a ksiądz Teodoryk, który go zabawiał, czytał mu, rozrywał, coraz był w większych łaskach.

Na zamku wiele się zmieniło. Książę usiłował wspomnień dojmujących zatrzeć ślady. Izby, w których zbrodnia dokonana została, przerobiono zupełnie, oddano je na pomieszczenie dworu, a inne, wspanialsze, odnowione, gotowano dla przyszłej żony księcia, o której już naówczas mówiono, iż książę powinien się o nią być starać. Młody, w sile wieku, aby nie zniżyć bezpotomnie, musiał szukać towarzyszkę. Świnka, lękając się, aby do swawoli nie wrócił, nalegał. I on, i ksiądz Teodoryk ciągle to książęciu przypominali. Przemysław ociągał się z jakąś zabobonną obawą.

Wieść o gwałtownej śmierci Lukierdy tak była rozpowszechnioną, iż wielu odstręczała od niego. Po różnych dworach próbowano starać się o księżniczki, których odmawiano. W ciągu krótkiego czasu krwawa przygoda urosła w legendę, zmieniła się w pieśń, którą publicznie po

kraju śpiewano. Weszło to było w wiarę powszechną, iż ksiązę mord żony nakazał. W pieśni żalosej, którą nuciły niewiasty, Lukierda prosiła męża, aby jej życie darował, by jej powrócić do swoich, choć w jednym gzie, boso pozwolił⁹⁶. Okrutny Przemysław skazywał ją na śmierć, a śpiew, lży wyciskając, wzmagął niechęć przeciwko niemu. Powtarzania tych pieśni niepodobna było zakazać. Nucili ją po gospodach publicznych gęślarze, niewiasty uczyły się i roznosiły. Wpędce rozpowszechniła się tak, że z tęskną jej nutą nieraz dwór ksiązęcy w podróżach się spotykał.

Chociaż na zamku komnaty, w których Lukierda życie skończyła, przebudowane były i przez dwór zajęte, powiadano, że nocami ukazywał się tam cień zabitej w białej sukni, z włosami rozpuszczonymi, z głową na piersi zwieszoną, załamanymi rękami, błądzący po izbach i podwórzu między zamkiem a kościołem. Sam ksiązę słyszał o tym i strach go ogarniał taki, iż w nocy wychylić się sam wahał z komnaty. Duchowni doradzali pobożne dary i fundacje. Jakoż w miesiącu grudniu, zaraz po zgonie Lukierdy Przemysław założył i wyposażył wsiami bogato klasztor dominikanek.

Nie uspokoiło go to jednak. W sumieniu swym cierpiał. Ksiądz Teodoryk jako ostatnie lekarstwo ożenienie zalecał. Wzięto się do przerabiania zanku, a sługi, które do morderstwa należały, precz wysłano. Bertocha, dręczona zgryzotami, wkrótce zapła się i zmarła.

W poszukiwaniach nadaremnych żony dla księcia sięgnąć musiano aż do dalekiej Szwecji po córkę Waldemara króla, który w wojnie był z braćmi, spowodowanej rozpustą i swawolą. Mszczono się na nim za uwiedzioną siostrę żony. Księżniczka Ryksa, córka Waldemara, łatwą była do pozyskania, bo nie miała wyposażenia, a ojciec zagrożony strąceniem z tronu, nie miał już nawet stałej stolicy i po kraju się błąkał. Mówiono więc o poselstwie do Szwecji, a Przemysław choć uległ Świnie i godził się na to, zwłóczył je i odkładał przez jakąś dziwną obawę.

Smutne było życie na tym zamku, nad którym jeszcze cień nieszczęśliwej pani ulatywać się zdawał. Ksiązę stąd często się wyrwał do Gniezna, w towarzystwie arcybiskupa jedyną znajdując pociechę. Łowy go nie bawiły, turnieje na zamku zaniebane zostały.

Jednego z chmurnych i smętnych wieczorów wrześnieowych, o niezwyklej godzinie, gdy ksiązę sam z księdzem Teodorykiem w komorze swej odpoczywał, zjawił się Tomisław dopraszając posłuchania. Żądanie to w porze spóźnionej zaniepokoiło Przemysława. Wpuszczony wojewoda był bładny i poruszony.

– Ze złą wieścią przybywam – odezwał się, nie osłaniając i nie szcędząc księcia. – Sędziwój nas zdradził, zamek kaliski zdał księciu Henrykowi wrocławskiemu.

Ksiązę stał chwilę jak przybity.

– Sędziwój! Henryk! – począł niewyraźnie. – Skąd wieść?

– Miasto się nie dało opanować, obroniono je pono – dodał Tomisław. – Są ludzie, co stamtąd zbiegli.

Spojrzał na pana, który się nie odzywał, okazując tylko wzruszenie wielkie. Nagle Przemysław podniósł głowę i zawołał głosem silnym:

– Ludzi zwołać! Idziemy na Kalisz! Wszystkimi siłami. Ja sam poprowadzę!

Zabrakło mu tchu na chwilę.

– Ani godziny nie traćcie! – dorzucił prędko. – Natychmiast gońców śłać na wszystkie strony! Idziemy jutro! Poszedłbym dziś, gdyby można!

Tomisław potwierdził potrzebę prędkiego działania. Wydawać zaczęto rozkazy natychmiast. Ksiązę budził w sobie otuchę, ale i w nim, i w wojewodzie nie było wielkiej nadziei odzyskania Kalisza.

⁹⁶ By jej powrócić do swoich boso pozwolił – pieśń ta przechowała się przez całe stulecia. Spisał ją z tradycji ludowych Franciszek Karpiński (1741-1825) jako *Dumę Lukierdy, czyli Ludgardy*.

Drugiego dnia już dowiedziano się, że zamek był silną opatrzony załogą i do oblężenia spodziewanego przygotowany. Klęska ta miała tylko dobrą stronę, że Przemysława z odrętwienia wywiodła, zmusiła do wojny, do zapomnienia, co mu na sercu leżało. Gdy w kilka dni potem ściągnięte siły pod wodzą Tomisława i samego księcia na Kalisz szły, w twarzy Przemysława widać było gorączkowe walki pragnienie i zapał rycerski. Naglił, wydawał rozkazy, sam wszystkim się chciał zajmować.

Wojsko zebrane naprędce, choć się z najprzedniejszego rycerstwa składało, liczbą szczupłe było. Księżę wołał, że gotów własne dać życie, aby stratę, którą sobie przypisywał, odzyskać. Nim dociągnęli do Kalisza, Henryk miał czas w nim obwarować się dość silnie, okopać i ludźmi napełnić. Samo położenie wśród nizin błotnistych utrudniało obleganie i zdobycie.

Przemysław opasał naprzód twierdzę dokoła, zdało się, iż jeśli nie siłą, to głodem wziąć ją musi, gdyż Ślązacy nie mieli wyjścia nigdzie, a odsieczy rychłej nie mogli się spodziewać. Lecz zaledwie namioty rozbito, a Tomisław czas miał się rozpatrzeć i rozsluchać, przybył do księcia smutny, prorokując, że leżeć przyjdzie długo, bo zamek był najlepszym rycerstwem śląskim silnie bardzo osadzony.

– Czekać, stać, oblegać nie myślę! – przerwał mu księżę. – Ślijcie do zamku z zapowiedzią, że jeśli mi się do trzech dni nie poddadzą, szturmem wezmę ich i nikogo nie puszcę z życiem.

Wojewoda próbował ułagodzić księcia, nie dopuścił mówić.

– Trzeciego dnia szturm przypuszczę, bodajbym sam w nim miał zginąć! – powtórzył.

Wojewoda musiał wyjść posłuszny jego woli.

Wysłanych pod mury z wezwaniem Niemcy przyjęli śmiechami. Uragali się wołając:

– Chodźcie! Weźcie!

Księżę ledwie trzeciego dnia mógł cierpliwie doczekać i, mimo przedstawień wojewody, kazał na rano gotować się do szturm. Wszystkim on, oprócz niego, wydawał się nadaremny, lecz księżę mówić o tym nie dawał i jak szalony sam pędził do boju.

Jak dzień, rycerstwo, które się w końcu zapałem jego przejęło, posunęło się pod zamek. Tomisław i starszyzna największą trudność mieli Przemysława uratować od niebezpieczeństwa, na jakie się ślepo narażał. Rzucił się w najbardziej zagrożone miejsca, na strzały i pociski, na stosy trupów, które wkrótce całe zaległy podwale.

Niemcy, widząc, że nie ujdą z życiem, bronili się rozpaczliwie. Dzień cały bez przerwy ponawiano napady daremnie, Tomisław błagał, księżę go nie słuchał. Co było najprzedniejszego rycerstwa, padło w tej walce nierównej z kłodami i kamieniami, nie z ludźmi. Przemysław w potłuczonej zbroi, ranny, rozpaczający, już nocą prawie ledwie się dał odciągnąć od murów. Niemal gwałtem porwano go stamtąd oznajmując, iż arcybiskup z Gniezna przybył i w namiocie nań czekał powołując go do siebie.

Był to jedyny człowiek, którego głosu mógł księżę w tym stanie ducha usłuchać. Poległych rycerzy trupy, odparte szturmy, upokorzenie – odejmowały mu przytomność. Na pół umarły od tego bólu, dał się wieść bezsilny i nieszczęśliwy. W namiocie oczekiwał nań Świnka.

– Ojcze! – zawołał, ujrawszy go, księżę. – Pomsta boża nade mną! Kaliski zamek, stryja mojego stolica, którą otrzymałem w spuściźnie, w rękach obcych! Kalisz! Rycerstwo moje najlepsze leży trupem, a ja nie umarłem!

Arcybiskup przeżegnał go.

– Bóg tak chciał – rzekł spokojnie – kara to, próba czy napomnienie, nie wiem, ale wyrok, któremu się poddać potrzeba!

– Nie odstąpię stąd! Raczej zginę! – począł Przemysław.

Arcybiskup rękę mu położył na ramieniu.

– Pokój z tobą! – rzekł. – Pokój z tobą! Ja ci przynoszę go, Henryk do mnie przysłał; Kalisz ci powróci za kawałek ziemi mniej cenny a jemu przyległy.

– Nigdy! – odparł księżę.

Arcybiskup na próżno go skłonić usiłował. Książę nazajutrz nakazał szturm nowy.

– Nie mamy z kim go ponowić – odezwał się przywołany wojewoda.

Wymówki tej Przemysław słuchać nie chciał, trwał przy swoim, burzył się i szalał. Arcybiskup nie odstępował go, usiłując powolnie przywieść do opamiętania. Przypomniawszy mu, że Bóg, przeznaczając go do podźwignięcia korony Chrobrego, przez ciężkie próby i trudy wiedzie do tego celu. Nakłaniał, aby chciwemu Henrykowi dał ziemi kawałek dla odzyskania Kalisza i spokoju. Przemysław, nie ufając już przyszłości, liczył wszystkie nędze i zawody żywota swego.

– Całe moje życie – mówił – zmarnowało się w łamaniu z losem. Nie ufam już w przyszłość lepszą. Od młodości ciągiem jednym klęsk i zawodów była dola moja. Policzcie więzienia, zdrady, domowe męki, błędy moje, zbrodnie, które na mnie włożono! Nie jestem go-dzien korony, a życie mi obmierzło.

Trzeba go było jak dziecię pocieszać, Świnka używał wszelkich środków.

– Mój książę – rzekł mu – i jam się nie czułem nigdy godnym tego arcykapłańskiego dostojenstwa, które Bóg włożył na mnie. Uspokój się, a zachowaj dla przyszłości! Henryk ci Kalisz powróci, posłańcy jego i pełnomocnicy czekają. Ja będę pośrednikiem.

Przemysław odpowiadał jednym, że chce iść, walczyć i zginąć. Ledwie po długich usiłowaniach udało się arcybiskupowi zmiękczyć Przemysława, który w końcu wszystko zdał na niego.

Świnka pochlebiał sobie, iż powagą swą skłoni Ślązaków do łagodniejszych warunków wystawując im, jak niegodziwą zdradą opanowali gród, do którego żadnego prawa nie mieli. Śląscy pełnomocnicy wezwani do obozu przybyli dumni i zuchwali jak zwycięzcy, wcale nieskłonni do ustępstw. Arcybiskupia powaga ludziom, którzy swego pana co dzień z władzą duchowną widzieli w zatargach, nie czyniła na nich wrażenia.

Werner, ulubieniec księcia, z góry oświadczył, że innych nie przyjmie warunków, tylko ustępstwo Ołoboku z przyległym powiatem. Narzucał nadto Przemysławowi obowiązek wystawienia tam twierdzy, którą gotową oddać miał Henrykowi. Arcybiskup próżno się starał o zniesienie przynajmniej ostatniego warunku.

– Wystawcie sobie twierdzę sami – rzekł. – Uczynicie ją, jaką chcecie.

– Na to my ani czasu, ni kosztu tracić nie chcemy – odparł Werner. – W Kaliszu mamy zamczysko dobre, warowne, nie zamienim go, tylko na inne, które będzie tego warte.

– W Kaliszu się nie ostoicie! – mówił Świnka.

– Któż to wie? – odparł Ślązak. – Ślązaków jest nas sporo, znajdziemy pomoc w teściu naszym, Ottonie. Wy jej nie możecie mieć znikąd. Zdobędziemy miasto, zawojujemy ziemie okoliczne.

– Jakimże prawem? Skąd powód do napaści i wojny? – pytał Świnka.

– Wojna prawa nie pyta – rzekł Niemiec, uderzając po mieczu dłonią – to prawo nasze!

Zostawiwszy ich w swym namiocie, gdzie, jako Niemców słynących z tego, że pili dobrze, kazał hojnie przyjmować, arcybiskup sam poszedł do Przemysława. Z tym szło równie trudno, jak ze Ślązakami, bo o Ołoboku i zamku słuchać nie chciał. Niemcy się przy swym trzymali i już mieli odjeżdżać z niczym, gdy Tomisław z rannymi rycerzami ocalonymi po wczorajszej walce wszedł do namiotu księcia. Rycerstwo ofiarowało panu swemu przysięgę, że Ołobek odzyszcze, aby go poświęcił bez trwogi. Tomisław, brat jego, starszyzna wszystka, całując krzyże swych mieczów, składali uroczyste zobowiązanie się, choćby twierdza najsilniejszą była, że ją wraz z powiatem odbiorą.

Nalegania, prośby, przysięgi na koniec księcia złamały. Świnka powstrzymał posłów i notariusz siadł zaraz spisywać umowę. Ślązak, gdy do końca ją doprowadził, niezmiernie był rad i nie umiał ukryć tego, bo pomimo przechwałek, załodze w Kaliszu trudno się było utrzymać, a mieli tu najdzielniejszych swych rycerzy, których na zgubę narażać nie chcieli.

Gdy umowa spisana została, arcybiskup rzekł do Wenera:

– Powiedzcie panu waszemu ode mnie, iż źle nabyte mienie szczęścia nie przynosi. Dodajcie i to, że ja, głowa Kościoła ziemi tej, ślę mu przestrożę, aby prawa jego lepiej szanował, gdyż ja nie poszanuję też książęcej dostojności.

Ślązak przyjął to lekceważeniem.

– Przemawiacie za sprawą biskupa Tomasza – odezwał się. – Juści, duchowny jeden za drugim ujmować się musi, ale ja tego panu memu nie odniosę. Wy wszyscy, panowie duchowni, trzymacie w skarbcach waszych więcej niż wam potrzeba grosza, którego nam braknie. Ślecie go do Rzymu, a my darmo musimy w obronie waszej wojować. Pan nasz bezbożnikiem nie jest, ale gdy mu złota na wojnę potrzeba i do skarbcza kościelnego sięgnie.

– A Kościół go wyklnie jak łupieżcę! – zakończył gwałtownie arcybiskup.

Werner i tym się nie dał poruszyć.

– Już te czasy przeszły – rzekł – gdy ludzie od klątwy waszej umierali i gdy się jej lękano. Znajdziemy sobie księży, co nam mszę będą odprawiać mimo interdyktu⁹⁷.

Arcybiskup zbladł słysząc te zuchwałe słowa.

– Nie wyzywajcie mnie – dodał groźnie – abym wam nie okazał, że *anathema*⁹⁸ z tronu obalić może!

Tak się skończyła ta rozmowa i posłowie odjechali, księcia nie widząc, który chory w namiocie leżał. Po owym szturmie nieszczęśliwym reszta niedobitków musiała w mieście i po namiotach spoczywać i goić rany, bo ani jeden z walczących nie wyszedł bez nich, a wielu potłuczonych i pokłutych umierało.

Przemysław nie chciał odciągnąć spod zamku, dopóki on mu nie był zwrócony. Chciał być świadkiem, gdy wyciągnie załoga i zająć gród dla siebie. Dowódca Szwab, gdy odebrał rozkaz wyjścia z zamku, świetnie przybrał swe rycerstwo, chorągwie z orły czarnymi rozpuścić kazał szeroko, na czele postawił trębaczów i kotły i tak z triumfem, a urąganiem wyszedł, krokiem powolnym przeciągając koło obozu polskiego, którego żołnierze po namiotach się pozamykali.

Zamek, gdy z niego ostatni ciura i wóz ostatni wywłókł się za wrota zostawując je otworem, przedstawiał obraz spustoszonego, jakby przez Tatarów, grodu, w którym nie pozostało nic, cokolwiek zabranym lub zniszczonym być mogło. Resztką zasobów po księciu Bolesławie, zapasy oręża, szat, żywności, sprzęt nawet Ślązaki uwieźli z sobą lub porozbijali i popalili. Brakło tylko tego, by wychodząc, ogień podłożyli pod ściany. Drzwi z zawias powyrywane, połamane okiennice, powybijane błony, pobrukane umyślnie ściany, porąbane i popalone słupy, szczątki naczyń potłuczonych, kupy gnoju po komorach świadczyły o złości ludzi, którzy tu czas krótki przebyli. Nie oszczędzono ani kaplicy zamkowej, w której ołtarz został nagi, bo z niej nawet krzyż srebrnymi blaszkami obity na wozy zabrano, ani zakrystii, z której szaty i bieliznę wzięto, a skrzynie porąbano w kawały. Kilka koni zdechłych ze zdętymi brzuchami leżało w dziedzińcu z mięsem przez psy powyżerany.

Gdy Tomisław wjechał na ten zamek, który znał za lepszych czasów, rad był, że uprzedził księcia i co rychlej go oczyszczać kazał, aby przynajmniej w tym stanie Przemysław go nie oglądał. Jadący za nim ziemianie milczeli, a niektórym z nich z ust wyrывały się przekleństwa.

– Pomścimy się za to! – mówili.

Nazajutrz dopiero znać dano księciu, iż mógł się na gród przenieść. Wjechał z oczyma spuszczoneymi, wprost udając się do kaplicy, którą arcybiskup, z klasztoru się sąsiedniego zapożyczywszy, jako tako przybrać kazał. Tu pokłakłszy, uspokojony nieco, modlił się długo.

⁹⁷ Interdykt (z łac.) – zakaz odprawiania mszy.

⁹⁸ *Anathema* (grec. i łac.) – klątwa kościelna, wyklęcie.

ROZDZIAŁ VI

W rok potem we wrześniu, Poznań jak niegdyś, gdy się sposobił powitać młodą panią swą ze Szczecina, przystrajał się na przyjęcie Ryksy, córki króla Waldemara. Z Gdańska przyszła już była wiadomość, iż narzeczona księcia wysiadła na ląd szczęśliwie. Wojewoda, kasztelan i wysłane naprzeciw rycerstwo polskie wiodło ją do przyszłej stolicy. I na ten dzień już jej przybycie zapowiadano. Arcybiskup Świnka, którego sprawą małżeństwo przyspieszone zostało, oczekiwał tu na nią.

Nie z taką niecierpliwością radosną, jak niegdyś, wyglądzano nowej pani; lud ciekawy był, ale nie wesół. Gody te przypominały pierwsze, gmin półgłosem nucił ciche pieśni o Lukierdzie. Coś, jak obawa pomsty bożej, drzeniem przejmowało tłumy zalegające gościniec i place. Nic nie przerywało ciszy ponurej. Dzień był późnej jesieni z liśćmi pożółkłymi na drzewach, z bladym niebem powleczonym jakby oponą mglistą. Słońce niewidoczne, niby jaśniejsza tylko chmurka roztopiona w powietrzu, z wolna płynęło po niebie. Smutek jakiś wiał z tego powietrza przepelnionego wonią jesienną wędniejących roślin, ściętych zbóż, roli poruszonej sochami, wilgoci osychającej powoli.

Na wieży kościoła stał, jak niegdyś, strażnik ze zwiniętą chorągwią, lecz zaspany i zdrętwiały. Na zamku przybranym z całym przepychem, na jaki zdobyć się było można, czekał Przemysław, z młodą swą, piękną, a już zwiędłą od trosk, twarzą na przybycie tej, która mu była przeznaczoną. Opowiadano ją piękną, złotowłosą, niebieskooką, jak pierwsza...

Książę, który długo małżeństwu się temu opierał i zwłóczył je, poddawszy się woli arcybiskupa i duchownych, z obojętnością smutną przyjmował je jak konieczność. Świnka widział ze smutkiem, iż wspomnienie tej przyszłej żony wywołało drzenie i obawę jakąś w księciu. Rzuczał wzrokiem obłąkanym dokoła, jakby się zmartwychpowstania zmarłej obawiał. Nie pomagała na to modlitwa ani rycerskie zabawy, jeden arcybiskup słowy namaszczenia pełnymi umiał go otrzeźwić i z zadumy wyprowadzić.

Dnia tego niepokój księcia rósł i coraz się stawał widoczniejszym. Na zwiady wymiany przez Świnkę książdz Jan, wróciwszy, nic o narzeczonej powiedzieć więcej nie umiał na to, że była młodą, piękną i na podziw, mimo oddalenia od kraju swego i rodziny, wesolą, śmiałą i swobodną.

Arcybiskupowi właśnie się to dobrym zdało, iż wesołością tą mogła ponurego pana rozrwać. Opowiadano, jak ją bawiło wszystko, co widziała i spotykała, jak była pokłonom rada, podarkom wdzięczna i jak szczebiotliwie rozmawiać próbowała z tymi, co naprzeciw niej byli wysłani.

Książę Przemysław wyjechać miał na spotkanie, gdy mu znak dadzą o zbliżającym się orszaku. Koń stał już dlań gotów, okryty oponą złotem szytą i rzędem sadzonym; rycerstwo, mające towarzyszyć, czekało w pogotowiu. Po przywitaniu pod namiotem w polu rozbitym, księstwo jechać mieli obok siebie wprost do kościoła zamkowego, gdzie arcybiskup połączyć ich miał i błogosławić.

Na to wesele uroczyste ziemianie poprzywozili żony swe i córki starsze, izby pełne były postrojonych dziwnie, a z prosta, choć bogato, niewiast, nienawykłych do ubiorów tych, radych sobie, swym klejnotom, szubom, sukniom, łańcuchom, kolcom i oczom, co się na nich zatrzymywały. Cały ten żeński tłum, obyczajem wieku, trzymał się całkiem z osobna, nie

mieszając z mężczyznami. Spozierano tylko ku nim ciekawie, ukazywano sobie znane i głośne, mieniano zalotne wejrzenia i tulono wrywające się śmiechy.

Przepych strojów był wielki, ale całcie inny niż dzisiejszy, chwalono się więcej bogactwem niż smakiem, ilością niż dobrem. Sobolowe kołpaczki, zawitki z rąbka przezroczyściego, jedwabie ciężkie, suknie złotem tkane i szyte, klejnoty kute i nasadzane krągło oglądzonymi kamieniami, jaskrawą tę mozaikę składały.

Poważniejsze niewiasty stały przodem jak wodzowie i strażę, dalej mężatki młode, a w samej głębi dziewczęta, którym ani bardzo patrzeć, ni być widzianymi nie było wolno. Nie rozmawiano głośnie, ale szmer i śmieszki nie ustawały na chwilę. Rycerstwo, opodal stojące osobno, ciekawie oczy wlepiło w tamtą stronę, swobodnie i swawolnie rozmawiając o kobietach, które domyślając się, co rzucane wejrzenia ogniste oznaczały, rumieniły się ciągle.

W niewieściej gromadzie opowiadano sobie historię Lukierdy. Te, co nie widziały nigdy strasznego księcia, ciekawe były zobaczyć go choć z daleka. Dzień już się miał dobrze ku zachodowi, gdy ruch powstał w komnatach. Dano znać, książę szedł krokiem niepewnym, z oczyma w ziemię, hełm złożony, spiczasty ciężyc mu się zdawał, zbroja piękna dusić go, szata zawadzać. Szedł jak na stracenie, blady był. Niewiasty, patrząc, szeptały: „Nie idzie on jak ten, co zabija, ale jakby sam na zabicie”.

Za księciem postępowali panowie dworu, miecznik, ochmistrze, podkomorzowie, komornicy, podczaszy, łowczy, potem duchowni, kanclerz, pisarze, dworzanie. Dwór, jak królewski, jaśniał od szkarłatu purpurowego i liliowego, przez Włochy ze Wschodu i z wojen krzyżowych przywiezionego do Europy.

Wspaniała pańska drużyna ciągnęła milcząca, zadumana, z pana swego biorąc posępne twarze i postawy dumne. Świnka udał się do kościoła, gdzie na czele duchowieństwa narzeczonych miał czekać. Przemysław sam jechał ze swymi.

Namiet czerwony widać było w polu rozbity, a dokoła pstry orszak księżnej, wozy, konie, ludzi, niewiasty w strojach nietutejszych. Książę raz i drugi trwożliwym rzucił okiem. Koń mu się rwał naprzód żywo, on go wstrzymywał. Około namiotu poruszać się zaczęło, rozstępywać, ustawiać.

Poprzedzający księcia trębacze zadęli wesoło. Przemysław stał już u wnijscia namiotu i le dwie zsiąść zdążył, gdy ujrzał przed sobą wiedzioną przez starszą niewiastę, pobladł i zdrętwiał.

Rykosaż to była czy widmo z grobu wstające Lukierdy? Ten sam wiek, ten sam włos złoty, też oczy, też twarz, nawet dziwnym losu zrządzeniem miała na sobie suknie, przepaskę, klejnoty jakby też same, w których Lukierda chodziła.

Ona to była, zmartwychwstała, ale z innym twarzy wyrazem. Mimo trwogi, która ją na chwilę bledością okryła, nie było w niej owej dziewiczej a dziecięcej nieśmiałości tamtej, która umarła, ale jakaś duma i pewność siebie królewska, coś szyderskiego, figlarnego. Była to Lukierda, ale nie płacząca i słaba – mocna i śmiała. Nadzwyczajne podobieństwo, które uderzyło tak księcia, iż przemówić, ni powitać jej nie mógł, aż ochłonawszy z podziwu, również innych zdumiewało. Był w tym jakby palec boży, przebaczenie czy gróżba.

Królewna wyuczona była słów kilku niemieckich, które śmiejąc się sama i śmiech starając stłumić, wymówiła śmiało. Przemysław nie słyszał, nie rozumiał nic, nie wiedział, co rzekł do niej. Wnet na konie siadać znak dano.

Podprowadzono przygotowanego dla młodej pani, którego chłopak w barwie książęcej miał prowadzić. Dosiadła go rażno, bez obawy, podniosła głowę, spojrziała z góry po orszaku: „Znajcie we mnie panią swoją!”

Piękną była, ale ponętny wdzięk ów pociągał i odpychał razem, grozić się zdawał. Młodziuchne dziewczę nad wiek swój było odważne, nie dziwiło się niczemu, nic je nie trwożyło.

Przemysław obok jadący oczu prawie podnieść nie śmiał na nią; blady, jechał z tą myślą

tylko, jak dwie niewiasty, tak do siebie podobne być mogły, dlaczego Bóg przysłał mu zza morza taką, która co chwila zmarłą męczennicę przypominać miała. Nie wiedząc o tym, Ryksa była wcielonym sumienia wyrzutem.

Dwórcy szeptali:

– Patrzcie! Toż Lukierda, jaką była przed chorobą! Pamiętacie, gdy wjeżdżali? Taż sama! Ona!

Na obcych nawet padła jakaś trwoga przesądna. Gdy księżę, jak winowajca, jechał z głową na piersi zwieszoną, ona patrzyła nań z natrętną ciekawością dziecka, co się zabawce obiecanej przygląda. Mierzyła go od stóp do głów błyszczącymi oczkami, a z niego wejrzenia jej biegły na drugich i rychlej kto spuścił wzrok przed nią, niż się ona go ulękała. Chłód był w tym wejrzeniu bystrym, ostyglą, czy nigdy jeszcze żadnym ogniem nie rozjaśnionym. Usteczka jej kształtne nie składały się do uśmiechu łagodnego, ale do jakiegoś dumnego sztywności. Była przecież córką królewską, choć ojciec jej walczył o utrzymanie się na tronie.

Orszak posuwał się wśród tłumów ludu stojącego dokoła jedną masą, pozawieszanego na drzewach, drabinach i dachach. Patrzano, a niekiedy z ust starszych ludzi wyrwały się krzyki, jakby ujrzeli upiora. Kobiety zakrywały oczy, niektóre uciekać chciały, ale ścisnąć się nawet ruszyć nie dozwalał.

Na wieży bito we dzwony, wiała chorągiew, przodem trębacze grali na surmach, rogach i trąbach i bili w kotły, budząc wrzawę radosną. A jednak radości obudzić nie mogli.

We wrotach kościoła stał arcybiskup ubrany w szaty złociste z wodą święconą i krzyżem. Wchodzącą parę błogosławił i powiodł z sobą do ołtarza, a pieśń ogromna, zwycięska, radosna się rozległa.

Szli. Wtem Przemysław drgnął i zachwiał się, mijał to miejsce, na którym widział stojącą Lukierdy trumnę, a ona sama w wianku zielonym ze złotem, szła znowu u jego boku; zaślubiła śmierć... Ciągnięto go do ołtarza, iść musiał. Z pośpiechem arcybiskup, widząc go tak bladym i strwożonym, począł obrzęd, związał ręce, zamienił pierścienie. Młoda pani nie zadrdzała, nie zapłakała, nie spuściła oczów, zimną dłoń męża pochwyciła śmiało i ścisnęła ją mocno. Rozległa się pieśń znowu, nowożeńcy na modlitwę poklękli.

W tłumie, który kościół napępiał, w ciemnym zakątku, na wschodkach i skrzyni jakiejś spięty, schwyciwszy się ołtarza, podnosił się mężczyzna lat średnich, ciekawie się przyglądając nowożeńcom. Na widok Ryksy ledwie mógł okrzyk powstrzymać. Niżej spinał się drugi, towarzysz jego, chcąc ją także zobaczyć.

– Słuchaj, Pawłek – szepnął, pochylając się, pierwszy. – Zepnij się no, zobacz! Toć cud! To druga żywa Lukierda! Oczom nie wierzę!

Nałęcz, gdyż on to był z Zarębą, niewiele zważając, na ołtarz się wdrapał. Stał na nim, spojrzął i przeżegnał się ze zdumienia.

– Wiedział Bóg, co uczynił – szepnął Michno potrząsając głową. – Zbył się jednej, dał mu drugą, taką samą za karę.

To mówiąc Zaręba, jakby już dłużej patrzeć nie potrzebował, zsunął się ze wschodków i stanąwszy przy Nałęczu, począł mu w oczy patrzeć, jakby pytał: „Cóż ty na to?”

– Co tu moja licha zemsta znaczy? – zamruczał. – Pan Bóg sam się jej podjął!

Szeptali tak, ukrywając się w kącie, gdy z kościoła orszak pański wyciągać począł z wolna, a za nim i cizba na podwórce wyległa, aby się przypatrywać, jak para księżęca szła po drodze sukniem szkarłatnym wysłanej do zamku. Noc już była nadeszła. Smolnymi pochodniami oświetlony zamek i tłum – weselny pochód do pogrzebowego czynił podobnym. Nie było nawet okrzyków wesela, tylko szmer jakiś złowrogi.

Zaręba ze swym nieodstępnym drużem, przebiwszy się przez klechów, którzy zalegali wewnątrz kościoła, mieli się wydobyć na podwórce, gdy Nałęcz dostrzegł, że kilku ludzi zbrojnych ukazywało ich sobie nieznacznie palcami i ruszyło się wnet, jakby w ślad za nimi iść chcieli. Znano rozgłosnie Zarębę z tego, że przeciwko księciu wicherzył i podburzał, że się

do margrabiów brandeburskich i Ślązaków włóczył, spiski knował, na pana odgrażał. Czyha-
no, chcąc go pochwycić, od dawna. W mgnieniu oka domyślił się on niebezpieczeństwa zale-
dwie czas miał szepnąć Pawłowi:

– Z dała ode mnie! Mają wziąć, niech jednego, nie dwu, biorą! Zostanie kto dla ratunku!

Rzekłszy to, śmiało, przebojem posunął się szybkim krokiem ku wrotom. Nałęcz, który się
od niego odbił, ujrzał ludzi, co ich sobie ukazywali, po krótkim wahaniu puszcających się za
Zarębą. Miał czas wszyć się w gąszcz ludu, ale go z oka nie spuszczał.

Przyspieszonym krokiem biegł Zaręba ku bramie, lecz ścisk był taki, że prędko ująć nie
dozwał. Zręcznie zwinął się razy kilka w prawo i w lewo, aby wzrok śledzących go zmylić.
Nie powiodło mu się to jednak; czeladź, w której poznał dawnych wrogów swoich, rozdzieliła
się opasując go dokoła, tak aby wymknąć się im nie mógł.

Zdawało mu się czasem, że go z oczów stracili, lecz, krok ledwie naprzód zrobiwszy, po-
strzegł ich znowu, widocznie czyhających na niego. Szczęściem, Nałęcz już znalazł się
gdzieś daleko. Mniej pono o niego chodziło.

Michno dobył nieznacznie mieczyka, tak by stojący przy nim nie postrzegli, i pozostał w
miejscu, kryjąc się za plecy czyjeś. Sądził już, że pogoń zmylił, gdy silna ręka pochwyciła go
za ramię. Nim czas miał mieczyk swój podnieść, drugi go trzymał za rękę, trzeci dłonią gębę
mu zamknął. Targał się na próżno, popychano go, obstąpiono ze wszystkich stron. Nie wkła-
dając nogami, niesiony prawie na pięściach, ujrzał się wprędce w tej stronie, gdzie na wałach
było stare więzienie. Ten, co go i wskazał i pierwszy pochwycił, był starym jego wrogiem.
Zwał się Szemsza, łowczy zamkowy; człek był straszny, mało co mówiący, zająkliwy, ale siły
ogromnej i serca nie mniejszego.

Szemsza, o czym Zaręba wiedział, z dawna się go pochwycić odgrażał i dyby⁹⁹ mu obie-
cywał. Michno mało zważał na to, kilka razy z rąk jego uszedł i ufał, że i teraz się wyśliznie.
Ale obrona była niemożliwa. Zgnieciony, ściśnięty, opasany tak, że rąk podnieść nie mógł,
gdy mu i mieczyk wyrwano, nie postrzegł się, jak go do szyi więzienia wepchnięto, drzwi
otworzono, do środka wtrącono, a Szemsza, ciągle za kark trzymając, kazał izbę otworzyć, do
której natychmiast go wrzucił.

Zaręba znalazł się w ciemności, zachwiał na nogach i upadł tłukąc o ścianę, której dojrzeć
nie mógł. Zewnątrz drzwi zawalono drągiem, a Szemsza wołał na stróżów, iż głową za więź-
nia będą odpowiadać. Po tyłu leciech bezkarnego snucia się po kraju, tyłu bytności potajem-
nych w Poznaniu i na zamku, popaść teraz w szpony Szemszy i mściwego księcia, dla Zaręby
niepojętym się wydało.

„Przyjdzie więc nałożyć głową!” – pomyślał.

Wydało się to, że on Sędziwoja namawiał pierwszy do poddania kaliskiego zamku, który
tyle krwi kosztował, że Nałęczów i ród swój pociągnął do innych książąt i uczynił z nich
wrogów Przemysława. Za schwytanie go, za głowę była nagroda wyznaczona.

Na dworze teraz nie miał nikogo, co by się za nim przemówić ważył. Przyjaciele, którzy
się go nie zaparli, z samej obawy posądzenia, że z nim trzymali, odezwać się w tej sprawie
nie mogli. Całą nadzieję pokładał na tym, że wesele trwać miało dni kilka, a w czasie godów
tracić go nie godziło się, przez ten zaś czas Nałęcz mógł się postarać, aby go w jakikolwiek
sposób stąd wyrwać.

Więzienie z dawnych czasów było mu dobrze znane. Składało się z izb w wałach i murach
warownych i zamczystych. W ciemnicy jego u góry okienko małe, nie tylko człowieka, ale
dwa pięści razem złożonych wydobyć nie dozwalało. Gruba krata dzieliła je na czworo jesz-
cze.

⁹⁹ Dyby – kłoda przewiercona, którą wkładano przestępcom na nogi i na ręce.

Mieczyk, jaki miał, wyrwano mu; został mu tylko nóż za nadrą¹⁰⁰ skryty, a u pasa drugi mniejszy. Obmacawszy się, znalazł przy sobie kaletę, w której para garści srebrnych pieniędzy leżała na dnie. Podniósłszy się, obmacał ściany, obszedł izbicę dokoła. W rogu leżało trochę siana i słomy zmiętej. Do jednego murku przytwierdzony był kawał żelaznego łańcucha z obręczem służący do okucia więźnia. Mrówie przeszło mu po plecach.

Z góry przez otwór dochodziła go wrzawa na podwórcach, gdzie gromady czeladzi u bezczek i stołów się zabawiały. Grali gęślarze, śpiewano pieśni, hukano. Nadzieję ostatnią miał w Nałęczu. Jeżeli ten umknąć zdołał, mógł się zająć uwolnieniem jego. Ale jak?

„Kto zemsty pragnie, musi się sam na nią wystawić – rzekł w sobie. – Schwytali mnie, głowę dać muszę, ale i on nie ujdzie cało. Pomszczą mnie moi, a krew ta może zemstę przyspieszy.”

Myślał jeszcze, że w więzieniu lepiej było ginąć z własnej ręki niż sromotnie z ręki kata. Nóż miał ostry. Ale z tym mógł czekać, aż mu wyrok ogłoszą i księdza przyślą. Bez sądu i kapłana nikogo nie tracano.

Smutno mu się stało, choć do rozkwilania się nad sobą nie był skłonny, ale wprędce męstwo odzyskał i nic nie mając do stracenia zaczął bić we drzwi z sił całych. Stróżów blisko nie było, bo i ci poszli do piwa. Nierychło dopiero odezwał się głos z drugiej strony nakazujący mu, aby spokojnie siedział, nie chce-li mieć z wartownikami do czynienia.

Zaręba począł wołać po imieniu stróża, aby mu świeżej dał słomy, wody lub piwa, za co grosz jakiś dostać może. Porozumienie się z napitym Herką było dosyć trudne. Odsunął on w górze zasuwę, wymyślali sobie wzajemnie. Michno wsunął kilka pieniążków i tym go nieco udobruchał. Tak mu się przynajmniej zdawało, gdy Herka odszedł milczący.

Wkrótce potem w miejscu jego jednego dwu się ich zjawilo ze światłem, które w ścianę utkwivszy rzucili się na więźnia i, mimo rozpaczliwego oporu, odjęli mu nóż, kaletę, odarli z lepszej zwierzchniej odzieży. Rozdzianego tak na pół rzucili na zgniłą słomę i drzwi za sobą zatrzasnąwszy, powrócili do piwa. Zaręba, nie mrucząc już, jak kłoda legł, widząc, że przyszła nań zła godzina.

Przez całą tę noc ucztowano na zamku, a do ciemnicy nikt się już nie dowiadywał. Wśród wrzawy tej znużony Zaręba usnął, choć trząśł się z zimna, bo mu stróże i opończę zabrali. Nade dniem dopiero uciszyło się nieco, gdy uczujący pospali się po izbach i rozeszli po gospodach.

Z brzaskiem dnia wróciła gęźba, okrzyki, dzwony, hałas, a więźniowi chleba nawet i wody nie przyniesiono. Nie stukał do drzwi, nie prosił o nic, duma mu wróciła, chciał ginąć bodaj z głodu. Nie liczył godzin nawet, nie wiedział, czy było południe, czy rano jeszcze, czy wieczór, gdy na ostatek stróż nieznamy wniósł mu dzbanek chlebem nakryty i słowa nie rzekłszy, wyszedł. Pić chciało mu się okrutnie, od razu więc połowę wody wyżłopał, ale dreszcze przejęły go jeszcze większe. Padł więc znowu, tuląc się w słomę.

Tymczasem nad nim w górze brzmiały pieśni weselne, gęźby, trąby i hukania. Ucztowano dzień cały. Zaręba poszukał chleba, zjadł trochę i spał. Ale sen to był gorączkowy, przerywany i niespokojny. Spoglądał ku okienku na pół trawami zarosłemu i domyślił się, że noc nadchodziła. Wrzawa rosła jeszcze, sen go odbiegł. Przed nim na ziemię światelko słabe padało na słomę, nagle i ten ostatni promyczek zniknął.

Zaręba głowę podniósł do góry, okno czymś było zaparte. Cichy głos dał się słyszeć, po którym poznał wiernego Nałęczca. Wstał co żywiej, aby się zbliżyć ku niemu, ale wyprostowawszy się i ręce wyciągnąwszy jeszcze od okna był daleko. Otwór znajdował się w szyi, która ze sklepienia wychodziła.

– Michno! – wołano z góry.

– Jestem tu! Przekup stróżów! Odarli mnie, marznę... Próbuj, co można, bo żywym stąd nie puszcza.

¹⁰⁰ Nadra – zanadrze.

- Straż u drzwi mocna, ludziom zagrożono.
- Póki wesele trwa, poty życia mego... Ratuj, Pawłek, bo zginąć przyjdzie!

Nałęcz coś szepnął, w otworze znowu błysło światelko; odszedł. Na trzeci dzień po wzięciu Zaręby kasztelan dopiero oznajmił Przemysławowi, że niepocziwego Michna ujęto i trzymano w ciemnicy.

Księżę odparł krótko:

- Zdrajca jawny, sprawić mu, na co zasłużył.
- Byłbym go dał ściąć – rzekł kasztelan – lecz czasu wesela nie godziło się krwi przelewać.

Przemysław nie odpowiadał nic.

Trzeci dopiero dzień na zamku mieszkała pani młoda, a ledwie poznać było można, iż obcą była. Poczynała sobie ze wszystkimi tak śmiało, iż nikt nie ważył się jej przeciw. Właśnie kasztelan miał odejść z wyrokiem śmierci na Zarębę, gdy zasłona we drzwiach uchyliła się i młoda księżna weszła. Wtargnęła tu jak pani, z twarzą wesołą, z ustami dumnie podniesionymi, strojna, pyszna, niemal zuchwała. Na widok jej Przemysław zmieszał się i krok zrobił ku niej.

Ona, zobaczywszy we drzwiach kasztelana, zwróciła się do niego i łamanym językiem niemieckim, śmiejąc się sama ze swej mowy, zapytała go, jaką by miał sprawę. Ofiarowała się w miejsce męża ją rozstrzygnąć.

Kasztelan spojrział, badając, na pana, który głowę spuściwszy, milczał. Po chwili dopiero zwrócił oczy na nią i rzekł:

- Schwytano zdrajcę! Cóż z nim byś uczyniła?

Rykxa brwi ściągnęła.

- U nas zdrajców wieszają albo ścinają – odparła. – A u was?

– Śmiercią też karzą.

– Kogóż zdradził?

Kasztelan wtrącił:

- Z wrogami się znosił, ludzi przeciw panu buntował.

Księżna zadumała się nieco, ale w twarzy jej usposobienia do łaskawości nie było. Bawiła się rękawem swej sukni obojętnie.

– Stracić go każecie? – zapytała. – Ależ wesele nasze trwa jeszcze. Krwią go oblewać nie trzeba.

Przemysław szukał w jej twarzy litości, nie było jej, tylko zadumanie chłodne.

- Krew na weselu – dodała – zła wróżba.

– Odłożym tracenie na później – odezwał się kasztelan.

Rykxa nie wstawiała się za winowajcą. Odwróciła się od kasztelana, popatrzała na męża, poczęła pytać o fraszki i śmiać się.

Pierwsze te dni schodziły na wzajemnym badaniu się małżonków. Arcybiskup Świnka, który się umyślnie zatrzymał, z ciekawością patrzył na pierwociny nowego życia Przemysławowego. Szczęścia, jakiego się spodziewał, widać nie było. Rykxa zbliżała się do męża śmiało, w księciu poufalenie się jej budziło jakąś trwożę. Bładł, oczyma rzucał obłąkanymi, usiłował wesołość udać, a okazywał poruszenie tylko niespokojne.

Nie odejmowało to usposobienia wesołego młodej pani, nie czyniło wrażenia na niej; krzątała się z ciekawością i trzpiotaniem dziecinnym. Obchodziła wszystkie kąty zamkowe, rozpytywała, jak umiała, ludzi, przyglądała się sprzętom. Nieustannie wydawała rozkazy, a gdy tych dobrze nie rozumiano, śmiała się do rozpuku. W głosie jej było coś takiego, co nieposłuszeństwa nie dopuszczało.

Ci, którzy tu pamiętali Lukierdę, szeptali cicho:

– Podobna jest do niej jak dwie krople wody, ale gdyby tamta tak sobie, jak ona, postępowała, nie umarłaby złą śmiercią.

Czy Ryksa, jadąc tu, wiedziała o losie, jaki spotkał jej poprzedniczkę, odgadnąć nikt nie umiał; przypuszczano, że przed nią tragiczny zgon ten utajono.

Dni weselne miały się ku końcowi, ziemianie rozjeżdżali pozwoli, arcybiskup, pobłogosławiwszy młodą parę, powrócił do Gniezna, księstwo sami na zamku zostali.

Przemysław, jakby się starał żony unikać, czynnym był bardzo, wyjeżdżał na łowy, zasiadał w sądach, kazał sobie czytywać księdzu Teodorykowi. Z żoną szło mu trudno. Nie pytała o pozwolenie, gdy chciała przyjść do niego, goniła za nim ciągle, a często, gdy szukał pozoru do oddalenia się, dawała rozkazy przeciwne. Przemysław ulegać musiał.

Nigdy go jeszcze tak powolnym nie widziano, chociaż powolność ta nie pochodziła z miłości, lecz z jakiejś zabobonnej obawy. Ryksa była dlań upiorem-mścicielem, sama nie wiedząc o tym.

Dnia jednego, gdy księżę wybrał się na łowy, została sama na zamku. Czynna i ciekawa poszła obchodzić zabudowania dokoła. Chciała zamczysko tak urządzić, aby jej przypominało ten szwedzki gród, na którym się wychowywała. Biadała nad tym, że tu jezior nie było. Sama jedna z ochmistrznią starą, którą z sobą przywiozła, korzystając z nieobecności męża, poszła szperać po kątach.

W tej przechadzce popod murami, Ryksa posłyszała głos ludzki, który się zdał wychodzić spod ziemi. Stała. Nie dostrzeżony prawie otwór kratą obwarowany zwrócił ciekawe jej oczy. Pochyliła się nad nim. Było to okno więzienia. Wewnątrz niego zawodził ktoś głosem żalobliwym tęsknym a smutnym. Słów nie rozumiała Ryksa, ale nuta ją poruszyła. Po chwili poczęła wołać po niemiecku, dopytując więźnia, kto był i za co siedział. Nie rychło doczekała się odpowiedzi.

– A któż o to pyta?

– Taki, co by mógł poratować może, gdyby było warto.

– Kto?

– Księżna, żona pana twego.

Zaręba rozśmiał się szydersko. Nie wierzył. Ryksa powtórzyła:

– Jam jest! Przysięgam na to!

– A jam jest ten – odezwał się Zaręba – co bronił pierwszej żony Przemysława i ocalić jej nie umiał. Strzeż się, aby i ciebie ten, co ją, los nie spotkał!

Ryksa krzyknęła z oburzenia:

– Kłamca jesteś!

– Na Boga żywego, nie! – zawołał głos z podziemia. – Patrzałem na to, jak ją męczono lat wiele, dawszy na pastwę służebnym. Wreście kazał ją dziewczkom udusić! Nie wierzysz mi? Pytaj drugich! Śpiewałem właśnie tę pieśń smętną, którą o niej lud wszystek nuci.

Ryksa odskoczyła od okna, nie chcąc już słuchać więcej; twarz jej okryła się rumieńcem, oczy nabiegły łzami. Skinęła na starą towarzyszkę, aby do komnat powracać.

ROZDZIAŁ VII

Nie była to słaba i płacząca, a przeleżała Lukierda. Wprędce ochłonawszy, córka Północy odzyskała męstwo. Mówiono jej o śmierci pierwszej księżnej, ale inaczej. Chciała wiedzieć prawdę całą, a nim się o nią miała męża zapytać, potrzebowała przekonać się, czy więzień nie był potwarzą. Z gorejącymi policzkami poczęła przebiegać izby swoje, szukając w myśli, kogo pytać miała, kto by jej prawdę powiedział.

Stara Juta ze Szwecji przywieziona, pół-Niemka, pół-Szwedka., którą jej dla języka jako tłumacza dodano, porobiła już mnogie znajomości na zamku i w mieście. Następczono się jej wiedząc, że w łaskach była u pani, a mogła być w różnych potrzebach pośredniczką. Między innymi stara Krywicha, także na pół Niemka, u której Mina niegdyś mieszkała, już się była na zamek wśliznęła.

Księżna, chcąc się prawdy dobrać, zażądała od Juty, aby jedną z miejscowych kobiet potajemnie przyprowadziła. Chciała ją kazać badać przy sobie. Juta przywiodła najlepiej jej znajomą Krywichę, która poczęła od tego, że księżnie do nóg upadła i obsypała ją błogosławieństwami.

Stara Juta służyła za tłumacza. Wiedziała już ona dawniej, choć o tym pani swej nie mówiła, w jak różny sposób opowiadano historię Lukierdy. Strach, jakim ją przejmowała, tłumiała w sobie. Widząc swą panią poruszoną mocno po tajemniczej rozmowie u okna więzienia, której nie słyszała, Juta domyśliła się czegoś, ale nie historii Lukierdy.

Dopiero, gdy jej kazano pytać Krywichę o zmarłą księżną, zrozumiała niepokój Ryksy. Chciała podszeptać Krywisze, aby nie wydawała, co o tym mówili ludzie, lecz księżna, postrzegłszy znak dany, groźnie poczęła się domagać prawdy.

– Niech mówi, co wie! Chcę wiedzieć wszystko! Nie ulęknię się! Niech powie, czy była winną i co się z nią stało. Dlaczego ją zamordować kazano?

Z przerażeniem Juta, posłyszawszy to, oczy sobie zakryła. Księżna coraz napastliwiej żądała całej prawdy, powtarzając, że wiedzieć ją musi i potrafi ją wybadać. Niepotrzebną nawet była teraz Krywicha dla powtórzenia powieści, którą Juta raz niejedną słyszała w drodze do Gdańska i na zamku. Rozpytywała ona pilno, bo jej o swą panią chodziło, a im książę okazywał się powolniejszym, tym bardziej lękała się chytryści jego i skrytego okrucieństwa. Nie można więc było nic teraz utaić przed panią. Z płaczem poczęła opowiadanie Juta, do którego Krywicha po trosze się przyczyniała, rada, że zalecić się może.

Długo, szczegółowie opisywały jej zaślubiny, przybycie, pobyt na zamku Lukierdy, prześladowanie przez Minę. Na ostatek Krywicha z gorącością wielką opowiedziała historię nocy tej strasznej, tak jak ją z ust umierającej Bertochy słyszała. Ryksa słuchała pilno z oschłymi już oczyma, na pozór ostygła, niewzruszona. Gdy Krywicha, dokończywszy, wspomniała o pieśni, którą lud nucił o zabitej księżnie, kazała ją sobie tłumaczyć, ale i ta leż jej nie wycisnęła.

Krywicha, bijąc się w piersi, zaklinała się i poprzysięgała, że to, co mówiła, z własnych ust jednej z najwinniejszych słyszała. Ryksa spytała ją jeszcze o Minę, ale o tej różne chodziły wieści, a najpewniejszym zdało się, że do brandeburskiej marchii zbiegła. Długo jeszcze przeciągnęło się badanie, aż książę z łowów powrócił. Juta chciała swą panią rozebrać i namówić do spoczynku, lecz Ryksa, czekając na męża, którego widzieć chciała, została w dziennym swym stroju. Na twarzy jej malowało się postanowienie jakieś silne, które Jutę przerażało.

Zaledwie tętent w dziedzińcu oznajmił powrót Przemysława, Ryksa przez ganki wprost poszła naprzeciw niemu do izby, w której zwykł był wieszczać, gdy z łowów powracał. Wchodząc, zastała go jeszcze w kaftanie i przy mieczu, zaledwie się rodziwającego.

Powolnym krokiem, ułożywszy sobie twarz spokojną, zbliżyła się do niego. Spojrzawszy na nią, Przemysław poznał, a raczej przeczuł, iż niosła mu coś niespodziewanego. Siadła na ławie po przywitaniu, aby być; świadkiem wieszczy, do której służba szybko posługiwała.

Książę, natrętnym tym oczekiwaniem żony nieco zmieszany, radził jej odejść, ale go nie posłuchała. Prędko więc dokończył wieszczy, przeczuwając już, że o coś pytany będzie lub proszony. Natychmiast skinął na dworzan i komorników, aby się oddalili.

Ryksa czekała cierpliwie. Dopiero, gdy pozostali sami, wstała, ze swą dziecinną powagą jakąś mówiąc do męża:

– Nam tu mogą przerwać rozmowę. Muszę na osobności mówić z wami. Chodźmy do komory waszej.

– Późno dziś – rzekł wahając się Przemysław – rozmowę wszak mogę odłożyć do jutra.

– Nie – odparła Ryksa. – Ja dzisiaj chcę mówić z wami.

I nie czekając już odpowiedzi, przodem weszła do izby sąsiedniej, drzwi otwarte zostawiając za sobą. Przemysław musiał iść za nią.

Stanąwszy w pośrodku, zwróciła się do niego, jak sędzia do winowajcy, mierząc go bystro przenikającymi oczyma. Już miała rozpocząć, gdy głosu jej zabrakło, przycisnęła rękę do piersi, a że tym ruchem przypomniała Lukierdę, książę cofnął się przestraszony.

Ryksa długo, bacznie mu się przypatrywała, oczy jej zdawały się sięgać w głąb duszy.

– Chcę od was dowiedzieć się – rzekła głosem męznym – prawdziwej historii o Lukierdzie. Chciano ją taić przede mną, ja tajemnic żadnych nie znoszę. Są to ciemności, lubię światło i dzień biały. Mówcie mi... prawdę!

Przemysławowi gniew naprzód na twarz wybuchnął, chciał srogim być, uśmierzył się wprędce.

Nie odpowiadając nic, zszedł na stronę i nóż, który miał przyczepiony do pasa, rzucił z trzaskiem na ławę.

Ryksa ani ruchu tego, ni milczenia, ni brzęku się nie ułękła.

– Jeśli wy mi nie zechcecie mówić o Lukierdzie – dodała – będę musiała wierzyć ludziom, co mówią.

– Cóż mam ci mówić? Co?! – wybuchnął książę gwałtownie. – Ludzie obwiniają mnie, plotą baśnie. Jestem niewinny i to tylko powtórzyć mogę. Jestem niewinny.

– Lukierda nie zmarła śmiercią swoją – odparła Ryksa. – Dlaczegoż ludzie was obwiniają? Skąd te baśnie? Co za pieśni o niej nucą?

– Pieśni? Głupia ciżba! Głupie pieśni! Co znaczy karczemne śpiewy!

Mówiąc Przemysław rzucał się i gniewał. Ryksa przypatrywała mu się, śledząc krok każdy.

– Powiedzcież wy mi prawdę – dodała. – Mielście jakąś inną miłośnicę, to wiem. Nie rozumie – wtrąciła z uśmiechem dumnym – żeby to ją miało wielce obchodzić! Wy wszyscy macie miłośnicę, ale co żona i księżna ma z nimi?

Ruszyła ramionami, usta wydeła pogardliwie.

– Jakże śmiała jedna dziewczka jakaś z księżną chce się równać? Prawa jakieś rościć? A wy, jak na to mogliście pozwolić?

– Wiecie wszystko – przerwał jej Przemysław z gniewem. – Po cóż pytacie mnie? Nasłuchaliście się już baśni na zaniku, przyniosły wam je baby usługne. Wiercie im sobie, gdy chcecie.

– Ja właśnie prawdy chcę od was, aby nie być zmuszoną im wierzyć – odparła chłodno Ryksa. – Więc mówcie.

Przemysław przeszedł się po ciasnej izbie. Ile razy spojrzął na tego żywego upiora stojącego przed sobą, na te oczy zimne, szklane, ostre, które się w niego wpijały, dreszcz przechodził po nim.

– Czego chcesz ode mnie?! – zawołał zrozpaczony. – Ja sam nie wiem spełna, co i jak się stało! Lukierda tęskniła za swoimi, niczym jej nie można było zaspokoić. Płakała, zabijała się łzami... Odpychała mnie, nie cierpiała.

– A wy?

– I jam ją w końcu znenawidzić musiał – odpowiedział Przemysław. – Nie na to mąż, jak ja, niewiastę bierze, aby mu ona płacz do domu codzienny wносиła. Nie miałem potomstwa, nie mogłem go mieć; nie żyłem z nią.

Rykosa, stojąc nieruchomo, z oczów go nie spuszczała; gdy mówił, słuchała nie przerywając. Przemysław, poruszając się wspomnieniami tymi, mówił coraz goręcej.

– Mnie i siebie dręczyła! – zawołał.

– Czemuś ją nie odesłał do ojca?

Przemko rzucił głową.

– Wszak prosiła o to...

– W pieśni – przerwał księżę chmurno. – Mnie nigdy nie mówiła o tym... Jam nie słyszał prawie jej głosu. Znenawidziły ją sługi, zniechęciła domowników... zabili ją.

Brwi Ryksy się ściągnęły, drgnęła.

– A wy, coście tu panem, dopuściliście...

Przemysław rozpostarł ręce:

– Tak – rzekł – winienem, choć niewinny jestem. Ale na Chrystusa przysięgam, ja nie dawałem rozkazu, ja nie wiedziałem o zabójstwie.

– Nieszczęśliwa, słaba, bojaźliwa niewiasta! – odezwała się Rykosa. – Ja... ja inną byłabym na jej miejscu.

Przemysław spojrzął na nią. Stała nieulekciona, smutna tylko.

– Na jej miejscu, ja bym te sprośne baby dała potracić. Sługi! Niewolnice! Żeby śmiały targać się na mnie?! Nie mówcie mi, żeście niewinni! Na coście jej dali i trzymali takie sługi?

Przemysław powtórzył bezmyślnie:

– Nie winienem!

– Winniście – odparła Rykosa – bo na waszym zamku, pod bokiem pana, nic się stać nie powinno bez jego woli!

Milczeli oboje. Rykosa białą ręką pogładziła włosy złote, ustąpiła kilka kroków i na ławie przysiadła.

Rozmowa, którą on miał za skończoną, dla niej była dopiero poczęta. Nie zważała na to, że mąż zbyć się jej chciał widocznie.

– Tak, wy winniście – dodała – ale winna i ona! W jej miejscu Rykosa królowna postąpiłaby inaczej!

Spojrzelili na siebie, młoda pani rąbek, który twarz jej dokoła otaczał, wzięła w ząbki białe i gryzła go nimi.

– Wiem więc wszystko, jak było – rzekła – a widzicie, że się jej losu nie boję. Jestem córką ojca, co nawykł wojować z rodziną, jam gotowa z własnym domem. Mnie te sługi nie zabijają, bo ja je za jedno zuchwałe spojrzenie zabijać każę. A zechcesz mieć miłośnice, nie powiem nic! Ale tego niechlujstwa, żeby mi na zamku nie było! Do chlewów z tym brudem!

Księżę słuchał jej milczący. Wstała powoli z ławy.

– Tak! Tak! – zamruczała. – Prawdą jest wszystko, co pieśń mówi! Nieszczęśliwą zameczyli! Ludzie mówią, że ja do niej podobna. To być nie może... Ja czuję w sobie, że nie dałabym się, jak w sidła złapane ptasze, udusić! Nie!

Przemysławowi dolegało już to powtarzanie i, zwracając się ku niej, rzekł chcąc zakończyć rozmowę:

– Tak... była sama sobie winną... i jam winien był; najwinniejsze te baby przekłete! Ale dziś to niepowetowane sprawy! Nakazałem modlitwy, zakupiłem nabożeństwa, uspokoiłem sumienie... Nie mówcie o tym, nie jęczcie rany!

Rykxa popatrzała nań.

– Między nami tajemnic być nie powinno – odezwała się z powagą. – Jam tu nie żadna miłośnica, ale córka królewska i żona, której przystało powiedzieć, co na sercu miała... a iść krokami pewnymi... Po com taić miała! Ja się nie boję nikogo!

Z uspokojoną nieco twarzą książe się do niej przybliżył.

– Dość tego! – rzekł. – Chcę wiedzieć tylko, kto śmiał do uszu waszych przynieść te...

– Żebyś go ukarał? – przerwała Rykxa. – Karz-że wszystkich, co pieśń tę śpiewają.

Zzymnął się książe.

– Ludzie ci niewdzięczni – odezwał się – nienawidzą mnie. Ale któż ci te pieśni tłumaczył?

Rykxa uśmiechnęła się.

– Kto? Chodziłam po zamku – odparła – usłyszałam głos spod ziemi. Kto wie? Może od jej grobu?

Książę przeżegnał się z przestachem, po twarzy Ryksy przebiegło jakieś drgnięcie szyderskie. Widząc twogę męża, ulitowała się w końcu nad nim. Jakby się do wyjścia przysposobiła, ściągnęła suknię.

– Macie dość tej rozmowy – dodała. – Przerwijmy ją. Ja wiem, com potrzebowała z ust waszych usłyszeć, i wy dowiedzieliście się, że drugą taką, jak ona, nie będę. To dość!

Przemysław, jakby już słuchać nie chciał, kaftan, który miał na sobie, począł gwałtownie ściągać. Oczy mu dziko błyszczały, mruzczał coś niewyraźnie.

Księżna popatrzyła na lampę, po ścianach i, jak gdyby wszystko już było zapomniane i skończone, odezwała się głosem jasnym:

– Jest goniec od księdza Jakuba! Ciesz się, książe! Dobre wieści!

Zwrócił się ku niej Przemysław, patrząc ciekawie.

– Ziemianie twoi dzielni są, należy im nagroda. Nie czekali rozkazów twych, nie pytali o nie, zebrali się, uderzyli na tę twierdzę, którą oddaliście Ślązakowi.

– Ołobok! – wykrzyknął książe, podnosząc rękę.

– Tak! Odebrali go – mówiła Rykxa wesoło prawie – całą tę ziemię zawojowali.

– A mnie tam nie było! – z boleścią zawołał książe.

Rykxa, która o wszystkim już starała się być uwiadomioną, znalazła i na ten okrzyk mężowski odpowiedź.

– Mówiono mi – rzekła – iż wy tam nie powinniście byli się znajdować, boście Ołobok ten ustąpili i na tym pieczęć swą położyli, a oni do niczego się nie obowiązywali.

Z pewnym zdumieniem książe popatrzył na żonę swą, która już tak wprędce wtajemniczyła się we wszystkie jego sprawy.

– Bogu niech będą dzięki – rzekł. – Wszystkie spiski i knowania stłumione. Ołobok odebrany, oddycham lżej.

– Tak! Możecie i powinniście iść teraz i zdobywać – dodała Rykxa. – Królewska córka, spodziewam się być królową!

Rękami nad głową uczyniła ruch, jakby wkładała koronę, i powoli wyszła z izby.

Książę stał długo zadumany o całej tej rozmowie, o żonie, o sile, z jaką występowała, a która mu się prawie groźną wydała. Nie dano mu czasu długo nad tym rozmyślać, wszedł lektor Teodoryk z księgą modlitw w rękę. Była to jego godzina. Przemysław, syn ojca tak pobożnego, tak świętego, iż go innym za przykład stawiano, bo nieraz nocą, gdy wszyscy spali, okryty włosiennicą, przy małej lampce do dnia się modlił, wychowaniec Bolesława, słynnego także z pobożności, kończył dzień każdy modlitwą. Ksiądz Teodoryk z nim ją od-

mawiał. Tego dnia począł od powinszowania odzyskanego Ołoboku, z czego się wszyscy cieszyli. Książę też dla radości tej zapomniał o przykrej z żoną rozmowie.

Nazajutrz przybył z rozjaśnioną twarzą arcybiskup. Mąż to był stworzony, aby w tych czasach bezładu i rozprzężenia, silną dłoń chwyciwszy wodze, przodował wszystkim osłabłym i powątpiewającym. Z każdym dniem zyskiwał na powadze, na sile, na wierze w posłannictwo swoje. Na twarzy jego malował się ten spokój mężny, który znamionuje wielkich ludzi.

– Ziściły się słowa! – rzekł, ręce podnosząc ku Przemysławowi, który spieszył na jego powitanie. – Ziemi kawałek niewielki był, ale srom oderwania bolesny! Boże błogosław! Jest to wróżbą przyszłości lepszej.

– A Henryk? – odparł książę.

– Jeśli się nie mylę – rzekł Świnka – nie będzie miał ani czasu, ni ochoty odzyskiwać, co wydarł niesłusznie. Ja zwołać nań muszę synod dla sprawy mojego brata Tomasza wrocławskiego, zdzierstw i krzywd naszych. Groźbę mu pošlę, nie zechceci słuhać, piorun rzucić będę zmuszony. Niechętnie ciskam je, bo z tymi oswajają się ludzie, ale na tego zuchwalca, który praw żadnych znać nie chce, będę zmuszony.

Za arcybiskupem wtoczyli się z twarzami wesołymi: kasztelan, wojewoda, urzędnicy, wszyscy panu winszując a dumni męstwem swojego rycerstwa.

Gwarna rozmowa ledwie się rozpoczynała, gdy ochmistrz dworu księżnej drzwi otworzył i piękna Ryksa weszła strojna, dumna, a tak swobodna i wesoła, jakby nic wczoraj nie zachmużyło jej czoła i nie ścisnęło serca. Książę się jej coraz bardziej zdumiewał.

– Wy, ojczy – odezwała się, całując rękę arcybiskupa – zawsze nam z sobą przynosicie błogosławieństwo. I książę, pan mój, szczęśliwy jest, jak nie był dawno...

– Bodaj ten dzień wróżył wam całe pasmo jasnych! – odezwał się Świnka z uniesieniem proroczym. – Tak! Spełni się, com nosił i noszę w sercu jako modlitwę do Boga! Ujrzymy znowu na głowie księcia koronę długo spoczywającą w ukryciu, a z nią przyjdą siła, pokój i ład! Jeden tu pan być musi znowu!

Przemysław wzdychał: – Ojczy mój, daleko jeszcze do tego!

– Jeden Bóg wie, co dalekie, a co bliskie – odparł Świnka. – Człowiek czynić ma, co powinien, a Opatrzności zostawić, co z czynów jego ma wyrosnąć.

Na zamku, w mieście panowała radość wielka. Echo jej odbiło się aż w ciemnym tym więzieniu, w którym zapomniany siedział Zaręba. Staraniu ukrytych przyjaciół swoich, zabiegom cichym Nałęczu winien był, że go dotąd na stracenie nie wywiedziono. Dzień po dniu zwlekał się wyrok i jego wykonanie. Słaby promyk nadziei jakiejś świtał, iż wierny Pawłek potrafi go wyzwolić.

Pobożny i zabobonny Zaręba, jak naówczas byli wszyscy, śluby czynił wielkie, jeźliby mu cud boży ocalił życie, ale zarażeni zemstą poprzysięgał zajadlejszą jeszcze znienawidzonemu księciu.

– Nie zginie on, tylko z mej ręki – powtarzał ciągle – jeśli mnie przyczyna świętych pańskich stać wyzwoli.

Nałęcz biegał i robił, co było w mocy jego, aby stróżów przekupić albo się podkopać do jamy. Jedno i drugie się nie wiodło. W ostatku, gdy się przekonał, że już o wyłamaniu się wcale myśleć nie było można, Nałęczu i Zarębowie złożyli grzywien tyle, że ich starczyło na wykupienie najdroższego życia.

W szynku miejskim, do którego czasem dozorca więzienny przychodził, nieznani ludzie poczęli się zbliżać do niego, poić, zawiązywać rozmowę, w końcu mu podszeptano okup tak wielki, że oprzeć się było niepodobna. Miał za co biedny człek kupić sobie ziemi kawałek. Ale razem z więźniem uchodzić musiał i dozorca na Śląsko, do Brandeburgów, w kąt jakiś daleki. Miał tu żonę i dzieci.

Dnia jednego przyszło nareście do zgody. Znalezione w więzieniu człowieka, z dawna tam za zabójstwo osadzonego, który do Zaręby wzrostem i włosami był podobny. Tego miano

osadzić na jego miejsce, jakby ci, co pochwycili Michnę, omylili się. Więzień zgadzał się na to, co go mówić nauczono, dając mu nadzieję oswobodzenia. Wieczorem wydobył się Zaręba z ciemnicy, gdy straży nie było, wypuszczony przez dozorcę i wprost poszedł do kościoła razem Bogu dziękować i zemstę przysięgać... W jego miejscu siedział już zbój ów wyuczony, aby go zastąpił. Tymczasem o Zarębie zapomniano, dopiero gdy po odzyskaniu Ołoboku mowa była o Kaliszu i zdradzie Sędziwoja, przypomniano sobie jej sprawcę.

– Stracono go czy nie? – zapytał książę.

– Rozkazu nie było.

Ręką dał znak książę, iż dłużej zwlekać z tym nie było potrzeby. Nazajutrz rano kazano Zarębę na plac wyprowadzić. Szemsza, który go pojmał, dowiedziawszy się o tym, szedł patrzeć, jak wrogowi łeb zetną. Wtem ujrzał ciągnionego na sznurze człowieka.

– A toć nie on jest! – zakrzyknął. – Gdzież tamten?

Usiłowano wmówić mu, iż ten był, którego pojmał. Wszczął się spór i rozterka, strzeżono ciemnice, innego nie było. Wściekał się i pienił Szemsza, ludzie się zaprzysięgali, że szatan chyba zamianę zrobił w więzieniu, z którego nikt wymknąć się nie mógł.

Wstrzymano wykonanie wyroku, bo człek był inny, a ten wyznawał, że jego czasu wesela nie wiedzieć za co wtrącono do więzienia. Dozorca więzienia, stróże, broniąc swej sprawy, obwiniali Szemsza lub szatana. Musiano się odnieść do księcia. Przemysław wiadomość dziwną przyjął obojętnie.

– Prędzej czy później – rzekł – Zaręba wpadnie w ręce moje, a naówczas nie ujdzie śmierci.

Puszczono tego, który zastąpił winowajcy miejsce, a Szemsza poprzysięgał, że albo sprawa w tym była diabelska lub nieprzyjaciół książęcych. On pewien był, że omylić się nie mógł. Zaręba, gdy się to działo, zbiegłszy wraz z Nałęczem, już się u swych powinowatych ukrywał.

ROZDZIAŁ VIII

Dziewięć lat upłynęło od ożenienia Przemysława, czasu przeciąg wielki, który też znaczne sprowadził zmiany. Najśmielsze nadzieje, wieszczby prorocze arcybiskupa się iściły. Nie dał Bóg tylko spodziewanego płci męskiej potomka, gdyż księżna wydała na świat córkę, jej imieniem ochrzczołą.

Przemysław rósł w potęgę. Umierający Henryk śląski, jakby chciał dawne swe przeniewierstwa nagrodzić, ostatnią wolą odkażał mu Krakowskie i Sandomierskie. Mszczuj pomorski, nie mający potomstwa oprócz córki nie uznanej, zapisał mu ziemie swoje.¹⁰¹

W rękach więc Przemysława skupiła się najznacniejsza część polskiej ziemi; panem był rozległego kraju, a Świnka naglił i nakłaniał, aby włożył na skronie koronę Chrobrego. Dogałała się tego Ryksa, coraz większą nad mężem władzę zdobywająca. Przemysław sam pragnął tego, lecz wahał się i lękał.

Po wszystkich ziemiach chodziła już wieść o tej koronie dla niego przeznaczonej, a arcybiskup nie mógł go skłonić jeszcze do naznaczenia dnia wielkiego. Przecucie jakiegoś złowrogie wstrzymywało go. Nie było ono zupełnie płonnym. Na sam odgłos tego, co Świnka chciał dokonać, nie tylko Brandeburży, książęta śląscy, ale wszyscy posiadacze dzielnic mniejszych zaczęli trwożyć się o nie. Przyszły król prędzej, później musiał się starać o ich odzyskanie i przyłączenie. Korona Chrobrego innego znaczenia nie miała.

Ze wszystkich jednak, co się przeciwko wznowieniu królestwa gwałtownie opierać zapowiadali, Ottonowie brandeburscy byli najzjadlejszymi. Odgrażano się u nich nie dopuścić korony nowej.

Zarębowie i Nałęczę nosili po wszystkich ziemiach popłoch ten, że przyszły król na zagładę rycerstwa i ziemian berło w rękę pochwyci, że zapanowawszy, wszystko w garść ściśnie, a nikogo do rady wzywać nie będzie. Łacno tym było poruszyć ziemian, którzy woleli małych i słabych książąt, potrzebujących ich, zmuszonych kupować łaskami, niż jednego silnego pana.

Właśnie Mszczuj, książę Pomorza, zmarł był w Oliwie, a Przemysław, objąwszy Gdańsk, nakazawszy go obwarowywać, wracał do Poznania, gdy jadącemu zabiegł drogę poseł arcybiskupi zapraszając do Gniezna. Tu w starym zamczysku gniazdowym, które Świnka zajmował, ogniskowało się niemal całe Polski życie. On był jej głową, a w ciągu lat ostatnich, pracując około uporządkowania spraw kościelnych, zapewnienia praw duchownym, nie spuszczał z oka nigdy korony tej, która była marzeniem jego.

– Koronę podnieść potrzeba, aby jedność przywrócić! – powtarzał nieustannie.

Pragnął jej Przemysław, gorąco życzyła Ryksa, obawa tylko poruszenia nieprzyjaciół wstrzymywała.

Dwórcy arcybiskupi w Gnieźnie nigdy tak świetnym nie był, jak za Jakuba II. Świadom obyczajów europejskich, czując, że świetność zewnętrzna poszanowanie wraza, trzymał dwórcy niemal królewski, dbając, by on świadczył o sile jego. Nigdy też powaga metropolity w Kościele i kraju większą nie była. Biskupi szli razem z nim zgodnie, umiał ich jednać i kierować nimi.

¹⁰¹ Mszczuj pomorski... zapisał mu ziemie swoje. – Mszczuj zawarł tajny układ z Przemysławem w sprawie Pomorza jeszcze 1282 r. Umowa ta, zawarta pod naciskiem części możnowładztwa i rycerstwa pomorskiego, miała zabezpieczyć Pomorze przed dostaniem się w ręce Brandenburczyków lub Krzyżaków. Kraszewski natomiast wiąże ten fakt, zgodnie z Długoszem, z rokiem 1290.

Myśl wydobywania długi w ukryciu przechowywanej korony Chrobrego już z nimi była zgodnie urządzoną. Wszyscy, aż do krakowskiego biskupa, godzili się na to, iż obrzęd uroczysty wedle starych tradycji powinien się odbyć w tym Gnieźnie, które Gniazdem było. Przyłączenia Pomorza do posiadłości Przemysława zdawało się najwłaściwszą chwilą do uczynienia tego stanowczego kroku. Świnka pewien był, iż nie spotka oporu w Rzymie. Korona szła stamtąd i hołdowała apostolskiej stolicy.

Przemko na wezwanie pospieszył do Gniezna, które dziś obmurowane, przystrojone, wspanialszym prawie było od Poznania i jednemu tylko Krakowu ustępowało. Kościół metropolitalny, pałace arcybiskupie, zamek, który liczna zajmowała załoga, równych sobie w Polsce nie miały. Siła wojskowa, straże przyboczne, dwór Świnki świadczyły o jego zamożności i ładzie, jaki pod rządami jego panował.

Miał swoich pułkowników, tysiączników, setników, jazdę, piechotę zbrojną i odzianą dostatnio; ochmistrzów dworu, podkomorznych, komorników, łowczych, koniuszych, kanclerza i wielką liczbę duchowieństwa, która go zawsze otaczała. Na żadnym zamku naówczas tyle ruchu i życia nie było. Posłańcy rozbiegali się stąd na wsze strony i zbiegali tu zewsząd. Nigdzie szybciej nie dochodziły wiadomości, znikąd spieszniej nie rozbiegały się rozkazy.

Dwór, choć po europejsku przyodziany, miał to sobie właściwego i tym od innych się różnił, że był przeważnie polskim. Arcybiskup, który pierwszy nalegał na to, aby kapłani jego świadomi byli języka ludu, oczyszczał z cudzoziemców parafie, kapituły i klasztory. Jego też otaczali krajowcy, a Niemcy, wciskający się po troszę zmuszeni byli i mowy się uczyć, i zastosowywać do obyczaju. Za niego dopiero po kościołach szerzej a głośniej odzywać się zaczęło słowo boże w języku powszechnie zrozumiałym, a w kościele świętego Wojciecha znowu polskie pieśni śpiewać poczęto.

Pierwszy on zrozumiał, jak potężnym narzędziem był dotąd pogardzany język ludu. Przykład z góry płynący potężnie działał na wszystkich. Do klasztorów, w których najwięcej miesiło się mnichów nasyłanych z Niemiec, Włochów i Francuzów, przyjmować zaczęto Polaków. Naówczas po raz pierwszy ozwały się pod kościołem, na kazalnicy do murów przystawianych, te jędrne, dramatyczne, często wesołe, zawsze poruszające kazania mnichów naszych świętego Franciszka do braci siermiężnej jak oni. Nimi ten zakon zdobył sobie miłość powszechną. Często w nich, sam z ubogiej wyszedłszy chaty, prosty a świątobliwy człek odzywał się, tak malując obyczaje – wtajemniczony w nie, iż ludzie zasromani, wzruszeni, pokrzepieni na duchu, wracali do domów niosąc złota ziarna.

Oczekiwano w Gnieźnie na Przemysława, gotując się go przyjmować jak zwycięzcę po zajęciu Pomorza i obwarowaniu Gdańska, na który łakome oczy zwracali Brandeburcy, krzyżowi rycerze niemieccy i powinowaci zmarłego Mszczuja.

Księżna¹⁰² Ryksa, wyprzedziwszy męża, tu nań na zamku oczekiwała. Lat dziesięć upłynionych uczyniło ją dojrzałą niewiastą. Nie było to już śmiałe dziewczę młode, z dziecięcym nieświadomością zuchwalstwem, ale poważna niewiasta w pełni sił, będąca męża towarzyszką i radą. Ona teraz posiłkowała najdzielniej arcybiskupowi w sprawie korony. Przemysław, jeśli się wahał, to tylko, aby w siły rosnąc, pewniejszym był jej utrzymania. On i Świnka rozumieli to wręcz, że choćby niedługo miał nosić koronę, dźwignięcie jej i przekazanie jakiemukolwiek następcy, przyszłość państwu wróżyło.

Arcybiskup przyjmował księżnę z wystawą książęcą. Duchowieństwo, dwór jego, urzędnicy – wysypali się na jej spotkanie. Zsiadła u drzwi kościoła i, tu przyjąwszy błogosławieństwo pasterskie, szła do pałacu arcybiskupa, który równie wspaniale a smakowniej przybrany był niż dworce poznańskie. W izbach, w których ją posadzono, ściany całe zawieszane były tkaninami flamskimi, kobiercami przedziwnie tkanymi, obrazami z Włoch przywiezionymi, naczyniami okrytymi emalią barwną i drogim kamieniem.

¹⁰² Księżna Ryksa – w pierwodruku omyłkowo królowa.

Świnka lubił to, co mu Włochy przypominało i cudzoziemskie dwory pańskie. Nie miał obyczajów pieszczonych, ale co oczy ściągając, ducha podnosiło, jak owoc pracy a myślenia ludzkiego, cenić umiał. Widział w tym płody cywilizacji chrześcijańskiej, odradzającej świat z barbarzyńskich rumowisk. Pobożnie, ale zarazem wesoło wyglądały te komnaty lśniące przedziwnymi ozdobami. Tu ołtarzyk z kości słoniowej, owdzie świeczniki złociste, obrazy na tłach złotych, kropielnice z alabastrów ubierały ściany.

Księżna rozpatrywała się po izbach, w których wszędzie coś osobliwego ujrzeć było można, a i księgi porozkładanymi na pulpitych malowaniami oczy porywały.

Wtem wszedł arcybiskup. W nim pod suknią duchownego, do której był już nawykł, znacznym był stary obyczaj rycerski. Trzymał się prosto, patrzył śmiało, siłę, swobodę, wiarę w siebie w każdym widać było ruchu. Szedł jakby czując posłannictwo mu zwierzone przez Boga. Nim dla Ryksy i jej dworu stół zastawiono, poczęła się rozmowa.

– Jeżeli nie myślą mnie rachuby moje – rzekł Świnka – księżę nasz dziś przybyć powinien.

– Tak jest – odpowiedziała księżna. – Dziś być musi. Znać mnie, ojczyźnie, iż nie jestem trwożliwą, lecz gdyby się opóźnił, niespokojną bym była. Czyhał i łapał Przemysława Henryk. Zagęścił się u nas zwyczaj ten chwywania ludzi i wymagania na nich męczarnią, aby się swoich praw zrzekli. Mieliśmy tego przykłady. Przemysława, przyszłego króla, lękają się.

– Bóg go zachowa cało! – rzekł arcybiskup.

– Brandeburczycy, jak wiecie, odgrają się nań. Nie śpią Zaręby i Nałęcz. Spiskują już lat tyle.

– Najlepszy to dowód, iż nic uczynić nie mogą – przerwał arcybiskup. – Gdyby się czuli na siłach, choć próbować by się ważyli.

– Zarębów i Nałęczów tych wszystkich precz wywołać należało, a księżę ma ich i na dworze.

– I tym sposobem ich rozbraja – dodał Świnka.

– Ja nie wierzę im! – dodała Ryksa. – Z oczów ich czytam zdradę.

Księżna pomimo odwagi swej nasłuchiwała ciągle niespokojna.

– Ostatni przykład Henryka wrocławskiego zawsze mi stoi w pamięci – dodała – choć głucho tylko wiem o tej sprawie.

– Niewesoła to powieść – wtrącił stojący blisko kanclerz Wincenty – ale ciekawa.

Księżna, szukająca roztargnienia, zażądała, aby ją opowiedziano.

Kanclerz namyślał się nieco.

– Tak – rzekł – powieść to smutna, ale nauczająca. Ja może lepiej ją znam niż inni. Nie pierwszy to przykład podstępnych napadów i więzień okrutnych, ale do niej wchodzi i historia onego Ludka, warta pamięci.

Kanclerz, pomilczawszy, rozpoczął powoli:

– Bóg da może, iż z tego stanu oplakanego wyjdziemy, ale dziś współzawodnictwo książąt i chciwość posiadłości do czego doszły, potomni wierzyć nie zechcą.

Wiadomo wszystkim, jak z sobą żyją śląscy książęta, którym niecny Rogatka był przykładem. Brat na brata gorzej wilków czyhają. Henryk wrocławski i lignicki najsilniejszy był też celem zamachów własnej rodziny, zazdrosczącej mu panowania. Konrad głogowski, Bolko świdnicki spiskowali przeciw niemu; Bolko, który sprzymierzeńcowi swemu pomoc przyrzekał, nie dawał nic oprócz przyrzeczeń, coraz tymczasem wyludzając za nie jaki szmat ziemi. To miasteczko, to grodzik, to powiatu kawał zagarnął nie dając nic.

Ciągnęło się to długo, aż Konrad sobie przypomniał, co robili Rogatka i Henryk starszy. Zmiarkował, że najłatwiej zdradą chwycić człowieka, umęczyć go i zmusić, aby ratując życie, oddał bodaj wszystko, co ma.

Na dworze Henryka¹⁰³ był z dawna w wielkim znaczeniu, do rady wzywany, mąż rozumny Pakosław, rodem z Abdanków, a jak się to trafia, gdy kto w łaskach będąc, potrzebnym się czuje, Pakosław nawykł był księcia Henryka samego lekceważyć sobie, a na jego powadze się opierając, z ludźmi poczynać samowolnie.

Miał Pakosław sąsiada, rycerskiego stanu człowieka, Różę, z którym o znaczną przestrzeń lasów na granicy w sporze byli od dawna. Odgrzązał się nań Pakosław długo, mocnym się znając, aż gdy mu jego łąki koszono, napadł Różycą i zabił. Morderstwo było jawne, utaić go nie sposób. Zapozwali synowie zabitego mordercę przed księciem. Henryk się tym zgryzł mocno, bo rad by był uniknąć karania człowieka, którego miłował, a niesprawiedliwym okazać się nie chciał.

Dumny Pakosław tak pewnym był, iż mu się nic stać nie może, że z synami zabitego o głowę układać się nie chciał.¹⁰⁴ Nadszedł dzień sądu. Przynieśli ciało synowie z płaczem, narzekaniem, całym rodem idąc, przy wielkim zbiegowisku ludu. Morderstwo było jawne.

Pozwany Pakosław stanął zuchwale przed księciem i ufając sobie, rzekł: „Tak jest, zabiłem zuchwałego ziemianina, nie zapieram się – zabiłem go”.

Krzyk zaraz podniesiono, domagając się sprawiedliwości. Ta inaczej wypaść nie mogła, tylko głowa za głowę. Wielce zafrasowany książę przywołał Pakosława do siebie i rzekł mu: „Naradz się ze swymi, sprawę zagodź albo tłumacz się inaczej”.

Wyszedł potem z sądu dając czas obwinionemu. Ten, wcale z zuchwalstwa swego nie ustępując, pewien tego, że u boku księcia wysokie stanowisko zajmował, a był wyższym nad prawo, zapytany powtórnie odezwał się: „Zabiłem go, nie zapieram się”.

Książę Henryk popadł w gniew wielki, bo wyzywał go niemal, i rzekł mu: „Nierozumny człeczko, oszalałeś chyba! Własnymi usty wydajesz na siebie wyrok śmierci. Odejdź precz stąd! Ostrzegam cię po raz ostatni, ocal żywot własny! Otrzeźwij, wróć do rozumu, inaczej zmusisz mnie, że zamiast panem łaskawym, będąc sprawiedliwym sędzią”.

Pakosław, jakby istotnie zmysły postradał, ufając jeszcze, iż książę nań wyroku wydać nie może, pomimo przestrogi powtarzał ciągle: „Zabiłem, więc zabiłem!”

Nie można było wymóc na nim, aby tę mowę płochą odmienił. Rodzina zabitego nalegała, dwór i lud patrzył na to, przebaczyć i pobłażyć nie było w mocy księcia. Dał znak. Wyprowadzono Pakosława wschodami w podwórze lignickiego zamku i tam go, wobec wszystkich, ścięto. Do ostatniej chwili urągał się i szydził.

Książę, który kochał go bardzo i nawykł do niego, po śmierci człowieka, który przyjacielem mu był, utulić się nie mógł w żalości. Synka jedynaka, sierotkę, Ludka, wziął jak własne dziecko na wychowanie, trzymając przy sobie i obsypując łaskami. Dziecko to, które na śmierć ojca patrzyło i, potajemnie chustę we krwi jego zmoczywszy, nosiło ją zawsze na piersi, poprzysięgło zemstę księciu. Wiedzieli o tym niektórzy na dworze i ostrzegali pana, aby nie trzymał przy sobie niebezpiecznego wyrostka. Książę słuchać ich nie chciał, wierzyć nie chciał, starał się owszem coraz większą ujmować go dobrocią. Na ostatek, gdy nalegać zaczęto, żeby był od dworu usunięty, książę szczerze i otwarcie się z nim rozmówił, okazując mu, że ojciec jego sam śmierci swej był przyczyną, a on choć chciał ocalić go, nie mógł. Dał mu tedy do dwóch miesięcy czas, aby się namyślił i albo się wyrzekł zemsty za śmierć rodzica, lub się oddalił od dworu.

Po dwóch miesiącach Ludek przyszedł oświadczając publicznie, że wie, iż ojciec jego sprawiedliwie był ukarany, poprzysięgając uroczyście na krzyż i Ewangelię, iż śmierci ojca słowem ni czynem, jawnie ani potajemnie, nigdy w żaden sposób nawet nie przypomni, nie będzie się użalać ani zemsty szukać za nią. Prosił księcia, aby nieufność przeciw niego zaniechał, ofiarując mu się służyć wiernie.

¹⁰³ Na dworze Henryka – chodzi tu o Henryka Otyłego, syna Rogatki, znanego czytelnikowi z I tomu powieści.

¹⁰⁴ ...z synami zabitego o głowę układać się nie chciał – tzn. o odszkodowanie za zabójstwo.

Książę, który go kochał, rozplakał się, uściskał go i zapewnił, że w nim znajdzie drugiego ojca, a on i cały ród jego wdzięczność winni mu będą. Od tej chwili, jak dawniej Pakosław, tak teraz Ludek w nadzwyczajnych był łaskach. Nieodstępnie księciu towarzyszył, a dwór mu cały zazdrościł, bo go nad innych pan przenosił i nadzwyczajnie obdarzał. W duszy jednak dziecka pamięć ojca zawsze żywą była i chusty krwawej z piersi nie zrzucił.

Stało się, że Konrad głogowski, wiedząc o tym, postarał się zbliżyć do niego. Zaraz za pierwszym razem napomknął mu o ojcu, dziwując się, iż służyć mógł panu, który winien był śmierci jego, że nie starał się jej pomścić. Tak powoli dawne pragnienie zemsty w nim rozżarzył, że Ludek, zmówiwszy się z Konradem, uknuł napaść na pana swego. Wywiódł go do kąpieli nad Odrą, blisko Wrocławia, gdzie już ludzie w zaroślach nastawieni czekali. Dworzanie księcia, domyślając się już czegoś, a podejrzewając Ludka, ostrzegli w czas, aby z nim nie jechał. Na co im, śmiejąc się, odpowiedział: „Możecie być spokojni, Ludka pewien jestem ani się go boje!”

Tu księcia w łaźni rozebranego Ludek, dawszy hasło, napadł, a gdy czeladź przestraszona się rozbiegła i jeden tylko wierny dworzaniek go bronił, którego skłuto i na śmierć zarąbano, porwano nagiego księcia, wsadzono na koń, ledwie mu łachman jakiś dawszy do okrycia, i popędzono z nim dniem i nocą do zamku Sandwocia, gdzie Ludek niepoczciwy oddał go Konradowi. Stąd odesłano nieszczęśliwego do warowniejszego Głogowa na straszną męczarnię, której wierzyć trudno, ażeby się mógł dopuścić bliski powinowaty, gdyby ludzie na oczy jej nie widzieli, a ofiara nie przypłaciła życiem.

Ponieważ Henryk wielkiego ducha był i na nic przystać nie chciał, nie dosyć, że go okuto w kajdany, że go wrzucono do smrodliwego lochu, ale zamknięto go w umyślnie zrobionej klatce, w której otwór był tylko, przez który mu nędzną podawano strawę, tak że nie mógł ani leżeć, ani stać i, jakby zawieszony w niej, poruszyć się nie mogąc, z bóleści jęczał dnie i nocce. Pomimo tej katuszy nie dawał się Henryk złamać, nadaremnie na nim wymóc chciano ustępstwa, trwał w swoim: „Raczej umrzeć, niż się poddać!”

Pół roku chodzili doń Konradowi kaci urągając się, pytając, czy już ma dosyć; odpowiadał im kłótwami i łajaniem. Nareście siły tracić zaczął, ciało całe okryło się ranami, bóleści znosił męczeńskie, życie zdawało się uchodzić i zgodził się na wszystko, czego żądano. Okup cały skarb jego wyczerpał, bo trzydzieści tysięcy grzywien wynosił i ziemi musiał dodać wiele. Konrad nie dowierzał, czy mu zapłacą, kazał więc sobie liczyć pieniądze na środku mostu na rzece Czarnej pod Lignicą i dopiero go wypuścił.

Gdy klatkę otwarto i puszczono z niej nieszczęśliwego, ani stać o swej sile, ani chodzić już nie mógł. Zaniesiono go na wóz wysłany chustami i półżywego odwieziono do Wrocławia.¹⁰⁵

– I więcej już zdrowia nie odzyskał – dodał arcybiskup. – To jeden tylko straszny przykład tego, co się tu dzieje na ziemi naszej, a jest podobnych niemało i położyć temu koniec może tylko jedno królestwo niepodzielne, jeden pan, któremu by wszyscy ulegali. Tak chciał mieć ów Krzywousty, którego myśli nie zrozumiano czy spełnić nie chciano. A gdy raz dzielić poczęto, przyszło do tego, iż się ludzie zabijają i krwią oblewają dla kawałka ziemi.

– Nie dziwujciez się, trwożną mnie widząc – dodała księżna. – Dziś wszyscy zastraszeni koroną, swoi i obcy, czyhają na niego.

– Swoich i obcych z bożą pomocą pokonamy – rzekł arcybiskup spokojnie. – Widomym znakiem woli bożej będzie korona Chrobrego, której blask wrogów rozproszy.

To mówiąc, Świnka przeżegnał stronę, z której się księcia spodziewano, i Ryksie kazał być dobrej myśli. Wysłano gońców, aby się dowiedzieć o wracającym, i nazajutrz zbliżanie się jego oznajmiono.

¹⁰⁵ Opisany fakt miał miejsce w roku 1294, a więc zaledwie kilkanaście miesięcy przed koronacją Przemysława II.

ROZDZIAŁ IX

Przemysław spieszył z powrotem i miał do Gniezna jeden tylko dzień podróży, naprzód bowiem wyznaczono popasy i noclegi, na których go ziemianie oczekiwali, gdy w jednej ze wsi, już na własnej ziemi, znalazł niespodzianie większą liczbę rycerstwa okolicznego, jakiego się tu nie spodziewał. Przyjmowano go z radością wielką, bo to byli najwierniejsi jego ziemianie, ci właśnie, co dlań Ołobok odzyskali, starzy towarzysze Bolesława Pobożnego i Przemysława ojca. Nim zsiadł, niektórzy go już na koniu jadącego w kolana całowali, czapki podrzucali, wykrzykiwali go księciem polskim i pomorskim. A że wioska do jednego z nich należała, starego Gozdawy, i on, i ród, i powinowaci, i przyjaciele zastępowali drogę panu.

Ludziska byli dobrzy, serdeczni, do pana po swojemu przywiązani. I księciu serce się otworzyło na widok tych twarzy rozweselonych, rąk powyciąganych, ust uśmiechających się do niego. Dla pana i dla dworu stały już gotowe stoły, beczki na krzyżowych nogach i czego dusza mogła zapragnąć. Osobny namiot rozbito dla księcia, pod który zaproszono go dla spoczynku. Tu oprócz Tyszka Gozdawy, całe grono starszych otoczyło go z miłością wielką. Winszowano mu Pomorza, życzo żywota długiego, spodziewano się doczekać męskiego potomka.

Wśród tych życzeń i powinszowań, łącno jednak poznać było, że im coś na sercu leżało, z czym się odkryć nie śmieli, pogladając po sobie, odkładając, wahając się. Dopiero, gdy już misy zdjęto, a kubki z miodem dolewano, który lepiej niż piwo głowy zawracał i męstwa dodawał (dla czego ojciec Przemysława nigdy miodu nie pijał), wystąpił Tyszko, sam pijąc zdrowie państwa i długi żywot jego a szczęśliwe panowanie.

– Miłościwy Panie nasz! – odezwał się wesoło. – Myśmy tu, dzieci Twoje, drogę Ci zastąpili, aby obliczem się Twym pocieszyć, winszować ci, życzyć, ale jako dzieciom pozwól odezwać się szczerym słowem.

– Wolność to przecie było zawsze każdemu, cóż dopiero wam, stary mój! – rzekł Przemysław, bijąc go po ramieniu.

– Ciężko mi się to z gardła dobiedzie – odezwał się Gozdawa – ale kiedy trzeba, to mus. Wiemy to, Miłościwy Panie, że Was arcypasterz nasz do korony i królestwa prowadzi i że Wy jej godni jesteście, ale ludziom serca drżą obawą. Korona Wam da wielkość, a ona nieprzyjaciół i zazdrosnych ściągnie. Panuj Ty nam, jakoś jest, możliwym księciem, my Cię i tak za króla sobie mamy, a nie wyzywaj złych i zawistnych.

Przemysław słuchał z powagą wielką, lice mu się zachmurzyło. Miał to w naturze swej, co wielu jemu podobnych, iż właśnie gotów był tego najgoręcej pragnąć, co wzbronionym było lub się trudnym okazywało. Tak pierwszy raz korony zażądał, w więzieniu siedząc, a teraz, gdy przed chwilą wahał się, czy jej miał się dobijać, obawa drugich jemu dodawała męstwa.

Gozdawa osłodził, jak mógł to, co wiedział, iż gorzkim się wyda.

– Kochany Ojciec nasz – dodał. – My byśmy ci nie jedną, a dziesięć koron przynieść radzi, ale wielkość nie zawsze daje szczęście i moc, a zawsze ludzi w oczy kole. Już niepocziwi ci Zarębowie i Nałęcz po kraju biegają a noszą, że Ty nam nie ojcem chcesz być, ale panem surowym, i że korona dla Ciebie, dla nas znaczy kajdany. Nie wierzym my w to, ale płochy lud a warchoły się burzą. Mała to rzecz, bo nas więcej, cośmy Tobie wierni, i złych zmożemy, ale Brandeburzi, Ślązaki, a wreszcie i ów Łoktek, co się z Czechem rozbija, niespokojny mały człeczek silnej dłoni i ducha, wszystko to się korony przeleknę. My się o was, Miłościwy nasz, trwożemy, bo Cię kochamy.

– A! – przerwał wesoło Przemysław zwracając się do Tyszka. – Ja nie mam trwogi! Ojciec nasz, Świnka, chce korony tej dla spokoju i dla mocy jednej; ja jej nie sobie pragnę, ale ziemiom tym rozerwanym i bolejącym. Wierzcie, że korona nie zmieni mnie. Jakim byłem, takim zostanę, a bez rady comesów moich i baronów¹⁰⁶ przyczynienia się nie będę stanowił nic. Dla ziemian ojcem będę zawsze... Że wrogowie poczują trwogę, dobrze jest! Przyjdzie z nimi wojować, tego chcę! Na to miecz i pas rycerski noszę! Złego mi się nie stanie nic bez woli bożej, a co wola boża, tego nie ujdzie nikt!

Gozdawa zamilkł, wysunął się Antek Poraita niemłody toż, bo wnuki miał dorosłe.

– Spomniał brat Tyszko o Zarebach, Miłościwy Panie – odezwał się. – My ich znamy, ludzie są źli, a możni. Macie li ich co na dworze albo i Nałęczów, każcie im precz iść.

Nie zważał pewnie na to Poraj, że Nałęcz, którego Krzyżem zwano, bo miał z wojny na licu bliznę czerwoną gdyby krzyż, stał tuż. Ten zerwał się oburzony:

– Za co nas wszystkich zdrajcami za jednego robicie?! Jam ci też Nałęczowego zawołania i z tych, co krwawą chustę na szczycie mają, nie białą, alem panu wierny i nie dopuszczę, aby nam w oczy plwano!

Zaczęto się burzyć, bo pod namiotem Nałęczów i Zarebów nawet było dosyć, a wszyscy się jęli za swoją cześć ujmować, aż książe musiał milczenie nakazać i rzekł:

– Ja wierność waszą znam i nie podejrzewam, ale i tym, co koło mojego bezpieczeństwa stoją, za złe ich troski wziąć nie mogę. Milczcie więc, gdy ja nie obwiniam.

Lecz niełatwo było uspokoić rozdrażnionych, a Poraj dołożył jeszcze:

– Tak ci to Ludek, Pakosławowy syn, przysięgał, że za ojca się mścić nie będzie, przecież Henryka na męki zdał...

I zakończył głośno:

– Za złe nam nie miejcie, Miłościwy, że my się korony obawiamy, aby ona jak Zbawicielowi Panu cierniową nie była. Tyś nam w książęcej czapce królem.

Drudzy poczęli wołać, aby zdrów był i panował im łaskawie, na co książe kłaniając się, kubkiem wkoło wodząc i przepijając, odpowiadał rad bardzo.

Wszczął się rozhovor poufalszy a weselszy, bo ludzie się z sobą wprędce jednać zaczęli, a w duszy Przemysława stało się to, czego pewno ani on, ani się nikt nie spodziewał, wstąpiło w nią męstwo, wielka ochota do korony, gotowość ważenia się na wszystko, aby jej dostać. Gwarzono tak, gdy około namiotu, w którym siedział książe, zamieszanie się jakieś wszczęło i gwar... W dali gromadny tętent koni słyhać było. Popas ten przy dobrej myśli przeciągnął się nad miarę, wieczór nadchodził, a do noclegu ciągnąć daleko było i już tu myślano pozostać, choćby się opóźnić do Gniezna.

Wyjrżeli siedzący w namiocie, co tam zaszumiało i spostrzegli w dali, jeszcze na gościńcu, spory oddział jazdy, który ku obozowi pospieszał. Stawała ta gromadka, rozpytywała po drodze i zbliżała się do namiotu. Nikt nie mógł zgadnąć jeszcze, swoi to byli czy cudzy. Obawy żadnej mieć nie było o co, bo kupka niewielka szła, nie wiadomo tylko z kim i po co. Gdy się tak od namiotu rozpytywano, rękami od zorzy zachodniej zasłaniając, a dobadać się nie mogąc, jezdni zbliżyli się tu. Część ich została w tyle, a jeden na koniu wyrwał się przodem i wprost pod sam namiot książe podjechał.

Ci, co go choć raz w życiu widzieli, łatwo poznać mogli, bo do pospolitego rycerza wcale nie był podobny, a wśród stu drugiego takiego wyszukać było trudno. Wzrostu bardzo małego, krzepki jednak i silny, koniem władający, jakby olbrzymem był, człeczek ten z twarzy marsowato wyglądał, a oczy miał, jak dwa węgliki, rozpalone. Na nim kaftan, zbroja, suknia, pas, hełm wcale były niepoczesne, potłuczone, stare. Mimo to leżało jakoś dobrze i mały pan

¹⁰⁶ I baronów przyczynienia się – tytuły baronów nie istniały w Polsce piastowskiej, były to tytuły zachodnioeuropejskie, związane głównie z dworem cesarskim.

miał zuchwałą postawę. Sama twarz za człowieka i za wzrost stała. Oczy bystre, czoło wypukłe, nos rzymski, usta małe, choć nie pięknym, czyniły go takim, że kto nań raz popatrział, nigdy nie zapomniał tego oblicza.

Ramiona trochę podnosił do góry, jakby się chciał większym uczynić, niż był, a był jak na rycerza maleńki bardzo, ale za to ręce jak żelazne koniem miotały, nogi obejmowały go jak kleszcze. Pod nim szkapa była niezbyt rosła, gruba, mocna, piersista, z grzywą długą, z nożkami cienkimi, tak żwawa jak i pan, co na niej siedział. Okurzony przybywał, zbryzgany, i jakby z długiej podróży, ale nie zmęczony wcale i twarzy pogodnej, z której życie i męstwo tryskało.

Wkoło zaraz wszyscy powtarzać zaczęli: – Łoktek! Łoktek!

Tak przezywano kujawskiego księcia, który pod ten czas właśnie z Wacławem czeskim bił się do upadłego, pożyć mu się nie dając. Znali się oni z Przemysławem, jako powinowaci bliscy a Łoktek za żonę brał Jadwigę, Bolesława Pobożnego córkę, którą Przemysław jako rodzoną siostrę miał i kochał. Dawnej i oni miłowali się wielce, ale teraz? Przemysław ruchawego Łoktka lękał się, aby mu do korony nie mącił. Nie widzieli się dawno i nie spotykali, bo Łoktek prawie od dziecka wojował i dobijał się władzy, a jak mały był, tak niezmordowany i niepokonany.

Skąd się tu teraz wziął, domyśleć się trudno było. Zdumiał się książę, zobaczywszy go, wiedząc, że pokoju z Czechem nie miał. To go gnał, to przed nim uchodził, nie ustając na chwilę. Spojrzeli na się, uśmiechnął się jakoś dziwnie Łoktek. Skoczył potem z konia, a gdy na ziemi stanął, aż śmieszne było, tak się maleńkim wśród tego rycerstwa wydawał. Podali sobie ręce, dobrze patrząc w oczy.

– Gościem mi jesteś nie czekanym! – odezwał się Przemysław.

– Nie z dobrej woli – jędnym głosem, żywo odparł Łoktek. – Tatarzy bestyje znowu Sandomierskie plądrują, poganie przekłęci! Włóczę się zbierając ludzi. Zastyszałem, że od Pomorza ciągniecie, zbiegłem, aby się pożalić z dolą moją. Mało mi było Czechów; Bóg zesłał Mongołów. Tej naszej biednej ziemi pokoju nigdy...

Weszli pod namiot razem. Twarz Przemysława oblokła się jakby cieniem, dumny trochę i zazdrości nieco czytać z niej było można, miłości mało lub nic. Mały ten człeczek mu zawadzał. Łoktek, jak był z drogi spragniony, nie pytając pierwszy kubek nalany schwycił i wypił. Zdjął żelazny hełm ze skroni i czoło z potu począł ocierać. Przemysław patrzył nań pośepnie. Ten już w namiocie, jak u siebie w domu, gospodarzył, ławkę pod siebie podsunął, uczepił się na niej jak na koniu, do chleba sięgnął i kawał go sobie ukroił. Książę skinął, aby strawę jaką przyniesiono.

– Srogoż tam pustoszą Tatarowie? – spytał.

– Wedle obyczaju swego! Pałą i niszczą, a młodzież gnają kupami. Gdyby mi gdzie Czechów pochwycili i potłukli, ale nie! Ci w Krakowskie ujdą, a dzicz ta gonić za nimi nie będzie! O! Sandomierz! Sandomierz! Biedne miasto, tego nigdy nie miną! A co wsi poszło w perzynę!

Podniósł twarz, na której gniew się napiętnował straszny.

– Płakać bym powinien – dodał – ale tego nie umiem! Zły jestem, zacynam sobie znaki, ile zemsty komu winien będę! Powoli popłacę moje długi.

Popatrział na chłodno milczącego Przemysława, jakby go badał; ten wzajem ściganemu przez Czechów i Tatarów rycerzowi małemu, który w niedoli męstwo całe zachował, przyglądał się nieco zdumiony.

Po małym przestanku Łoktek dorzucił:

– Wiecież, po com ja gnał za wami?

– Skądże mam wiedzieć – sucho odparł książę.

– Pomyślałem sobie – rzekł Łoktek – że ty pokój masz, ludzi wiele karmisz darmo, mógłbyś mi pomóc nimi. Po Tatarach żołnierza mi będzie trudno dostać, a Czechów, pobiwszy, dobijać trzeba, aby im smak od naszej ziemi odszedł.

Przemysław potrząsnął głową. Widać było, że prośbie nie myśli zadość uczynić.

– Mówicie, że ja pokój mam – odparł powoli. – Właśnie taki, jak i ty, a większego kraju bronić muszę. Brandeburczyki czekają tylko, aby mnie słabszym zobaczyli, ze śląskimi mam rachunki, w Pomorzu i od pańskiego księcia¹⁰⁷, i od Krzyżaków muszę się mieć na pieczy. Gdyby mi kto pomoc dał, przyjąłbym ją!

Łoktek zdał się słuchać dosyć obojętnie.

– U ciebie wojny nie ma jeszcze – odparł – a jam swoją począł, no i nie skończę jej, aż wszystkich pokonam! Plotło się różnie ze mną; co mi Bóg gotuje, nie wiem, ale zmóc się nie dam nikomu ani nastraszyć. Małym mnie Pan Bóg stworzył, muszę się wielkim stać sam.

Rozśmiał się. M u s z ę to wyrzekł z taką siłą, że Przemysławowi mimo woli podniosły się ramiona. Zuchwalstwo to budziło w nim zazdrość.

– Trudno z Bogiem wojować – szepnął trochę szydersko.

– Ja też nie z nim, a z ludźmi się ucieram – rzekł Łoktek. – Za dużo u nas obcych! Za dużo! Rozpostarli się i zagarniają coraz więcej. Mazowieccy nasi bracia sami najgorszemu wrogowi wrota otwarli, a jeszcze go na własną krew prosili w goście! Rozsiadają się Brandeburcy, wparł się Czech bezprawnie; na wsze strony opędzać się trzeba.

Pomilczał trochę zamyślony i w stół uderzył.

– Nie damy się! Bóg łaskaw!

Mówiąc to, jadł żywo i żarłocznie jak głodny, nie dbający o to, czym się posili. Widać w nim było zaprzątnięcie myślami wielkimi, a lekceważenie reszty. Obok Przemysława uzbrojonego i odzianego wytwornie, ten ze stroju i oręża ledwie się prostym ciurą zdawał. Na szyzaku nie miał nic, zbroję prostą, poczerniałą, na której ślady razów od mieczów i kopij widać było, suknię z grubej tkaniny, płaszcz barwy ciemnej, miecz w żelazo oprawny. Wszystko to trwałe było, mocne, a jak on nie bijące w oczy. Przemysław ze swym wzrostem, postawą książęcą, suknią oszywaną, pasem złożonym, zbroją rysowaną i szmelcowaną gasił go pozorowanie; Łoktek, mały, niepoczesny, miał życia więcej.

W czasie rozmowy Gozdawa i inni ziemianie za namiot się wysunęli, zostawując ich samych. Łoktek, wprędce głód zaspokoiwszy i pragnienie, usta otarł, przeżegnał się i zwrócił ku Przemysławowi. Błysnęły mu oczy dziwnie.

– Co prawią ludzie – rzekł – prawda-li to, że wam Świnka chce koronę dać?

Trochę ironii było w głosie jego.

Przemysław odprostował się dumnie.

– Czemuż by nie? – odparł powoli. – Część wielką dawnego państwa Chrobrego mam pod sobą... a resztę...

– Cóż my naówczas poczniemy? – rzekł mały książę.

Zamienili spojrzenie.

– Włóżyć koronę – dodał – nie tak ci to trudno – zamruczał – ale nosić!

Przemysław czoło uniósł ku górze, nie chciał odpowiadać już.

– Postarajcie się o następcę – dodał mały – a jakby go nie stało wam, przekażcie mnie.

Rozśmiał się. Przemysław się coraz więcej chmurzył.

– Tak – rzekł. – Syna dotąd nie dał mi Bóg! Córka jedna... Od lat siedmiu nie mam potomstwa.

Na tym przerwała się rozmowa, oczyma się tylko mierzyli; sparty na ręku Łoktek dumał.

¹⁰⁷ Pańskiego księcia – chodzi prawdopodobnie o ksiąstewko znajdujące się na zachód od Szczecina, którego głównym miastem była Retra.

– Próżnom więc za wami gonił – rzekł jakby do siebie. – Wiem już, że ludzi mi nie dacie. Pójdę ich zbierać po jednym. Ciężkie to życie, alem ja, jak wy, do pieszczonego nie nawykł, spoczynku nie lubię, znoszę, jak prosty chłop, głód, chłód, trud, wszystko, byle na swym postawić. Mnie gdyby z miękkim łóżem, w kobiercami wysłanej komnacie, choćby z najpiękniejszą dziewczką zamknięto na dłużej jak na dobę, przez dach bym się wydarł, tak by mi próżnica prędko zmierzła!

I śmiał się swawolnie.

– Nie pogardzam ja, jak ty, dziewczyną hożą, choćby jak Mszczujowa, z klasztoru wzięta, a na długo przy kądzieli nawet i podwice gnuśnieć bym nie mógł. Ruszać się bo muszę!

Na wspomnienie to swawolne Przemysław się namarszczył. Od śmierci Lukierdy, od małżeństwa z Ryksą, na żadną niewiastę spojrzeć się nie ważył. Rozmowa o tym przykrą mu była. Rozwiązły podówczas Łoktek chmurę tę na twarzy księcia zrozumiał i zamilkł.

– Tyś się widzę – dorzucił poczekawszy – cnotliwym bardzo stał i Pudyka chcesz naśladować – czemu nie? I ja bym takim rad być, ale poczekawszy...

Rozśmiał się znowu, z ławy zeskoczył, chodząc począł jakby wcale jazda go nie utrudziła. Po namiocie się kręcił coraz coś chwytając i przypatrując się wytwornej broni i zbroi.

Noc nadeszła, musieli oba pod jednym ją przebyć namiotem. Łoktek oznajmił, że dla ludzi i koni noc musi dać na spoczynek, ale do dnia nazad ruszy, aby nowe robić zaciągi, gdy mu nikt w pomoc przyjść nie chce. Z wesołą myślą i daleko swobodniejszy od Przemysława, który ani pobitym był, ani mu kraju Tatarowie nie pustoszyli, legł Łoktek spać, opończą się owinąwszy i nakazując zbudzić się o brzasku.

Przemysław też ze dniem wyruszyć miał w dalszą drogę. Gdy się z rana obudzi towarzysza swojego nie znalazł w namiocie, ślad tylko, kędy spoczywał. Opowiadano, że o świcie spać już nie mogąc, czekać nie chcąc, wymknął się do swoich i puścił ku lasom.

Żegnany przez ziemian okrzykami, książę ze słońcem dopiero ruszył ku Gnieźnie. Podróż tę jednak rozmaite przeszkody, jakby umyślnie, opóźniały. Towarzyszący mu wojewoda poznański, który panu o tym nic nie mówiąc zasadzki się obawiał, gdy dnia tego las zwany Czarnym, gęsty a niebezpieczny do przebycia, przejeżdżać mieli, przodem wysłał ludzi, aby drogę opatrzili. Zbytńia ta ostrożność, z której się śmielsi naśmiewali, okazała się jednak potrzebną.

Wysłani przodem powrócili z wiadomością, iż u brodu i trzęsawic w lesie zaczajoną była kupa zbrojna. O ile poznać mogli, zdawała się złożoną z brandeburskich Sasów, Zarębów i Nałęczów w znacznej liczbie przy nich będących.

Zatrzymano się radząc, co czynić. Sił tej zasadzki w gęstym lesie obliczyć nie było można ale hełmów i kopij sterczało dosyć w zaroślach. Chciał Przemysław iść, uderzyć na nich albo z boku ich zająć, lecz trzęsawisko i moczary nie dopuszczały przystępu. W lesie, gdzie i drzewa mogły być poobalane, i zasieki przygotowane, rozpoczynać walkę ściśniętym, nie zdało się bezpieczna. Wojewoda radził zasadzkę obejść dłuższą drogą, a później, jeśli by nie uszła, osaczyć ją z większą siłą.

Przemysław chciał przebojem iść, wstydzając się tej ucieczki, nie bardzo nawet wierzył w doniesienie... Rycerstwo skłoniło go, że poszedł za radą wojewody. Po długich targach ruszono, dobrze w lewo kołując i nakładając drogi, brzegiem jezior i piaskami. Przemysław w ten sposób zamiast o pół dnia, za ledwie na noc mógł stanąć w Gnieźnie, gdzie nań niespokojnie oczekiwano.

Świnka wyszedł naprzeciw niego do przedsienu, stała Ryksa z córeczką, którą umyślnie do ojca wyprowadziła. Była to jedynaczka tym samym losu trafem, który matce jej dał rysy zmarłej Lukierdy, jeszcze większe do męczennicy mająca podobieństwo, jej nawet naturę trwożliwą, milczącą i smutną.

Z twarzą, którą starał się uczynić wesołą, arcybiskup o zasadzce już uwiadomiony, wprowadził do komnat księcia. Nie mówił on sam nic o niej, gdyż w drodze rozmyślając, przy-

szedł do przekonania, iż u stracha wielkie oczy i dwór jego więcej widział, niż było. Kupka jakaś zbłąkanych włóczęgów mogła być za nieprzyjaciół wzięta. Okazało się jednak, iż było inaczej. Wojewoda, zabrawszy ludzi, nocą pobiegł na to miejsce, w którym widziano zasadzkę. Znienacka napadnięci Brandeburczycy, posadzając Zarębów o zdradę, poszli zaraz w rozsypkę.

Wojewodzie, który się głównie na Zarębów i Nałęczów kusił, udało się ich dwu pochwycić i tych, na koniach twarzami do ogonów poprzywiązywanych, wieczorem przywieziono do Gniezna. Krótkim sądem, pochwyconych na gorącym uczynku zdrady i posiłkowania nieprzyjacielowi, Przemysław ściąć kazał. Zaledwie się to stało, gdy reszta Zarębów i Nałęczów, która przy boku pana była jeszcze, ci właśnie, co na popasie w Woli wierność poprzysięgali, następnej nocy zeszła precz, tak że z tego rodu nikt nie pozostał. Powstało stąd zamieszanie chwilowe i niepokój między ludźmi, lecz wojewoda powagą swą go przytłumił. Arcybiskup i książę cieszyli się owszem, że podejrzanych się pozbyto.

Świnka tymczasem ziemian okolicznych zwoławszy, starszyznę z Kalisza i Poznania, duchowieństwo, na którego czele stanął, do stanowczego zniewolił kroku. Ryksa wiedziała o tych przygotowaniach, domyślał się ich zapewne książę. Wielka izba na zamku dnia tego była natłoczona, komnaty sąsiednie i ganki ziemian pełne, których wojewodowie i kasztelanowie prowadzili. Wszyscy urzędnicy ziemscy, dworscy, arcybiskup i biskup poznański, kapituły, duchowieństwo oczekiwały na Przemysława. Na przedzie w szatach uroczystych Świnka z krzyżem w rękę witał wchodzącego pana. Wskazał na poważne zgromadzenie i ozwał się:

– Miłościwy Książę, oto cały lud twój i ja jako ojciec duchowny ziem twoich, przychodzimy jednozgodnymi głosem prosić cię i wezwać, abyś dłużej nie zwlekał z przyjęciem królewskiej korony, która ci z prawa należy. Wdzięj ją na skronie twe i niech ci ona da nową siłę, abyś nam w pokoju panował i rządził. Przypasz miecz, przodkowi twemu przyniesiony przez anioła, abyś nim zwycięsko nieprzyjaciół wojował.

Tu, na dany znak przez arcybiskupa, ozwały się okrzyki wielkie i wywoływania. Podnoszono ręce, rzucano czapki, uniesienie ogarniało tych nawet, co chłodni lub wahający się przyszli. Poruszyły się serca, otworzyły usta, jakaś nadzieja wielka wstąpiła w nie, jakby korona ta z grobów i mroków dobyta, potęgę z sobą przynieść miała.

Stał książę milczący, poruszony, blady, Ryksa dumna i wesoło spoglądająca. Poczęła się cisnąć starszyzna, otaczając pana, a on też zagrzany miłością, którą mu okazywano, podniósł raźniej czoło.

– Stanie się więc po woli ojca naszego, Jakuba, i was wszystkich. Nie czuję się ja godniejszym korony tej od pobożnej pamięci rodzica mojego, od tych, co mnie poprzedzili, ale palec w tym widzę boży...

Uściskał go arcybiskup, okrzyki się podniosły znowu po izbach, dalej w podwórcach, w których dużo ludu zgromadzonego było. Ten, wnijsć wszystkim nie mogąc, szeroko się tu rozkładał. Postawieni już wprzód trębacze i fleciści zaczęli wygrywać wesoło. Stała się radość jakaś wielka, jakiej ludzie nie pamiętali, a oczów wiele zaszło łzami. Wtem arcybiskup Bogu na podziękowanie do kościoła już wiódł, gdzie duchowieństwo zanuciło hymn i tak owo królem okrzyknięcie uroczystym aktem kościelnym się skończyło.

Gdy wszyscy do katedry ciągnęli, na wałach w tym miejscu, gdzie dwu zdrajców świeżo stracono, stali dwaj ubogo ubrani ludzie, z twarzami bladymi, smutni, przypatrując się z daleka. Mich-nie usta złym szyderstwem drgały, Pawłek był groźnie namarszczony.

– Przysięgam ci! Przysięgam! – mruzczał Zaręba. – Krótka to będzie radość, a skończy się kąpielą krwawą. Nasza krew i niewinnej pani Lukierdy pomszczoną zostanie!

Chwycił ręką garść mokrej ziemi i ścisnął ją, jakby z niej krew, co ją zbroczyła, chciał wydobyc, łzami zaszły mu powieki.

– Cieszcie się i triumfujcie! – wołał. – Pomsta boża nie śpi! Szyję dam, cześć dam, nie ja jeden, wszyscy my, a pani zamordowana i bracia nasi będą zemśczeni!

Z kościoła rozchodziła się pieśń głośna, wesoła, a Zaręba jak nieprzytomny z szału powtarzał ciągle:

– Będą pomszczeni!

Przecisnęli się potem nie postrzeżeni przez tłumy, wyszli za wrota, dosiedli koni w małej szopce zostawionych i manowcami pociągnęli ku lasom.

Tegoż dnia postanowiono, że w dzień świętych Jana i Pawła obrzęd koronacyjny odbyć się miał w Gnieźnie, dokąd biskupi z całej Polski zjechać mieli.

ROZDZIAŁ X

Piękny był ów dzień 26 czerwca 1295 roku, gdy wiosennego poranka niezliczonym tłumem ziemian ze wszystkich polskich krajów i z Pomorza przybyłym, okryły się nie tylko podwórca zamkowe, wały, podwala, ale okolice, na których obozy i namioty legły niezliczone.

Starał się o to stróż i opiekun starej korony, Świnka, aby uroczystość, która po tak długich latach wznowić miała pogrzebiony w krwi świętego Stanisława majestat królewski¹⁰⁸, świetną była a głośną. Zwołał więc wszystkich biskupów, którzy przybyć mogli, Jana z Poznania, Jana Romkę z Wrocławia, Gosława z Płocka, Konrada nawet lubuskiego, a ci, co jak krakowski i wrocławski sami się stawić nie mogli, piśmiennie oświadczyli zgodę swoją. Z Pomorza mnodzy panowie, wysłańcy miast przedniejszych, urzędnicy, rycerstwo pomnażało świetną gromadę, która miała być świadkiem tych odrodzin królestwa.

– Zaprawdę – oświadczył Świnka tym, co go niebezpieczeństwy od korony odstraszać chcieli – zaprawdę, nie o króla tu idzie, bo każdy z nich śmiertelnym jest, ale o koronę, która być nieśmiertelną powinna.

Ta korona, która długo utajoną była w skarbcu kościoła i razem z drogim ciałem świętego Wojciecha chroniona jako talizman święty, leżała teraz na wezglowiu, na nowo z kurzu otarta, w swej starodawnej prostocie, grubymi obręczami złotymi przypominając wieki, gdy je niewprawna ręka, jako umiała, wykonała. Obok niej jabłko królewskie napelnione wewnątrz tą ziemią, której piastowania była godłem, i włócznia świętego Maurycego – relikwia razem i berło, i szczyrbiec leżał anielski. Jak około świętości przechodził lud ciekawy gromadząc się i stając około tych prastarych potęgi pamiątek. Minęło czasu wiele, a obręcze te złote niczyjego nie dotknęły czoła, pył je okrywał żałobny, w ciemnościach czekały na odrodziciela.

Radość wielka rozgrzewała tłumy, a piękny, acz gorący, dzień wiosny ze słońcem wesołym pierwszej roku połowy przyświecał wspaniałemu obrzędowi. Duchowieństwo z arcybiskupem musiało się naradzać nad obrzędem, którego pamięć była zaginęła. Wertowano księgi, słuchano podań ludzi starych, chwytano, co gdzie indziej przy koronacjach się działo; dobierano modlitwy, pisano formuły, szukano pieśni. Ale trud to był ochoczy i wesoły.

W katedrze dwa trony na stopniach podniesionych obok siebie stały okryte suknem szkarłatnym ze złotymi bramowaniami. Naprzeciw wznosił się arcybiskupi. Ołtarz już gorzał światłem rześistym, duchowieństwo oczekiwało, gdy głosy trąb słyszeć się dały od zamku i drogą suknem wysłaną ruszył orszak książęcy, poprzedzany przez ochmistrzów dworu z la-

¹⁰⁸ Pogrzebiony w krwi Stanisława majestat królewski – Kraszewski za Długoszem wiąże upadek królestwa ze śmiercią zabitego na rozkaz króla Bolesława Śmiałego biskupa Stanisława Szczepanowskiego. Król Bolesław obciążony klątwą schronił się na Węgrzech w klasztorze w Ossjaku i tam nagle zmarł. Tradycja literacka (np. Józef Korzeniowski w *Mnichu*) pokazuje Bolesława w Ossjaku jako pokutnika pokutującego za ten ciężki grzech, zakładając tym samym niewinność biskupa Szczepanowskiego. Ale już współcześnie żyjący kronikarz Gali Anonim uważał biskupa za zdrajcę; Szczepanowski był członkiem opozycji magnackiej przeciwnej wzmocnieniu władzy centralnej przez akt koronacyjny Bolesława Śmiałego i popierającej pretensje młodszego brata Bolesława do tronu. Śmierć biskupa krakowskiego ośmieliła opozycję możnowładców do jawnego buntu, wygnania króla i wyniesienia na tron słabego i nieudolnego Hermana.

skami białymi i wojewodów z chorągwiami zwiniętymi. Za nimi w otoczeniu dostojników dworu swego stapał Przemysław w sukniach szkarłatnych, w hełmie złocistym, mąż w sile wieku, z licem jasnym czując, iż spełniał się nad nim obrzęd znaczenia wielkiego. Owo błogosławieństwo, które odejmowało koronę następcom Szczodrego, zażegnane zostało, pokuta była spełniona, zamordowany męczennik, podniesiony na ołtarz, przebaczał rodowi zabójcy¹⁰⁹.

Obok księcia w sukni ze złotogłowi i białych rąbkach jak mgła przejrzystych, piękna i wspaniała, z obliczem pańskim szła królowa, mająca dziś się stać królową. Szczęście czyniło ją piękniejszą jeszcze.

U progu stał już Świnka i Jan, biskup poznański, oba w szatach uroczystych gotowi na przyjęcie księcia. Ci, pokropionego wodą święconą, wiedli przodem, gdy dwu drugich Ryksie towarzyszyło. Na wezłowiach przed nimi świeciły dwie korony złote.

Przy tronach stanęli urzędnicy ziemi, dworu, wojewodowie, kasztelani, kanclerze, dwór wszystkich w szatach jasnych od złota, jedwabiów i purpury, z tkanin tych przepysznych, których wzory przyniosły od Wschodu wojny krzyżowe¹¹⁰.

Zabrzmiała pieśń do Ducha Świętego, rozpoczęła się przy ołtarzu ofiara, którą sam arcybiskup odprawiał. Przejęty był i uniesiony duchem ku niebiosom, od których ściągnąć chciał błogosławieństwo. Wśród pieśni, wśród dymu kadzideł, odprawiały się błagalne modlitwy.

Po odczytaniu ewangelii zwrócił się arcybiskup do księcia, który do ołtarza przystępował dla złożenia przysięgi. Trzymano przed nim Ewangelię i krzyż. Głosem drżącym począł przemawiać arcybiskup, lecz wzruszenie wkrótce mowę mu przerwało. Kląkł pasterz, a książę legł krzyżem na ziemi, śpiewy rozlegały się znowu. Starym obyczajem kościelnym błagalne litanie śpiewano.

Gdy powstał Przemysław, niesiono oleje święte, nastąpił obrzęd namaszczenia. Po czym w bocznej kaplicy wdziano nań szaty królewskie, sandały złociste, humerał¹¹¹, manipularz¹¹², kapę... Odzież ta królewska kapłańską razem była, a przypominać miała, że pomazaniec boży powinien być kapłanem strzegącym prawa i sprawiedliwości, wyrazicielem potęgi wszechmocnej na ziemi.

Poprzedziło to przypasanie miecza, bo użycie go było obowiązkiem mocarza ziemskiego, nie kapłana. Dobyty z pochew Przemysław na cztery strony świata przeszył powietrze i do złotej pochwy go schował.

Wtedy dopiero, gdy jako kapłan i rycerz boży namaszczony był i zbrojny, dostojny wieńca – pokląkł, a Świnka ciężką tę, twardą, wielką koronę Chrobrego włożył mu na skronie. Leżała na głowie Pomazańca cudem, jakby dla niej była ukutą. Podano w lewą rękę jabłko ziemi polskiej pełne, w prawą berło widomy znak władzy.

Złożono ofiarę, w złocistych baryłkach wino i chleb biały, na ołtarzu. Następowala komunia święta, do której przystępując, król miecz odpasał. Wiedziono na tron, ciągle modlitwy odmawiając i śpiewając.

¹⁰⁹ ...zamordowany męczennik, podniesiony na ołtarz, przebaczał rodowi zabójcy... – biskup Szczepanowski zaliczony został w poczet świętych w 1254 r. Kraszewski robi aluzję do proroctwa zanotowanego przez Długosza, że ziemia Polski będzie rozszarpana na tyle części, na ile porąbany został biskup Stanisław Szczepanowski, a feudalny zwyczaj dzielenia kraju między synów poczytywany był przez Długosza jako kara za zabójstwo, mimo że w tym samym okresie na dzielnice rozpadły się kraje naszych zachodnich i wschodnich sąsiadów.

¹¹⁰ Wojny krzyżowe – tak nazywano wyprawy wojenne podejmowane przez władców zachodnich od XI-XIII wieku w celu zdobycia Jerozolimy. Wojny te odegrały ogromną i wieloraką rolę w dalszym życiu Europy. M.in. utorowały nowe drogi dla handlu.

¹¹¹ Humerał (śr. łac.) – biała chustka, którą kapłan okrywa szyję i ramiona podczas odprawiania mszy.

¹¹² Manipularz (śr. łac.) – rodzaj krótkiej stuły wkładanej przez kapłana w czasie odprawiania mszy.

Po obrzędzie tym, w ten sam sposób ukoronowano królowę, a gdy obok małżonka zasiadła na tronie, zabrzmiał hymn wszystkimi głosy nucony, potężny, wielki, dziękczynny. Ostatnia nuta jego rozlegała się jeszcze, gdy arcybiskup zawołał:

– Król niech żywie! Niech żywie królowa!

Za nim, co żyło, wołało wtórując, potrząsano rozwiniętymi chorągwiami, bito we dzwony i na trąbach grano. Arcybiskup z biskupami, ujawszy króla i królową, wiedli ich na zamek, przeryzując gęsto stojące tłumy, chcące choć spojrzeć na ukoronowanego pana swego.

Wśród tej ciżby szczęśliwej, wrzawliwej, na pozór rozradowanej, różne się jednak odzywały głosy. Jedni widzieli blaski same i spodziewali się szczęścia i potęgi, drudzy już troskali, widząc w tym jakby wyzwanie Boga, próbę niebezpieczną. Po kątach i zaułkach szemrali i odgrążali się niechętni.

Długo nie wierzone, ażeby arcybiskup ważył się na krok tak wielkiego znaczenia, rzucenie rękawicy wszystkim, co siedzieli na ziemiach polskich, wyzwanie ich do poddania się i posłuszeństwa. Niewiara ich zmieniała się w gniew i odgróзки, gdy wątpić już nie było można, że król ogłoszonym zostanie. Nie było jednego księżęcia, który by się tym obrażonym i zagrożonym nie uczuł. W gromadach na ten dzień przybyłych kryli się szpiegowie tych, co się ulękli korony. Wciskali się oni wszędzie, patrzyli, podsłuchiwali i bledli.

Obrzęd powagą Kościoła uświęcony siły nabierał. Przy tronie stawała jedyna władza w świecie, której opierano się, ale ją szanować i ulegać jej musiano. Otaczało go duchowieństwo, ono niosło koronę, dawało jabłko, miecz przypasywało. Od ołtarza mówiąc arcybiskup nauczał króla, iż miał królestwo pomnażać, jednoczyć, oderwane od niego ziemie odzyskać. Wyrazy te rozchodziły się daleko, brzmiały głośno, odbiły się we wszystkich księżących stolicach, poruszyły siedzących na nich. Mieli być hołdownikami i sługami jednego pana!

Lecz wszystkie potajemne, odgróзки ciche dnia tego tonęły w chórze zwycięskim. Każdy z ziemian Przemysławowych poczuwał się królem po trosze w osobie pana swojego. Duma i siła w nich wstępowała.

Gdy na zamku ucztować poczęto, a tłumy się zabawiały u stołów rozstawionych, dzieląc na gromadki ziemiami i powiatami, niektóre rody znaczniejsze skupiły się też i zbierały, aby razem zasiąść i jedność swą starą przypomnieć. Resztki Zarębów i Nałęczów, których się też dosyć znalazło, błądziły, nie mogąc miejsca wyszukać dla siebie. Dawniejsi przyjaciele uchodzili od nich, powinowaci się odstrychali, ten i ów się zapierał. Obawiano się kumać z nimi. Nie śmieli też przybyć główni sprawcy zdrady, z ramienia ich tylko kilku wcisnęło się dla rozglądu i podsłuchu.

Stary Zebro Nałęcz i Zaręba, zwany Niechluj, którzy nie byli poszlakowani nigdy o współnictwo z Michną i Pawłkiem, ale w sercu za rody swe żal wielki mieli, najboleśniej doświadczyli tego, jak z rodem trzymając, cierpieć zań przychodziło. Zebro tu i ówdzie próbował przysiąść do gromady, witany zimnym milczeniem. Niechlują widzieć ni poznawać nie chciano. Obu im, ludziom możnym, niegdyś znaczącym, serca się ścisnęły. Błądząc tak pośród stołów, przy których dla nich miejsca nie było, Zebro się zetknął z Niechlujem. Dość im było w oczy sobie spojrzeć, aby się porozumieć. Stanęli milczący, długo bojąc się przemówić do siebie i oglądając dokoła. Unikaliby i oni może od siebie, gdyby gdzie indziej którego z nich przyjęto.

– A co? – mruknął Zebro. – Dla nas tu już ani ławy, ni chleba nie ma?

– Próżnośmy się tu wlekli – odparł Niechluj w boki się biorąc. – Chciałem okazać, zem panu wierny, ale wierności mej nie radzi tu.

– Ani mojemu pokłonowi – rzekł Zebro. – Gdym się nowemu królowi chciał do kolan zniżyć, odwrócił oczy, dobrze, że nie kopnął nogą.

Zeszli nieco na bok.

– U mojego woza – począł Zebro – znajdzie się chleb, mięso i beczułka. Co się mamy dobijać, gdzie odpychają.

– Mnie się zda, aby wozy zaprzęgać i do domu – odpowiedział Niechluj. – Lepszego się nie doczekamy, a i gorsze może być.

Stali jednak i przypatrywali się. Z wielkiej ludzi gromady tak wyłączonym być, nikomu niemiło, starym nienawykłym do tego, tym boleśniej. Obu serce krwią nabiegło.

– Nie winniśmy nic! Do dzisiaj wiernym mu byłem sługą – mówił Zebro – ale z winowajcami jedno zawołanie mamy.

– Ja też – rzekł Niechluj – dziś mu się kłaniałem jeszcze, jutro, gdy żółć poruszy, nie rękę.

– Mam być karan – począł Zebro – niech wiem, za co. Zemście dogodzę, bratanka mojego ścięto.

– I mego stryjecznego – mruknął Niechluj.

– Chodźmyż stąd! – dokończył Zebro.

Ruszyli ledwie z miejsca, gdy przechadzający się z łańcuchem i krzyżem na szyi ksiądz Teodoryk, jakby ich szukał, zbliżył się i pozdrowił. Przyjęli go chłodno.

– Czemu nie siadacie z drugimi? – spytał.

Odpowiedzi na to nie było, spojrzeli nań i oczy pospuszczali.

– Jeśli sumienie czyste, co ród znaczy? – dodał ksiądz. – Dziś dzień wesoły dla wszystkich, chodźcie ze mną, miejsce znajdziemy.

Dosyć opornie, nie śmiejąc mu się sprzeciwić, Zebro i Niechluj szli za nim. powoli. Lecz gdziekolwiek miejsca dla nich napatrzył, gdy się obejrzano, ściskali się biesiadnicy i – ławy nie stało. Szedł z nimi aż do duchowieństwa ksiądz Teodoryk, aby tu między swymi ich posadzić. Tu już wyłączeni zbyt się czując na widoku, jakby ich palcami ukazywano, podziękowali orędownikowi swemu, weszli między czeladzie i pospieszyli do wozów i koni. Zebro u wozu suknie z siebie świąteczne bogate ściagać kazał, zbroję wdział, konia wziął, a gdy Nałęcz toż uczynił, porozumiewszy się z sobą, z niewielkim poczem w lasy ujechali.

– Kiedy drudzy nas nie chcą, do swoich jedźmy! – zawołał Zebro z gniewem wielkim.

Jechali tedy w lasy drogami znanymi, a co w podróży skarg bolesnych i wyrzekania było, łatwo się domyśleć. Gdy późno dostali się do miejsca, w którym Michno się ukrywał, oba już byli rozgorączkowani.

Zaręba, wiedząc, jak go ścigano i pochwycić chciano, na uroczysku, zwanym Barcie, od dawna się ukrywał. Zmieniał czasem kryjówkę tę, ale najczęściej w niej przebywał, bo mu się bezpieczną zdawała. Trzeba było tak wytrwałego, jak on, człowieka i prostego obyczaju tamtych czasów, aby tu móc wyżyć nie tylko wiosną i latem, ale często jesienią późną i zimą.

Wśród gęstwiny na pagórku chatę Michna, zbliżywszy się dopiero, dostrzec było można. Siedziała ona prawie całkiem zakopana w ziemi, dach ją okryty darniem osłaniał. Ten porósł był trawą i krzakami bujnymi, tak iż garbem tylko cokolwiek nad ziemią wystawał, a nad nim dymnik z płotka gliną obmazanego od kopcia szerniały. Zamiast ogrodzenia, wkoło leżały kłody wielkich drzew obalonych, jedne na drugich suchymi gałęzmi i korzeniami ogromnymi posplatane z sobą. Wśród nich tarń, głogi i młode krzewiny różne bujno się puszczały. Szopka dla koni z płotu podwójnego sklecona, a dla ciepła gnojem między nie narzuconym ohacona¹¹³, nędznie wyglądała z pośrodku drzew gałęzi.

Do tego zapadłego kąta Zarębowie i Nałęczowie zjeżdżali się często w liczbie znacznej. Tu się odbywały ich narady, a że miejsca w chałupie mało było, rozsiadali się na bliskiej łące, która była spasiona i stratowana.

¹¹³ Ohacona (z ukr.) – ogacona.

Miał tu Zaręba i studzienkę wykopaną a lichy ocembrowaną, i loszek, i co do prostego życia było potrzeba. Wniście do jego lepianki niewygodne było, bo we drzwiach do pół zginać się musiał każdy, a pod sobą szukać kłódki, która za próg służyła. Ciemno było tu zawsze.

Przybywający huknęli naprzód trzy razy, naśladując puchacza, aby ich za obcych nie wzięto. Natychmiast wylazł z chaty człek w krótkiej odzieży, w chodakach, z głową postrzyżoną i przeciw nim do wrót pospieszył. Był to sługa Zaręby, niemowa, ale bardzo roztropny i przebiegły, a do swego pana przywiązany. Nie z urodzenia postradał mowę i słuch miał dobry. Chłopiściem jeszcze gdy był, człek jakiś okrutny przez zemstę język mu uciał, tak że bełkotał niezrozumiale.

Zaraz też odsunęła się okienniczka w niskiej ścianie, przez którą światelko błysnęło i głowa ludzka. Był to Michno sam, ciekaw, kto mu takiego dnia mógł przybyć w gościnę. Gdy się opowiedzieli, rad bardzo naprzeciw pospieszył do progu.

Konie powiódł niemowa do stajni, a oni szli do chaty, w której świeciło i gdzie Michno w łośiowym kaftanie i spodniach czekał na nich.

– Czyście się zabłąkali?! – zawołał. – Dziś nikogom się nie spodziewałem, co najprędzej jutro; wszyscy ciekawi pojechali onego nowego króla oglądać!

– My też stamtąd wracamy – rzekł krótko Zebro.

To mówiąc, przez otwarte drzwi do izby weszli, jak loch niskiej, ale bardzo przestronnej. Zaręba zmuszony często tu przebywać, przystroił ją, jak umiał najlepiej, wojłokami powyscielał, skórą wyłożył, zbrojami obwiesił i jakby na najczyściejszym dworze u ziemianina, pięknie w niej było. Świeciła broń, tarcze, miecze i noże porozwieszane. Nie brakło nawet gęśli na jednej ścianie, bo na niej Zaręba czasem grywał. U ściany jednej gorzało prawie nigdy nie wygasające ognisko, przy której dziewczę z kosami długimi teraz coś prażyło dla pana, ale obcych posłyszawszy, natychmiast się skryło.

Zebro i Niechluj, którzy tu nie bywali, choć o Barciach wiedzieli, rozpatrywali się ciekawie i dziwili. Postrzegłszy to, Michno zawołał:

– Co się to wam osobliwym wydaje, że ów dworzanin stary, który u króla już powinien był się podczasostwa albo podkomorstwa dosłużyć, pod ziemią się kryć musi jak borsuk w jamie? Taka dola wiernych sług, co prawdę panom mówią.

Niechluj głową ruszył dwuznacznie.

– Nie mówcie mi, że ja na to zasłużyłem – dodał z gorączką, która w nim nigdy nie wystygła, Michno. – Pokutuję za to, że za biedną męczennicą ujmowałem i złego nie mogłem ścierpieć.

– Ale... ale... – odezwał się Zebro na przyzbie, która wkoło ściany obiegała, przysiadłszy. – Mówią ludzie, żeście wy tę panią nadto miłowali, a ona was.

Zaręba skoczył.

– Łgą jak psy ci, co to szczekają! – krzyknął. – Szanowałem ją jako panią, litowałem się nad nieszczęśliwą. Łgą, bo to była święta niewiasta!

Nie wznowiono o tym więcej rozmowy, uspokoił się Zaręba.

– He? – zapytał spoczawszy. – Z Gniezna powracacie? Cóż? Dali mu koronę włożyć? Nie stało się nic?

– A cóż się stać mogło? – spytał Niechluj.

Zaręba się śmiał.

– Mogło się co przytrafić – rzekł szydersko. – No... raz, drugi i trzeci się nie powiodło, a kiedyś udać się musi! Niech się cieszą, niedługo tego będzie!

Wtem Zebro, spluwając, wtrącił:

– Zbieracie wy się na niego, odgrazacie lat siła; mnie się widzi, że z tego nic nie będzie.

Gospodarz odwrócił się od ognia, do którego przykładał łuczywa.

– A ja wam się klnę, że będzie! – zawołał uroczyście. – Nam samym dokonać niełatwo

było. Zdrajców się znalazło wielu, donosili mu, miał się na ostrożności. Po drogach przodem wysyłali, lasy trzęśli, bez straży dobrej na krok nie ruszał. Teraz, niechaj się ubezpieczy, znajdziemy go.

Niechluj zamruczał, że trzeba było w pomoc wziąć którego ze Ślązaków lub pomorskich. Zaręba się uśmiechnął.

– Znajdziemy lepszych niż Pomorcy i Ślązak! – rzekł. – Posiedźcie do jutra, przekonacie się. Na jutrzejszy dzień zwołało się tu siła ludzi, zobaczycie.

Zamilkł nagle, nie chcąc więcej powiedzieć, na niemowę krzyknął i zabrał się gości przyjmować. W lichej lepiance znalazło się więcej, niż się spodziewać mogli. Udziec sarni, miód dobry, chleb czarny, ale świeży, kaszy podostatkiem, plastr miodu i ser na zakąskę. Niemowa z dziewczyną rażno im posługiwali. Po wieczerzy wprędce pokładli się wszyscy na słomie i skórach, a ogień tlał i świecił im przez noc całą.

Z rana kłode doń przyrzucił niemowa i panów pobudził. Dzień wstał jasny i piękny, wyszli z zaduchy podziemnej na powietrze. Zaręba spodziewał się dnia tego gości i bacznie ucha nastawiał. Jakoż przed południem zaczęli nadciągać ze stron różnych Zarębowie i Nałęczce, a nawet wielu powinowatych, co wczoraj w Gnieźnie byli. Przybywali posepni, podrażnieni, gniewni. Niepokoiło ich to, że obrzęd wczorajszy był uroczysty, wspaniały i tylu ziemian ze wszystkich ziem polskich zgromadził.

Słuchając opowiadań, Michno się zżymał i kłął.

– Nikczemna gawiedź! – wołał. – Byle ich kto karmił i poił, sprzedadzą się, nie patrząc, że im dyby na cały żywot włoży. Okrzykują króla, cieszą się, nie pomnąc, że im niewolę przyniesie.

Wymieniali przybywający tych, którzy się wprzódy Zarębom i Nałęczom obiecywali z nimi iść, a teraz o nich słyszeć nie chcieli.

– Obejdziemy się i bez nich! – pocieszał się Michno.

Konni z lasów ścieżynkami różnymi napływali ciągle, wieści osobliwe przynosząc. Większa część frasobliwych była i zatrwożonych. Michno tylko śmiał się i urągał strachom, a swą śmiałością innych zagrzewał. Gdy około chałupy za ciasno już im było, wyciągnęli na łąkę.

– Tu mało co poczekawszy – rzekł – zobaczycie kogoś, co wam męstwa doda.

Było już z południa, wszyscy się pod drzewy pokładli i posiadali, gdy w lesie zatętniło i zadzwoniło.

Ci, którzy wprzódy przyjechali, wszyscy się ostrożnie i po cichu wkradli, a choć zwyczaj był naówczas przy rzędach końskich małe dzwonki zawieszać, żaden się na to nie warzył. Posłyszawszy, Zaręba, jadących z trzęsidłami i brzękadły, zerwał się z ziemi, jakby pewien był, że ten przybywał, na kogo oczekiwał. Jakoż po chwili wysunął się z lasu na dużym, ciężkim koniu w rzędzie połyskującym, mąż wielkiego wzrostu w hełmie czarnym i zbroi lekkiej, w którym z twarzy rozlanej i obrzęklej Niemca poznali wszyscy. Pańska postać i uzbrojenie kazały się w nim jakiegoś książątka domyślać. Towarzyszyło mu kilkunastu czeladzi, ale ci zatrzymali się u brzegu lasu. Zaręba spieszył naprzeciw przybywającemu z poszanowaniem, lecz nie zbytnią uniżonością.

Nie zsiadając z konia, a niespokojnie trochę się rozglądając po ludziach, którzy nagle z ziemi powstawać zaczęli, stał jeździec ów, ręki nie odejmując od ogromnego miecza, który mu u siodła wisiał. Oczy jego z niedowierzaniem zdały się liczyć gromadę, która za Zarębą zbliżać się ku niemu zaczęła. Pochyliwszy się z konia, jeździec rozpoczął z Michnem rozmowę.

– Cóż poczynacie? – spytał po niemiecku ponurym, grobowym głosem.

– Koronowaniu nie można było przeszkodzić – rzekł Zaręba. – Ukoronowali go, ha! Nie na długo!

– Nie powiodło się więc! – wtrącił Niemiec. – Wam bo się nic nie wiedzie. Mówicie wiele, krzyczycie głośno, robicie mało!

Zaręba po cichu się żywo tłumaczył, tymczasem przybyły oczyma rachował tych, co dookoła się gromadzili.

– Niewielu was też jest! – rzekł pogardliwie. – Co to za siła?! To garść ledwie!

– Bo tu tylko są dowódcy – odparł Michno – a nie wszystkie nasze zawołania. Liczcie po dziesięć, dwadzieścia i więcej głów na jedną... Ale co z tego, gdy się nie szczęści! Siadaliśmy nań w zasadzkach razy wiele, zawsze nam uszedł.

Niemiec popatrzał urągająco.

– Dajcie no tylko wiedzieć mnie, gdzie go z małym pocztem przydybać można – rzekł – a ja się bez was obejdę.

Szeptali znowu po cichu. Zaręba tych, na których najwięcej liczył, pokazywał księciu i przyprowadzał. Umawiano się i spierano. Niemcowi oczy coraz goręcej pałały; z niektórymi, co się z nim lepiej rozmówić mogli, szwargotał dłużej i poufniej. W końcu wszyscy stali zgodni. Książę głośno zaczął sypać przyrzeczeniami łask i napędzał, ażeby nie tracono czasu.

Wtem z dala odezwał się krótkim, urywającym głosem róg w lesie. Był to znak jakiś umówiony, jeździec drgnął, konia żywo zawrócił, głową dokoła skinął na pożegnanie i w gąszcz popędził. Ziemianie też żwawo pobiegli do swych koni, i wkrótce oprócz Zebra i Niechluja nikt na łące nie został, tak spieszenie każdy w swą stronę się wynosił.

– Teraz – zaśmiał się Michno, powracając do swej lepianki – gdy dwu Ottonów mamy z sobą, nie ujdzie nam królik! Niech się po godach wysapia, a sprawimy im lepsze od tych.

ROZDZIAŁ XI

Ze spuszczoną głową nad stołem stojąc, ksiądz Teodoryk przypatrywał się, jak na gorącym wosku pisarz Tylon ogromną pieczęć wyciskał. Świeżo ona była wyrzezana z porady Świnki arcybiskupa na większą zgryzotę innym polskim książętom, a stały na niej dokoła słowa:

REDDIDIT IPSE SOLUS VICTRICIA SIGNA POLONIS.

(On sam przywrócił Polakom zwycięskie znamiona).

On i Tylon, gładząc bródkę swą krótko postrzyżoną, przyglądali się z uczuciami różnymi tej pieczęci majestatycznej, którą po raz pierwszy zawiesić miano u pergaminu na jedwabnym sznurze.

– A co – odezwał się Tylon do zadumanego Teodoryka – a co? Nie jest-że wspaniała? Nie majestatyczna? Nie pańska? Nie królewska? Mają ślasy czarnego orła, my białego... Już na naszej pieczęci nie lada jeździec na szkapie, co przystał książętom, ale orzeł, jakby cesarski! I napis piękny; nie chwając się, jam go układał: *Sigillum Praemislai Polonorum Regis et Ducis Pomeraniae*.¹¹⁴

Polonorum położyłem nie bez myśli – zjedzą się ze złości!

Uśmiechnął się Tylon i dodał:

– Takiej pieczęci u nas nie bywało ni u żadnego z panów naszych!

– A wy się tym cieszyacie – spytał Teodoryk.

– Jakże nie!

– Ja zaś... nie cieszę się – rzekł lektor potrząsając głową. – Wiecie dlaczego? Bo ja wolę moc i władzę niż trąbę i chwałbę, wolę czyn niż słowo. Ale wyście, panie pisarzu, mężem słowa i w moc jego wierzycie.

– Pewnie! – zawołał Tylon. – Bóg nas nauczył, że słowo się staje ciałem i że co ma być czynem, wprzód myśla być musi!

Zamilkł i wracając do pierwszego wesołego nastroju począł znowu:

– Niech się książątka wściekają! Niech się złoszczą! Niech gryzą nieprzypaciele! Który z nich na tę pieczęć spojrzy, ciarki pójdą po nim! *Polonorum* na niej stoi... Sapiienti sat!¹¹⁵ Arcybiskup mnie za to w głowę pocałował!

Ręką zamachnął dokoła.

– Zagarniemy wszystko!

Teodoryk smutnie się jakoś uśmiechał.

– Daj to Boże – odezwał się – ale mnie by się widziało nie trąbić z wieży, dopóki się nie pokona, nie ostrzegać, że się bić będzie, aby się miano na pieczy, nie drażnić złego zwierza.

– Niech drżą! – krzyknął Tylon. – *Victricia Signa* nasze, a jak to ślicznie brzmi! *Reddidit ipse solus...*

¹¹⁴ *Sigillum Praemislai Polonorum Regis et Ducis Pomeraniae* (łac.) – Pieczęć Przemysława, Króla Polskiego i Księcia Pomorza (u Długosza: Przemisłai).

¹¹⁵ *Sapiienti sat* (łac.) – mądrymu wystarczy.

– Mój ojciec – odparł Teodoryk. – Niekoniecznie oni na placu boju walkę nam wypowiedzą. Albo żeście nie słyszeli o truciźnie, co we Wrocławiu sprzątnęła tych, którzy zawadzali, albo nie wiecie, co Białego¹¹⁶ spotkało?

Tylon oburzył się.

– Mamy dobrą pieczę nad panem! Oho, oho! Nie bójcie się! Ludzie go jak oka we łbie strzegą!

Lektor zaciął usta i pomilczał.

– Tak, miejcież pieczę! – i urwawszy, dodał: – Co to ja słyszę! Król pono na zapusty do Rogoźna się wybiera!

– Na zapusty? Tak jest – rzekł Tylon. – Słusznie mu należy, aby się rozerwał i odetchnął i on, i dwór.

– A w Poznaniu nie może? – wtrącił Teodoryk.

Tylon usta ściągnął pociesznie w ryjek? chudą ręką przebierał po powietrzu, palcami poruszał, niby im coś mówić nakazując, czego Teodoryk zrozumieć nie mógł.

Chrząknął potem, a widząc, że ksiądz jaśniejszego oczekuje tłumaczenia, szybko mruzcąc zaczął:

– Czyż wam, bracie Teodoryku, wam, co słyszeliście, jak trawa rośnie i co z sobą ptacy na gałęziach rozmawiają, wam, co widzicie w ciemnościach, słyszycie w milczeniu, wam ja potrzebuję wyklądać i rozjaśniać, dlaczego królowi lepiej będą smakować w Rogoźnie?

Ks. Teodoryk milczeniem i wejrzeniem dał do zrozumienia, że biedź co bądź potrzebował tego tłumacza. Stary notariusz oczki zmrużył.

– Ojciec kochany – rzekł cicho – nie ma większego wielbiciela królowa, pani nasza, nade mnie. Niewiasta jest cnót wielkich i majestatu potężnego, ale niewesoła! Koło niej też smutno, cicho. Za nią wszędzie chodzi ten majestat jej, powaga – decorum!¹¹⁷ Rozśmiać się przy niej nie godzi, bo się namarszczy, zaśpiewać wara, bo to jej godności ubliża. Widzieliście ją kiedy inaczej jak królową? Idzie do łoża nią i wstaje w koronie. Niewiasty w niej mało. Spojrzawszy na nią, strach święty ogarnia. Otóż, widzicie, bracie Teodoryku, w końcu panu niestaremu, boć młodym się jeszcze zwać może, zapragnie się trochę swobody i człowieczeństwa!

Spuścił głowę i ręce rozstawił szeroko.

– *Humanum est!*¹¹⁸

– Smutna to rzecz – westchnął ksiądz Teodoryk. – Królowie nie mają czasu dla siebie żyć a wesela szukać, królowanie kapłaństwem jest. Kto namaszczeń był, ze człowieczeństwa się wyzuć powinien.

– Miejcież wy litość nad nim! – szepnął Tylon.

– Ja, ja, mój ojciec – odparł lektor – nie tylko litość dlań, ale miłość mam. Na wiele rzeczy oczy przymrużam, lecz smutno mi i biedno, gdy myślę, że on musi szukać roztargnienia w Rogoźnie! Ściągnie się tam do niego pewnie na zapust dużo ziemian wesołych, pałki sobie pozalawają, poczną się swawole... Panu nie tylko w nich być, ale patrzeć na nie nie przystało.

– Za surowi bo jesteście – mruknął Tylon. – Niechby to mówił arcybiskup albo ksiądz Wincenty, ale wy, co świat znacie!...

– Mój ojciec – żywo wtrącił Teodoryk – mnie na ostatek nie o zabawę idzie, ale się... boję!

Notariusz rozśmiał się tak serdecznie, szeroko, iż lektor zawstydzony się zmieszał.

– Boicie się o niego? Gdzie? pod nosem? na naszej ziemi? w Rogoźnie? Tam, gdzie go najlepsi otoczą przyjaciele?

¹¹⁶ Co Białego spotkało – Leszek Biały, książę krakowski, zamordowany został w czasie zjazdu w Gąsawie w 1227 roku.

¹¹⁷ Decorum (łac.) – przyzwoitość, pozor.

¹¹⁸ *Humanum est* (łac.) – jest sprawą ludzką.

– I gdzie najgorsi, bo skryci, wrogowie wcisnąć się mogą!

– No, no! – przerwał Tylon znowu z miłością wielką przypatrujący się swej pieczęci. – Słyszemy od lat wielu o tych Zarębach i Nałęczach, ale to gwar pusty. Porozłaziło się to po świecie, nie ma ich i znaku. Ci, co w domu zostali, do łask się wpraszą. Strachów sobie z tego próżnych czynić nie trzeba!

– Niech i tak będzie – rzekł Teodoryk. – Zawsze wolałbym zapusty w Poznaniu niż w Rogoźnie.

– Na wielki post powróci z nami śpiewać żale do Poznania.

Tylon, zamknąwszy tym niemiłą mu rozmowę, dodał pieczęć podnosząc:

– Patrzcie no, ojczcze mój, jak rozumnym był śp. Bolesław kaliski, dobrodziej nasz, gdy Judeom przywilej nadał, aby mieli u nas opiekę i bezpieczeństwo!¹¹⁹ A kto by nam tu teraz taką pieczęć wyrzezał, gdyby nie było Samuela, syna Judy! Kto nam pieniądze bije? Też Judeus! Kto klejnoty oprawia? Kto grzywien pożyczca? Kto drogie bisiory przywozi? Ludzie rozumni są i do wszystkiego!

Na te pochwały skrzywił się lektor.

– Jednak – rzekł – ksiądz pasterz nasz gnieźnieński rozumnie także uczynił, gdy na synodzie, jak po innych krajach się wodzi¹²⁰, nakazał spiczaste głowy nakrycia i kółka czerwone nosić na piersiach.

Stary Tylon spuścił głowę, nie śmiejąc przeczyć, że ustawa synodu dobrą być musiała.

Działo się to w pierwszych dniach lutego. Jak Teodoryk mówił, w istocie król wybierał się na łowy w lasy pod Rogoźno, kilka dni zamierzając w miasteczku tym spędzić na spoczynku i zabawie.

Im ostrzejsze były posty ówczesne, tym mięsopust szumniej obchodzono jadłem i napojem, nieraz pieśniami i skokami, które nagle Popielec przerywał smutnym pieniem pobożnym o męce Zbawiciela. Na zamku w Poznaniu, jak mówił Tylon, królowa nie bardzo dawała szaleć, nawet w zapusty. Pani była surowa i o godność swą frasobliwa wielce, szumnej rozpasanej wesołości nie lubiła nigdy. Dość było, by na króla spojrzęła, wnet Przemysław, gdyby najbardziej rozochocony, poważniał i chmurzył się. Nic też dla dworu królewskiego dziwnego w tym nie było, iż chciał z zamku zjechać nieco i w gronie wesołych towarzyszy odpocząć, pośmiać się, dobrej użyć myśli.

Królowa, choć niezbyt lubiła te męzowskie wycieczki, wzbraniać ich panu swemu nie śmiała. Obiecywała się z rychłym powrotem. Zostawała naówczas na zamku sama z surowo trzymanym dworem i córeczką podrastającą. Szyła na krosnach, kazała sobie czytać kapelanowi lub patrzyła na dziecięce zabawy młodej Ryksy.

Właśnie orszak królewski z zamku miał wyciągać, a królowa przypatrywała mu się nie widziana. Na twarzach towarzyszy mających panu łowców, dworzan, czeladzi widać było radość, jakby się z niewoli wyrywali. Tłumili ją tylko obawiając się, by jej surowa pani nie postrzegła. Bystre jej oko dobrze rozeznawało wszystko i czytało w twarzach ludzi.

Smutną się stała, gdy ujrzała w końcu wychodzącego króla, który na koń miał siadać równie rozweselony i śmiejący się, jak ci, co go otaczali. Domyśliła się, przeczuła, co się w duszach tych ludzi i małżonka jej działo. Było im tu za ciasno, ani wykrzyknąć, ni huknąć, ni poszaleć, ni napić się zbytnio nie było wolno. Tam mogli sobie cugle puścić swobodnie.

Król uśmiechał się, rozprawił żywo, o dostojenstwie swym zapominał. Widziany tak z dala całkiem innym był człowiekiem niż ten, którego ona z bliska znała. Wydał się jej niemal politowania godnym. Miała mu za złe, że na chwilę zapomniawszy się był... człowiekiem tylko.

¹¹⁹aby mieli u nas opiekę i bezpieczeństwo – chodzi o przywilej z 1264 roku zapewniający Żydom ochronę prawną i uznający ich za „sługi skarbu”, na rzecz którego musieli składać specjalne opłaty.

¹²⁰ Wodzi się – dzieje się.

Na myśl jej przyszyły Mina, Lukierda i stare młodości dzieje – wszystko, co jej o nim opowiadano. Westchnęła i zapuściła na okno zasłonę.

Z wesołymi, choć tłumionymi, uśmiechy wyciągali myśliwi, odzywały się trąbki, psy poszczekiwały radośnie, konie rażno były kopytami o zamarzną ziemię i prychały. Z psiarni tylko, w której reszta sobak była zamknięta, w tejże chwili odezwał się głos złowrogi. Pies jeden zawył żałośnie, za nim reszta uwieczonych poczęła przeraźliwie zawodzić i właśnie, gdy król bramy pomijał, wycie ich rozległo się w podwórcach. A choć czeladź, psiarze i psiarki pobiegli chłostać, ogary wyły długo, o ich żalosne jęki echem boleści i trwogi odbiły się w sercu królowej.

Cicho i pusto było dni następnych na grodzie. Tydzień przeszło minął tak w jakimś milczeniu złowrogim, a król nie powracał jeszcze. Ci, co od niego do Poznania przybyli, opowiadali, iż się zatrzymał w Rogoźnie na grodku, chwalać się, że im tam wesoło było, że co wieczora w bród miodów dawano, ziemianie z niewiastami swymi przybywali i płasano a śpiewano i radowano się. Król też miał być wesół, jak rzadko, żartował, rozmawiał i łaskami obsypywał. Kto mógł, zniknął z Poznania i uchodził na mięsopust do Rogoźna, aby się tam zabawić z drugimi. Pod różnymi pozorami wymykali się tam ludzie.

– Jeszcześmy, jak nastąpiła nowa pani, nigdy takich zapust nie mieli! – chwalili się dworzanie.

Królowa niespokojna trochę słała na zwiady, niemile słysząc o tych zabawach w Rogoźnie.

Na drugi dzień po świętej Dorocie z rana tak jeszcze na zamku cicho było, jak dni poprzednich. Tylon w swej izdebce na wosku wyciskał coraz nowe pieczęcie. Ksiądz Teodoryk, który pozostał w Poznaniu, chodził na służbę do królowej, tęskniąc za panem, niepokojąc się o niego. Kanclerz Wincenty, mając wiele na swej głowie, dopominał się powrotu króla. Dzień tak upłynął cały, cicho, głucho, bez wieści o nim.

Wrota już zawierać miano, gdy do nich dopadł człek konno, na zziąanej szkapie i, rzuciwszy ją pierwszemu, którego spotkał, pędem pobiegł do biskupa. Tego nie znalazłszy w domu, bo do Trzemeszna zjechał, wpadł jak oszalały do kanclerza. Ksiądz Wincenty właśnie wieczorne odmawiał pacierze, w kominie się trochę przygasłego ognia żarzyło i wchodzącego wziął za chłopca swego. Stękanie jakiegoś usłyszawszy, dopiero zbliżył się do stojącego przy progu. Człowiek błydy, przerażony, niemy, któremu wargi dygotały, z włosom rozczochranym stał przed nim, żywy obraz przerażenia i boleści.

Kanclerz, ujrawszy go, wykrzyknął:

– Człecze, co ci jest?!

Nie mogąc mówić, ryknął zapytany płaczem wielkim, oczy sobie zakrył i padł na kolana.

Strach ogarnął kanclerza.

– Człecze, na Boga! Co ci jest? – powtórzył.

Ale jeszcze usta jego prócz jęku nic wydać nie mogły. Wtem drzwi się rozwarły szeroko i ksiądz Teodoryk, który konia porzuconego u wrót poznał, iż należał do jednego z tych, co z panem byli w Rogoźnie, wbiegł, a klęczącego i zachodzącego się od płaczu postrzegłszy, wykrzyknął:

– Boże wielki! Mów, co się stało? Tyś z Rogoźna!

Z ust nareście wyrwało się posłańcowi:

– Król zabit!

Jednym jękiem oba duchowni odpowiedzieli. Długo potrzeba było rzeźwić i uspokajać człowieka, nim mógł zacząć opowiadać:

„O, nieszczęśliwa godzina! nieszczęśliwa godzina! Brandeburczyków dwu, Zarębowie i Nałęczu, gdy pan i wszyscy po długich godach spali snem twardym, nad rankiem na bezbronnych nas napadli. Zrobiła się wrzawa okrutna. Jam posłyszawszy ją, zerwał się i biegł ku panu na pół nagi, kord tylko pochwycałszy. Ale za zgrają Sasów i tych łotrów już docisnąć się nie

było można. Króla wywlekli, ciągnęli, naigrawając się i bijąc. On z tymi, co przy nim byli, jak lew się bronił. Padło łotrów dosyć trupem. Patrzałem, jak Nałęcz Pawłka ciął w głowę, aż runął i wyzionął ducha.

Gdym, mieczem torując sobie drogę, przeciskał się do niego, zobaczyłem, jak krwią opłynawszy cały, zachwiał się i upadł na ziemię. Sasy go zaraz, wrzeszcząc, pochwycili. Nie wiem już, co się ze mną działo ani jakom ja, choć poraniony, mógł z duszą ujsć od nich.

Wyciągnęli go już omdlałego, wołając i ciesząc się, w podwórko – w koszuli całej zbroczonej i pociętej. Nuż go na koń sadzać a wiązać, ale się biedny pan na nim już utrzymać nie mógł i padał z niego. Co go wciągną, to jak trup się śliznie i – leci. Życie w nim było jeszcze przecie, jęki słyszałem. Podnieśli go na wóz lada jaki, chcąc na nim uwięzić Brandeburczyki, ale i z wozu się obalił. Dopiero, nakłuwszy jeszcze, porzucili.

Jam się przedzierał chcąc tam paść, gdzie i on, gdy patrzę, Michno Zaręba stoi nad nim, nogę mu na piersi postawił i chyli się doń.

– Jeszcze byś żył! – zaryczał mu nad uchem.

– Weźcie mnie! Ratujcie! – odezwał się król, głosu dobywając słabego. Nie wiedział snadź, do kogo mówił. – Weźcie, a na łożo zanieście... życie powróci!

Posłyszawszy to, Michno nagle podniósł miecz w górę i oburącz go wraził w piersi, przybijając do ziemi, a nad uchem mu krzyknął: „Lukierda!”

Kancelarz i ksiądz Teodoryk ręce załamali. Stało się milczenie straszne, posłaniec na ziemi legł i wił się, a płakał.

Tak skończył król ów siedmiomiesięczny, po którym płakali wszyscy. Lud widział w tym zgonie jego pomstę bożą za zgon niewinnej Lukierdy.¹²¹

KONIEC

Korekta: Hanna Sawa

¹²¹ Opowiada Długosz za innymi, że rody Zarębów i Nałęczów za udział w tym zabójstwie długo pozbawione były prawa noszenia sukni szkarłatnych i stawania przy popisach rycerstwa w osobnych szykach. Zdaje się to jednak być później stworzoną legendą lub stosuje do jakiejś gałęzi rodzin tych, gdyż wprędce potem Nałęczów widzimy na wysokich dostojeństwach, nawet w Wielkiej Polsce. (Przypis autora).

